

De II 1.
TOM CCLXVII.

SERYA 9.

ROK 67.

ZESZYT 800.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

S T E R P I E Ń .

1907.

TOM III.—ZESZYT 2.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1907.

TREŚĆ ZESZYTU.

| | Str. |
|--|------|
| 1. ŁUNA, — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i> | 200 |
| 2. KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLECIEM, — przez <i>J. K. Kochanowskiego</i> | 234 |
| 3. JAPONIA I KOREA, — przez <i>Kazimierza Puffke'go</i> | 262 |
| 4. F. BRUNETIÈRE I EWOLUCYONIZM W HISTORYCE LITERATURY, — przez <i>Bolesława Orłowskiego</i> | 277 |
| 5. O CHŁOPSKIM EPOSIE KONOPNICKIEJ, — przez <i>Stanisława Maykowskiego</i> | 304 |
| 6. SZTUKA WE FRANCYI, — przez <i>Konrada Ostrowskiego</i> | 352 |
| 7. PIŚMIENNICTWO: | |
| ALEKSANDER BRÜCKNER: Dzieje języka polskiego, — przez <i>Z. D.</i> . . . | 387 |
| 8. KRONIKA MIESIĘCZNA: | |
| Atak na Macierz. — Pierwszy rok Uniwersytetu Ludowego w Warszawie. — X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich . . . | 394 |
| 9. WSPOMNIENIA POZGONNE: s. p. Aleksander Hirschberg i s. p. Karol Potkański, — przez <i>Z. D.</i> | 405 |
| 10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE | 409 |

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 8.



De. II 1

ŁUNA.

IV.

Gdy w tydzień po ucieczce Żymirskiego panna Malinowska odwiedziła Pawła, on nie poznał jej. Była ubrana skromnie, uczesana inaczej, zbladła i zbrzydła. Zdumiony wykrzyknik wybiegł mu na usta i zawisł niewypowiedziany, ale ona wyczytała wszystko w oczach. Patrzyli na siebie.

— Nie przychodziłam tu oddawna — przemówiła pierwsza.

— A tak...

— Od czasu jak tamten szubrawiec... — rozplakała się.

Paweł milczał, ponieważ ta kwestya należała do najdrażliwszych. Wiedział przecież, jaką tu rolę odegrywał Żymirski, wierzył w miłość — i uszanował ły.

Ona zaś, spostrzegłszy jego zakłopotanie, obtarła szybko oczy i zaraz dodała dla usprawiedliwienia się:

— Rozstroiła mnie ta historia... widziałam tłumy, które ten łajdak... Ale niech pan nie myśli, żebym ja... ..trzeba machnąć ręką... to rada najlepsza...

Zapadło milczenie. Panna Malinowska uważnym wzrokiem pilnie badała.

— Niechże pan podsunie mi krzesło... pocóż mamy stać... — rzekła swobodnie w dawnym zlekka żartobliwym tonie.

Usiedli, Paweł wciąż był sztywny.

— Bankier Żymirski — odezwał się — odwiedzał mnie przed samym odjazdem i prosił o pożyczkę.

— Pan dał mu? — zaniepokoiła się.

— Odmówiłem teraz, jak przed rokiem... Ja nie lubię afer...

— Pan wogóle solidny...

W spojrzeniu panny Malinowskiej była uśmiechnięta zaczepka. Łzy wyschły, smutek przepadł bez śladu, twarz stała się znowu, jakkolwiek blada, jak kwiat radości.

— Z czego się pani śmieje?

— Z solidności pańskiej...

— Alboż to wada?

— Jak czasem...

— A wobec kobiet?

— Kobiety nie uznają kas ogniotrwałych...

Rozmawiali niby dwoje naiwnych, niby dwa podlotki, męski w mundurze szkolnym, żeński — w krótkiej sukni. Dawniej nieraz godziny upływały im na takiej grze w piłkę. On odrzucał nietrafnie i łapał niezgrabnie, ona śmiała się z cicha do ukrytej myśli, której nie rozumiał, czasami niecierpliwiła się, że gra przeciąga się zbyt długo, ale spełniała swoją niezwykłą rolę dalej... Paweł, bojaźliwy i niedoświadczony z kobietami, mimo długiej i zażyłej już znajomości, mimo, że znał o pannie Malinowskiej całą prawdę, którą zresztą tłómaczył po swojemu idyllicznie, traktował ją sztywnie, trzymał w odległości salonowego, czy też ideowo-partyjnego stosunku, i zdradzały go tylko spojrzenia, które bez wiedzy jego w każdej chwili składały wyznania, zanosły prośbę, powtarzały obietnicę... A pannę Malinowską właśnie podbijała i podniecała ta jego nieśmiałość urokiem nowości. Takich mężczyzn nie spotykała, nie przypuszczała, żeby mogli być tacy w stosunku do niej. Im więcej względów on okazywał jej, tem bardziej stateczną, poważną i szanowną stawała się ona. Na stylowych fotelach stylowego salonu, gdzie przed rokiem, jak słyszała, odbywały się wykwintne zebrania towarzyskie, wobec tego „magnata,“ który imponował jej bądź co bądź tytułem, manierami, bogactwem, udawała z talentem dostojną damę — i szła do celu swego. W pierwszej chwili Paweł wydał się jej nudnym i brzydkim i, gdyby postępował z nią, jak inni, gdyby natarł obcesowo, dałaby mu bez ceremonii odprawę; lecz taktyce, której się trzymał, jeśli to była taktyka, nie mogła się oprzeć i na jedno skinienie rzuciłaby mu się na szyję. Ale, że on nie rozumiał, a może nie chciał, sama stała się stroną zaczepną. Zaczęło się obłączenie, trwające już od pół roku. Pod pozorem spraw partyi przychodziła tu często, zapraszała go do siebie, spędzali razem długie godziny. Ze ścieżki politycznej zbaczali w uroczu zarośla uczuć i bawili się wśród nich w chowanego, zapadały między nimi milczenia, mówili do siebie urywanemi zdaniami, spojrzenia zawierały przy-

mierze, „ligę miłości,“ panna Malinowska wprawnie prowadziła grę, ażeby jej dostał się nie sam tylko Józefowy płaszcz; grali oboje... W momencie kulminacyjnym wszakże, w momencie, w którym wytrawny i śmiały gracz rozbija bank, sięga po całą sumę i osobę bankiera, ostrożny Paweł odkładał karty, przywoływał ją do porządku, oblewał zimną wodą, nawracał do przerwanej pracy, do przerwanej rozprawy politycznej. I przeciągała się ta dziwna walka...

Tego dnia wszakże panna Malinowska postanowiła skończyć. Tak albo inaczej. Wypadło jej tak ze wszystkich rachub, a zwłaszcza z tego rachunku, gdzie główną pozycję stanowił Żymirski. Upadek znieawidzonego człowieka, oczekiwany i upragniony, nie uszczęśliwił jej, jak spodziewała się, jak od wielu lat krzykliwie zapowiedziała wszystkim. Troska rozwiązała złośliwą uciechę. Na progu banku, gdy odmówiono jej wypłaty na ostatnie czeki, zrozumiała, iż to, co się stało, dla niej przedewszystkiem oznacza nędzę. I w tłoku zrozpaczonych złorzeczyła najgłośniej, pierwsza zaczęła kamieniami tłuc lustrzane szyby gmachu, podjudzała innych. A potem, kiedy ktoś wtajemniczony szepnął o niej tłunowi na ucho i gniew tłumu zwrócił się przeciwko niej,—śród przekleństw i pogróżek nie stchórzyła. Odpowiadała. Strojna i piękna krzyczała rozdrażnionej ciżbie o grzechu bogactwa i o prawach proletaryatu, o odwiecznej krzywdzie i dniu odwetu, o niewolnictwie kapitalistycznym i rychłym upadku gnębieli, o nędzy i bliskiej zemście ludu... Policya zamknęła jej usta. Panną Malinowską musiała ukryć się i dwa długie dni przesiedziała w samotności, posypując sobie głowę popiołem troski, trapiąca nużącym rozmyśleniem, przełomową pracą. Dotychczasowe jej istnienie materialnie opierało się na Żymirskim, moralnie — na przeświadczeniu, że ona jest nieszczęśliwą ofiarą ustroju i nikczemnego człowieka, który ją zwiódł, który ją złamał... I jedno i drugie dogadzało jej ze wszech miar. Życie, które stworzyły dla niej miłość i złoto bankiera, było przybytkiem wcale przyjemnym, a mogła zostawać w nim, nie kłócąc się ani z własnym sumieniem, ani z opinią otaczających ją kół. Jedni przebaczała, bo wierzyli w siłę jej przywiązania, niewygasłego mimo zawodu, inni uznali rzucony przez nią frazes o żywej krzywdzie i pokutującej ofierze, ona sama rozgrzeszyła siebie w imię zemsty, z przywileju pokrzywdzonej. Nazywała siebie szumnie siostrą cierpiącego proletaryatu, równie jak on uciśnioną, niewolnicą, istotą, zatraconą w piekle czasów, czytała broszury o prostytutcy, hojnie szafowała cudzym groszem, czem zdobyła pewne zachowa-

nie, płoneła nienawiścią do możnych świata, którzy za pieniądze kupują zdrowie i cześć rzesz robotniczych, walczyła o prawa kobiety — ale była zadowolona ze swego losu. Dziś to wszystko urwało się naraz. Popierwsze zabrakło pieniędzy, powtóre znikła owa moralna sankcja, usprawiedliwiająca i zbytek i próżniactwo i grzech—a każde życie opiera się na jakiejś sankcji—wysunął się z pod nóg piedestał urojonego cierpienia, wypadł z rąk wieńiec męczeński a nie ciernisty, którym przywykła potrzasać, w której stroiła swoje piękne czoło... Był przewrót w całym znaczeniu tego wyrazu i w pannie Malinowskiej toczyła się owa stara, znana, pospolita walka, zilustrowana w greckim podaniu. Jak tamtemu młodzianowi należało wybierać. Wszystkie myśli, uczucia, marzenia skierowały ją zaraz na tę drogę, do której, zdawało się, tęskniła, której, rzekomo, zazdrościła innym, którą opłakiwała, którą utorowały dla niej jej własne słowa i teorye. Chcąc być w zgodzie z sobą samą, nie mogła wahać się... Bez wahania przeto postanowiła rozpocząć inne życie. Ogarnięta zapałem zmieniła uczesanie i suknię, najęła skromne mieszkanie, ogłosiła wyprzedaż strojów, kosztowności, sprzętów... Odrodzona wypierała się przeszłości, którą nazywała złą, i wszelkich po niej pamiątek. Wyznaczyła sobie szarą dolę pracy i ubóstwa, prostą i żmudną ścieżkę, którą chodzą ludzie czyści, w zachwycie nad sobą marzyła o słodkim smaku suchego i twardego chleba, zarobionego uczciwą robotą rąk... o szlachetnem braterstwie z cierpiącym proletaryatem, o bojuwaniu i zwycięstwie... Grały w niej luczną fanfarę dumne uczucia, szukała Jauka Śniałowskiego, który w ostatnim roku dźwigał ją i nauczał, żeby pochwalić się przed nim, żeby usłyszeć zasłużoną pochwałę. Zresztą szczęście tych pierwszych godzin, uciecha szyderczego patrzenia ludziom, ludziom pasorzytom, wyzyskiwaczom, trutniom, obłudnikom prosto w twarz, stanowiły dostateczną nagrodę. Gdyby było można, chodziłaby od domu do domu, biłaby okna, plwałaby w oczy burżujom, sytym, zadowolonym z siebie, pysznym, zebrałaby tłuny nędzarzy i, stanawszy na czele, burzyłaby zgniły dom ustroju... Znienawidziła bogactwo, pozłacaną niesprawiedliwość, która rządzi światem, kłamstwo pozorów. Szczyciła się z ubóstwa swego, zdawało się jej, iż zdobyła już wszystkie prawa, że zmyła błoto ohydnych lat, wierzyła, iż nastały dla niej na zawsze inne czasy, a tak niepodobne do minionych, jak odległym jest pokrewieństwo między ulicą miejską a polną ścieżyną, która prowadzi do własnej zagrody... Dwa dni zbiegły na gorączkowej czynności. Przenosiła rzeczy, spieniężała sprzęty, odprawiała służbę, biegła po mieście

w pogoni za zajęciem i zarobkiem. Po wielu nieudanych próbach i daremnych zachodach dotarła wreszcie do jakiegoś szefa, który wprawdzie przyglądał się jej tak natrętnie i zuchwale, iż chciała skoczyć mu do oczu, ale zarazem dał posadę w swoim biurze. Z zapalem zabrała się do roboty. Przychodziła pierwsza, przez wiele godzin przepisywała gorliwie, nie odrywając wzroku od stosu papierów, uczyła się niezrównanej sztuki kłapania po Remingtonie, a ponieważ czas biurowy nie wystarczał, dorabiała, odrabiała i w domu. Znużona kładła się wcześniej spać i spała mocno twardym snem kamiennego chodnika, który w nocy odpoczywa od nieznośnego tupania po nim przez dzień cały stukających obcasów ludzkich... Od rana znowu praca, ta sama, niepotrzebna, jałowa, litery, sylaby, wyrazy, przecinki, cyfry, zdania, najgłupsze w świecie. Zwalczała zmęczenie oczu, myśli, rąk, zwalczała wstręt i nudę, która po tygodniu przyszła pierwszy raz i bawiła krótko, potem stała się częstym gościem, potem nie odstępowała jej nigdy... Nuda godzin powolnych, nuda przewlekłego dnia, nuda życia, znudzenie ciała. . Wówczas to myśl o Pawle, jak złowróźbny zajęć, przebiegała drogą jej poprawy. Ukazał się pożądany obraz jego miłości, wiernej i pokornej, odezwała się chęć złamania uporczywego tego dziwnego mężczyzny, który jedyny ze wszystkich odwracał się, kusiła najdroższa od wieków dla kobiety rozkosz dokonania podboju. Zatemskniła, brał ją żal... Powiedziała sobie, że nie należy bez wyraźnej przyczyny skazywać i jego i siebie, zwłaszcza jego, Pawła, na cierpienia, że on kocha ją, jak nikt dotychczas, wielkiem, rzetelnym uczuciem, że i ona... że ona także, że jeśli oboje... dlaczego i poco... że oboje mogą zaznać szczęścia... Były to zupełnie trafne rozważania, jak zwykle u człowieka, który wie, że upadnie, który ulega i pragnie usprawiedliwić siebie. I poszła do Pawła. Poszła jedynie w tym celu, żeby donieść mu o zmianie adresu i... życia, żeby na jedną chociażby godzinę odegnąć nudę, żeby rozmówić się z nim w sprawie kosztowności, których nie sprzedała, nie mogąc rozstać się z cudownym migotaniem kamieni, za które chytrze zażądała ogromnej sumy, a których przechowywanie w domu wydawało się jej niebezpiecznym. Ale zaledwie przekroczyła próg jego mieszkania, straciła z oczu wmówiony w siebie cel odwiedzin, i stanął przed nią ów rzeczywisty, dawny, do którego dążyła skrycie od kilku miesięcy. Rozpoczęła zwykłą grę... Nacierała — on cofał się... W każdej chwili dnia na ustach, stworzonych do pocałunku, któreby ona mu wyczuwała, miał zimny i nudny, jak szkło, traktat polityczny. Niecierpliwiła się.

— Czy pan kiedy kochał? — przerwała mu bez ceremonii.

— Kochałem i Kocham...

— Kogo?

— Pani chce usłyszeć ode mnie?

— Niech pan powie... — szeptała.

Uśmiech ożywił twarz Pawła.

— Tu jest moja miłość — rzekł wskazując olbrzymie w złoconych ramach lustro.

Panna Malinowska przychyliła się tak, ażeby zwierciadło odbiło jej postać.

— A teraz? — spytała.

— Widzę cień — odparł przekornie.

— Tylko cień! — mnie pan nie widzi?

— Ktoś powiedział, że mężczyzna ma jeden cień, a kobieta tyle, ilu szło za nią wielbicielei.

Zaśmiał się rad z konceptu, do którego nie przywiązywał wagi. Ale panna Malinowska wzięła go ze strony tragicznej. Gniew przeleciał jej przez twarz, odwróciła się. Po tej obeldze należałoby wyjść... Dawniej, w epoce potęgi byłyby wybuchła... cyniczne słowa piekły jej usta...

— Nie spodziewałam się po panu... dziś — urwała.

I naraz panna Malinowska rozplakała się już po raz drugi.

Paweł zniższał się niezmiernie, bełkotał coś, przeproszał.

— Tak... ze mną wszystko można... wszystko uchodzi... że ja skrzywdzona i bezbronna... że nikt się za mną nie ujmie... — mówiła śród łez — myślałam, że pan jest inny... przecież ludzie... niema tu mojej winy... nieszczęście...

Łzy odniosły skutek. Paweł, pełen tkliwości, dotknął jej ręki, potem gładził jej włosy rozkoszne, potem objął ją i, prawie tuląc do siebie, pocieszał. Ona zaś garnęła się do niego, kładła mu głowę na piersi i jeszcze skarżyła się.

— Właśnie teraz... gdy ja ciężką pracą... pan magnat jest i pan nie rozumie... praca od rana do nocy... sama jestem w tem mieście... na łasce ludzi... każdy pomiata!... gdyby pan zajrzał do duszy kobiecej... my kobiety, gnębione bez litości, i moje życie... ile cierpień, ile wstyłów i uragań!... upadłaś raz, leż w błocie na zawsze... powstać nie wolno... opowiem panu kiedyś, na sąd oddam...

— Niech pani już nie płacze! — powtarzał Paweł.

— Takie jest prawo dla nas... A ten, kto złamał kobietę, chodzi wolny po świecie, otoczony szacunkiem... Tamten szubrawiec skrzywdził mnie najsrożej — postanowiłam odpokutować, za-

częłam inne życie, przyszedł tu do pana — i pan... pan!... — zaniósł się od płaczu.

— Ja nie wiedziałem... ja szanuję... — mruknął Paweł.

Uśmiechnęły się jej zażawione oczy.

— Pan mnie żałuje?

— Tak...

— Pan lubi mnie?

Zamiast odpowiedzi znowu położył jej rękę na włosach.

Wówczas chwyciła go w swoje ramiona, całowała...

— Ja pana... ja za panem...

Urzeczywistniło się marzenie Pawłowe, marzenie pierwszej godziny spotkania, płomienne, nieprawdopodobne przeczucie...

Śnił mu się wówczas jakiś pokój, pełen światła, śpiewu, kwiatów, godzina światła, śpiewu, kwiatów — i ona z omdlałą głową, z ociężałym spojrzeniem, oddana, chyląca się w objęcia, zabrana, śniło się szczęście... I przyszło to szczęście, stało się, porwało go niby fala, niesło przez lasy dziewicze, ogarnięte niezmiernym pożarem, przez kraj ognia, przez morze płomieni, wyrzuciło na brzeg daleki, nieznan, dziki... I szedł zasię przebojem po przez gąszcza, wśród kwitnących zarośli, w obłoku woni, wyciągał obłąkane ręce, rwał kwiaty, chwycił garściami, niszczył, niósł do jakskini, słał łoża pachnące... był panem...

Aż pękły z krzykiem rozżarzone struny, zgasł wrący śpiew... Zdeptane kwiaty — jedyny ślad rozkoszy, która minęła... i kwiatów niema... Pospolity pokój, trzy okna, turkot miasta, cikliwa jasność pochmurnego dnia...

Paweł wsparł głowę na dłoni, zamyślił się. W sennej zadumie wiał się niewyraźny żal. Rozwiała mu go gwarem słów. I jęł rozmawiać — dwoje kochanków. Wspominali przeszłość — dzieje miłości, przeplatali śmiechem.

— Jaki ty zabawny — żartowała — i dziś jeszcze mówiłam, żeś solidny... pamiętasz? ja przecież oddawna... nie rozumiałaś?...

— Nie rozumiałem...

— Nie znasz kobiet... ty dziwny... zresztą kto wie... my lubimy czasami roztopiać lodowce... Im bardziej odsuwałaś się, tem ja więcej... a teraz ty już mój.

— Niczyj.. swój..

— Nie... mój... — przekomarzali się.

— I znowu zamyśliłeś się?... Ja nie chcę... skąd smutek? my dziś szczęśliwi.. o czym ty? powiedz! przede mną niema sekretów...

Nie chciał jej wyznać... Nie wiedział sam, coś mu ciążyło.

Panna Malinowska sposepniała także.

— Słuchaj—przyskoczyła ku niemu—nie ukryjesz nic! spojrzę i zgaduję... patrz mi w oczy!

Paweł niechętnie podniósł spojrzenie.

— Słuchaj... przysięgam ci na moją matkę, że ja nie kochałam nigdy nikogo... ciebie tylko... zapomnij! I cieniów niema żadnych za mną... wierzysz mi, gdy ja przysięgam? — krzyczała.

— Był szubrawiec, łotr, podlec, był taki... zgubił mnie na długie lata, stracił do błota... to minęło... dziś ja wolna, ja człowiek... przez naszą miłość... ty podałeś mi rękę... odrodziłam się... pójdziemy razem w nowe życie... Przysięgam, wierzysz mi? — pytała, ściskając mu mocno rękę.

— Wierzę, wierzę... — odparł prędko — jakże chcesz...

Patrzała w niego z uwagą, myślała nad czemś z troską na czole.

— Pamiętaj tedy! — i znowu patrzała mu w oczy.

Nastąpiło milczenie. On ważył jakąś myśl, którą krył, której nie potrafiła ani wydobyć z niego, ani odzegnać.

— A teraz, gdyśmy już skończyli z tantem na zawsze — odezwała się pierwsza — pokaż mi mieszkanie. Trzymałeś mię w salonie oficjalnie... już ja tu znam każdy deseń... Nudziłam się często.

— Nudziłaś się? — zdziwił się.

— Ano tak... kochałam przecież... a ty mi wciąż strugę zimnej wody.. no ale chodźmy...

I jęła przebiegać pokoje. W sypialni szturchnęła go pięścią w bok znacząco.

— Gdzie ona jest? — zaśmiała się ukazując łóżko żony — ty ją czy ona ciebie? biorę ciebie sobie... oddaję ciebie sobie... głupia musiała być gęś, jeśli takiego, jak ty, nie ceniła... Ja oceniłam i nie wypuszczę... — i obsypywała Pawła pieścizotami.

A wychodząc powiedziała mu:

— Przenieś się tu. Kiedy chcesz? dziś czy jutro?

Pawła to zapytanie wprawiło w kłopot.

— Ty tu... — odparł wahając się — chyba nie... bo widzisz...

Panna Malinowska odwróciła się plecami, długą chwilę patrzyła przez okno, potem rzekła:

— Pawle, ty mnie nie kochasz!

— Skąd znowu?...

— Tak jest. Inny mężczyzna... chcesz, żebym została tam... mam zapracowywać się od rana do nocy, przymierać z głodu... Mówiłam ci... a ty, a ty... doprawdy...

I wyszła stroskana.

V.

Życie ludzkie w tem podobne jest do księżyca, iż ma także swoje odmiany: więc ciemny okres nowiu, jaśniejszą, ale niekompletną epokę pierwszej kwadry, pełnię i wreszcie ostatnią kwadrę dogasania. Nie w każdym życiu świeci słońce szczęścia — miesięczne odmiany pomyślności są zawsze i powtarzają się periodycznie. Dla Pawła po mrokach nowiu, gdy tułał się bez celu i bez zajęcia, nieszczęśliwy w domu i nieszczęśliwy na arenie społecznej, po niepewnych blaskach sierpu, który wszedł na jego niebo w dniu zapisania się do partyi, nastąpiła właśnie pełnia. Zawdzięczał to pannie Malinowskiej, zawdzięczał miłości, nie tyle tej, którą odczuwał sam, ile tej, którą zdobył, która karmiła męską dumę zdobyczną, dumę posiadania. W przeciągu długich lat wysychało mu niekochane serce tak jak ptakowi wysycha złamane, niezdolne do lotu skrzydło, i cierpiała w niem drażniona zawodami męska miłość własna,—teraz z podniesioną głową szedł między ludzi. Znalazł na jałowych równiach istnienia krynicę i czerpał z niej napój odżywczy, ten sam, który doradzał mu przed rokiem, w doniosłej rozmowie ówczesny wódz i przewodnik, gdy on uskarżał się na cierpki smak najbardziej pracowitego i chwalebego życia—krynicę szczęścia, napój radości. Tak mu się wydawało przynajmniej, tak czuł w dniach upojenia... Panna Malinowska raziała go nieraz jakimś giestem, jakimś odezwaniem się, śmiechem, bezwzględnością sądów, jaskrawą nienawiścią klasową, okrucieństwem — wybaczał jej wszystko za blask uśmiechniętych do niego oczu, za słodycz szepczących pieszczotliwie jego imię ust, za krótką chwilę, gdy tuliła do jego piersi głowę, za czar garnących go ramion, za gorący niepokój wicherzących mu włosy dłoni. Była jego weselem. Niby dwoje dzieci uganiało po pokojach, droczyli się, żartowali, wymyślali jakieś zabawy. Pocałunek zaczynał, pocałunek kończył, w pocałunku zawierały się i treść i cel i podnieta. Przez wszystkie szczeliny każdego dnia wciskało się to kochanie, i nie zostawało już na nic czasu. Tęsknota — mądry i żaloszny puszczyk duszy, który odzywa się tylko w ciemności, odleciała z rozkwitłego w skwarze krzewu, nie było zresztą za czem tęsknić. Dusza zapadła w długie omdlenie, i to właśnie czyniło Pawła silnym i śmiałym. W uprzednich okresach ukazywała mu ona cele dalekie i miarę wysoką, znaczyła tęsknotą odległość do ideału, trapiła go smutkiem, nękała wyrzutami, i Paweł stawiał sobie doniosłe wyma-

gania, przeżywał nieubłagane egzaminy, sądził siebie surowo, słu-chał srogich nagan, upadał i podnosił się, błądził, szedł szukał bezwiednie Boga. Dziś zatrzymał się. W rozgwarze zajęć spo-łecznych i uciech miłosnych zgasło życie wewnętrzne a raczej zgasł religijny jego, sędziowski, spowiedniczy, wysoki głos, i urwał się ów zasadniczy trud duchowy. W Pawle zamilkły oba sumie-nia: społeczne obywatelskie i to drugie sumienie, moralne. Był całkowicie zadowolony z siebie. Z jednej strony—szczęście oso-biste, z drugiej—partya. Działalność zbiorowa daje spokój, któ-rego nie zna człowiek samotny. Jako członek stronnictwa, w któ-rego zbawczość wierzył, Paweł mógł zastąpić się jego progra-mem i pracą, mógł zamknąć usta wszelkim niepokojom i znaleźć na każde zagadnienie odpowiedź gotową i łatwą, jak ten, który jest z sobą samym w zupełnym porządku. Służąc gorliwie par-tyi, spełniał przecież tem samym wszystkie obowiązki wobec na-ródu, obowiązków wobec duszy nie było, bo dusza spała, bo nowy katechizm zdejmował z niej ciężar cierpienia i ciemnych brze-mion grzechu, zwalniał z odpowiedzialności, z przymusu doskona-lenia, wzbogacił go zyskiem radosnej nauki o szczęściu. I z Pa-włem stało się to, co ewangelia dosadnie określa wyrażeniem: zatyło serce, co w nowoczesnej mowie nazywa się filisterstwem. Nie był takim ani w epoce skrajnego konserwatyizmu, gdy w Na-borowie, przejęty stanowiskiem ziemianina, opierał przyszłość kra-ju na hasła: z polską szlachtą polski lud; ani potem podczas nużą-cego roku rozterki małżeńskiej i tułactwa politycznego—filistrem został dopiero teraz pomimo przewrotowej doktryny i rewolucyj-nych dążeń. Życie jego zmieniło się z gruntu, zewnątrz i we-wnętrznie. Przedewszystkiem pod wpływem miłosnych nalegań panny Malinowskiej przedzierzgnął się w eleganta pierwszej wody, powtóre posłuszny tymże wpływom zaczął używać wesoło i świe-tnie, on, ascetyczny dotychczas niby zakonnik. Odmłodził, wy-pięknił, rozruszał się, poweselał. Bawiło go wszystko. Jeździł na wyścigi, do teatrów, na nocne kolacye do gabinetów, odbywał wycieczki, zwiedzał ogródki, zapraszał do siebie kolegów, napeł-niał kieliszki szampanem... Na początku niezgrabny, omieśmie-lony i zdziwiony swoją nową rolą, wciągnął się rychło, przywykł, nauczył się i zasmakował w tem życiu, gwarnem, zapienionem, podniecającem jak wino, zaprawione pieprzem, który to mężczy-znę na koń wsadza. Dnie mijały na zajęciach, którym oddawał się ze znacznie uboższą gorliwością, wieczory i noce — na lu-cznych uciechach. Godziny ginęły świecące, zapadały w prze-szłość, jak zapada w mrok nocy strzelista raca. Nie zostawało

po nich ni żalu, ni wspomnień. Oczy czekały, że zabłyśną wnet inne. Świat stanął w nowem, sztucznem, jaskrawem a złudnem i łudzącem oświetleniu i kłamał wzrokowi, który chciał widzieć kłamstwo. W sercu wypalał się płomień, którego blask ślizgał się na powierzchni świadomości niby na gładkiem szkłe. Czasami przychodziło znużenie, znużenie dosytu, ale mocniejszym było działanie owego wina, zaprawionego piekącym pieprzem. I znowu dnie gorące, hałaśliwe, turkot wrażeń — oszołomienie. Wówczas to Paweł wysnuł dwa niespodziane wnioski: że towarzysze z partyi, którzy uprzednio stronili od niego, a nawet gardzili nim, teraz garną się i okazują mu sympatyę, i że zbytek, którym on otacza siebie, nie gorszy nikogo. Nazywali go — ona i tanci koledzy: „nasz pan“ albo „nasz hrabia,“ i Paweł czuł to, że imponuje im właśnie tem znieawidzonem bogactwem. Nie mieli mu nawet za złe, iż z powodu ogromnych wydatków zmniejszył swoją ofiarność na cele stronnictwa, a panna Malinowska tylko raz jeden rozgniewała się na niego, mianowicie tego dnia, gdy on odmówił jej pieniędzy na totalizatora. Nie żałował sobie przeto niczego. Kolacye, które od czasu do czasu znudzony gabinetami restauracyi urządzał u siebie, zyskały nawet rozgłos w mieście, opowiadano dziwy o całej ich „paczce“ i pokazywano ich sobie palcami, gdy przelatywali ulicami w mknących jak wiatr dorożkach. A potem na zebraniach, coraz częstszych ze względu na doniosłość czasów, oboje, on i panna Malinowska zabierali głos, i brzmiały ich ogniste zachęcające do czynu, do buntu, do zemsty mowy. Oklaskiwano Pawła, który nabrał wprawy i swady... słuchano go... nauczał...

— Przyznaj, że jestem coś warta — mawiała panna Malinowska — nauczyłam ciebie ubierać się, czesać się, pić i jeść, bawić się, kochać, żyć... zdobywasz sławę... Czem byłeś przed rokiem, czem jesteś dziś? podziękuj!...

I przysuwała ku niemu twarz, ażeby całował ją w usta. On zaś uśmiechał się pobłaźliwie uśmiechem męskiej wyższości, w którą już zaopatrzył się w stosunku do niej i do wszystkich kobiet, dawał jej prztyczka w czoło albo wyjmował szpilki z włosów, ażeby spływały potokiem.

— To wszystko przezemnie... A tanta, prawna, poślubiona, pobłogosławiona zgubiła ciebie... nie umiała ciebie ocenić... nie kochała... ani ty jej... nie kochałeś, prawda? ja jestem zazdrosna... powiedz, że ja pierwsza... — lubiła zapytywać o żonę.

Paweł opowiadał tak obojętnie, jak gdyby to był rozdział z powieści, opuszczając tylko swoją rozmowę z Obrońskim, której wstydził się po dziś dzień.

— Nie kochałeś jej — wnioskowowała skwapliwie panna Malinowska — domyślałam się, a teraz widzę. Miłość nie przechodzi tak z dnia na dzień. Pewnego wieczora powiedziałaś sobie, że cierpieć nie warto, że trzeba pójść drogą pracy publicznej i byłeś uleczoney. Gdybyś ty kochał naprawdę, nie poszłoby tak prędko...

— Złożyłem uczucie na ołtarzu idei...

— To taki sobie ładny frazes... spróbuj że teraz złożyć mi nie na ołtarzu idei.

— A gdyby trzeba było...

Panna Malinowska zajrzała mu z niepokojem w oczy.

— Tego nigdy nie będzie... Zobaczymy! ja na żadnym ołtarzu... — ostrzegła go pochmurnie.

— A gdzieś ty ją poznał? — pytała dalej — sto par tańczyło, co? oświadczyłeś się w tańcu?... Jak się to odbywa w wielkim świecie? komedia!...

— Co ciebie to może obchodzić? — dziwił się.

— Tak sobie — odpowiadała niedbale — czytałam w książkach, chcę wiedzieć... Więc na obiad wkłada się suknię dekoltową, a na śniadanie kapelusz? Czy to prawda, że jeśli ktoś zbliży się do panny, której nie był prezentowany, to go wyprowadzają za drzwi? — wydobywała z Pawła.

On cedził przez zęby, nudził się, zapadał w zadumę.

— I znowu zamyśliłeś się i taką masz twarz — wybuchała wówczas — w ten coś jest.. ty coś ukrywasz przedemną..

I albo całowała go bez pamięci albo poczyniała swawolić. Czasami przeszukiwała mu kieszenie. Któregos dnia znalazła w nich dwa listy, które przeczytała natychmiast mimo oporu ze strony Pawła. Jeden bardzo długi, francuski był od pani Kamienieckiej.

— Cóż? wzywają ciebie, żebyś jak syn marnotrawny powrócił do obowiązków — gniewnie mruknęła panna Malinowska, która nie chciała się przyznać, iż nie rozumie po francusku.

— Czytałaś...

— Rzuciłam tylko oczami... czegoż ona tam chce?...

— Zbankrutowali z racji Żymirskiego... Są w nędzy i moja żona...

— A teraz będą ciebie wydajać — z krzykiem przerwała. Nie daj się!... słyszysz!... ja już dopilnuję.. ani grosza! Niech zakosztują ci magnaci, jak smakuje chleb ubóstwa... Dobrze im... zasłużyli... wyzyskiwali, gnębili... nie zaszkodzi, jeśli z głodu przymrą... Czemu nie schowali sobie trochę frykasów na czarną godzinę...

Nie pierwszy to raz spadały jej z ust słowa nienawiści. Paweł sposepniał.

— Ty ze mną nie zgadzasz się! — wołała, tarמושząc go bez ceremonii—mów że! Możeś już posłał albo przyobiecał? pokorne ciele... Tanta zdradzała, oszukiwała, zadrwiła, a ty rozczuliłeś się... Nędza... Małoż to ludzi od urodzenia nie ma kawałka chleba!... kto biedny, niech cierpi... Ale jeśli, broń Boże, zubożeje bogaty, to już całe nieszczęście... Gdzież twoje zasady! Należysz niby do partyi, a wroga chcesz wspierać...—przekładała długo.

Paweł nie zaprzeczał. Odebrał jej list, złożył porządnie, wsunął do koperty, zamknął w szufladzie. Z wyrazu twarzy panna Malinowska odgadła, że wprawiła go w zły humor, a wiedziała z doświadczenia, iż w takich razach podnosił się w nim kamienny upór. Zamilkła.

Była cisza, po raz pierwszy między niemi cisza niechęci.

— Na ten drugi list, pani Skibowskiej—odezwała się—trzeba zaraz odpisać.

— Ale kiedy ja nic nie wiem—z roztargnieniem odparł Paweł.

— Nie wiesz?! całe miasto trąbiło... wyjechała z Rzyżniewskim.

— Pobrali się?

— A jakże! wyszły trzy zapowiedzi, zjechały się obie rodziny, było błogosławieństwo, był wieniec mirtowy... zupełnie jak u nas...

Paweł ważył coś.

— Ja nie napiszę o tem do matki — rzekł po namyśle.

— Widzisz-ci, jaki bogobojujny!—panna Malinowska była także zła—zresztą rób jak chcesz... stara prosi... radzę przestać adres... A adres, chyba Ryszard wie... przyjaźnili się...

Znowu nastąpiła cisza. Po chwili Paweł wstał.

— Wychodzisz już? — spytała.

— Tak. Pójdę do Ryszarda...

— Zaraz... dziś? tak gwałtownie!...

— Im prędzej...

Panna Malinowska domyśliła się, że on korzysta ze sposobności, żeby jej pozbyć się — i nie nalegała. Zaniepokojonemi oczami odprowadziła go do drzwi. Zwykle chodzili albo jeździli razem, a, jeśli rozstawali się, to następowały długie pożegnania... Dziś wyszedł nie rzuciwszy nawet spojrzenia... Było to ostrzeżenie...

*

*

*

Paweł trafił do Ryszarda na samą obiad, a że stosunek był sztywny i chłodny, od niejakiego czasu prawie niechętny, udał się do salonu i oficjalnie czekał. W całym mieszkaniu unosiły się zapachy kuchenne, nieznośny i gminny zapach brukwi, smażonej ze słoniną, w salonie, niegustownym, pospolitym, zapchanym tandetą, spała nuda. Paweł przechadzał się nucąc. Na stołach stały fotografie dziewczynki z koszem kwiatów w ręce, którą gdzieś już był widział, i kobiety, surowo ubranej o surowem czole. W rogu pod oknem drzemało marne zakurzone popiersie Słowackiego, ozdobione wieńcem, który wysechł oddawna, i czerwoną wstęgą, która zblakła. Oczekiwanie wydało się długiem Pawłowi, i przyszło mu na myśl, że to jest rozmyślna niegrzeczność. Więc zaczął podśpiewywać dość głośno i tupał chodząc, tak właśnie, jak galerya w teatrze, gniewna, że zwlekają z podniesieniem kurtyny. W tej chwili ukazał się gospodarz. Szedł wolno, trochę uroczyście, pełen powagi, którą przybierał w jakimś celu.

— Hrabia czekał na mnie... przepraszam...

— Jak na ministra...

— Ale hrabia uprzyjemniał sobie czas śpiewaniem — odparł równie złośliwie — mieszkam z żoną...

Usiedli. Ryszard czyścił zęby wykałaczką, niedbale słuchał, gdy Paweł wyłuszczał swój interes. Parę razy od niechcenia skierował na niego wzrok, zapewne zdziwiony elegancją wyglądu i zmianą, która zaszła w tym szeregowcu armii proletaryatu. Kilka minut rozmawiali o potocznych sprawach partii — nie mieli sobie nic do powiedzenia. Padały obojętne słowa, tamten wciąż zajęty był wykałaczką.

— Należałoby pomyśleć o wyborach — zauważył Paweł.

— O wyborach?

— Podobno niezadługo...

— Podobno... kto wie... — Ryszard zamyślił się — kto wie, co będzie — dodał zagadkowo.

— Wypadki idą w szybkim tempie...

— A hrabia wciąż czynny...

— Robię, co mogę... od sztandaru nie odstąpię.

— Hrabia nie odstąpi od sztandaru! — powtórzył.

Zezowate spojrzenie jego błysnęło uśmiechem, który wnet stłumił.

— Chwila dziejowa położy rozdział między ludźmi — zajączkował — dla jednych będzie płacz i zgrzytanie zębów...

— A dla drugich?

— Co każdy sobie sam zgotuje... życie nie daje nic darmo...

— Oprócz szczęścia...

— To pan hrabia je znalazł?... — w oczach majaczyło niewyraźne odbicie dalekiego uśmiechu, który przewijał się spodem jego myśli.

— Wziąłem je, pan doradzał.

— Ja? — zdziwił się wódz — ja nigdy rad nie daję.

— Owego wieczoru, po zebraniu... pamiętam.

— Owej nocy... tak... kiedyśmy wspólnymi siłami obalili Boga... hrabia uznał, iż życie jest bogiem radosnym... pan szukał i znalazł... patrzcie... odrazu... czasami szczęście kosztuje drogo, czasami tanio...

Nie kończył zdań. Paweł czuł, iż w każdym z nich drży pocisk szyderstwa, że one są związane utajoną nicią przewodnią, i rozdrażniony a bezbronny miał już wychodzić. Tymczasem niespodzianie zjawił się Janek Śniałowski, którego lubił, którego oddawna nie widział — i został na dobre. Śniałowski wrócił tego rana z dalekiej i długiej podróży, opowiadał gorąco, przejęty misją swoją, natchniony, pełen wiary; nuda, która jak słota wisiała w tym pokoju, rozwiła się w jednej chwili.

— Nie macie pojęcia — powtarzał wciąż Janek — co tam jest i jak tam jest... Widziałem blade oblicze rządu, widziałem dobywające się z ziemi płomienie... ziemia drży... obrzym powstał i podaje nam braterską dłoń... — płonące słowa padały niby iskry na słomę wierzeń Pawła i zapalały ją.

— I prędko już?! — pytał jakimś nieswoim głosem.

— Czy prędko? za godzinę albo dwie najdalej — zaśmiał się Janek — zanim wyjdziemy stąd! może już sprzedają za dwie kopiejki dodatki nadzwyczajne!... Tu, jak w połogu, mój drogi, niecierpliwość nie pomoże. Trzeba działać, przygotowywać...

— Pan hrabia kapany jest w gorącej wodzie — wstawił Ryszard.

— Co to wy tytułujecie się tu niby w Wersalu — zdziwił się Śniałowski, który był prosty.

— Suum cuique — mruknął wódz zakłopotany.

Paweł nie był spostrzegawczym, ale zauważył, że Ryszard stał się innym człowiekiem od chwili przyjścia Janka, że sztywny, chłodny, uragliwy i trochę sztuczny z nim — z Jankiem usiłuje być przyjacielskim, serdecznym i prostym, że poważny i wybitny wódz, prawie nadskakuje młodzikowi, który niedawno wstąpił do partii, że nadzwyczajnie liczy się z jego poglądami, że stara się przypodobać mu się i chce go pozyskać w jakimś celu, że jest zaniepokojony... Znać to było w ruchach i spojrzeniach, w skwa-

pliwoci, z którą potakiwał, w pośpiechu, z którym cofał swoje odnienne zdanie, w gościnności, jakby robionej i prawie zbytecznej... Korzystając z przerwy w opowiadaniu, wprowadził swoją żonę i córkę, prezentował — Pawła chłodno, Śniałowskiego z dodatkami całego tuzina najpochlebniejszych epitetów, potem kazał podać czarną kawę i jakiś koniak, o którym twierdził, że jest doskonały, i zapraszał z przesadnymi gośćmi, częstował „po staropolsku...“ Było posiedzenie rodzinne dosyć nudne. Śniałowski, nietowarzyski wogóle, a dziki wobec kobiet, zamknął się w swojej skorupie, żona, owa pani z fotografii o surowym wyrazie anemicznej twarzy, nie umiała zabawiać gości i zajęła honorowe miejsce tylko od parady, Paweł rzucił kilka zdawkowych światowych słów... Mimo wysiłków gospodarza, który chciał wywołać nastrój ciepła, nie kleiła się ta scena. Śniałowski był wrogiem trunków, i koniak został nietknięty w kieliszkach. Zapadało wciąż milczenie. Wówczas Ryszard żartował z córki, symbolicznie nazwanej Judytą, którą trzymał na kolanach, której jasnemi włosami bawił się. A dziecko patrzyło wystraszonem spojrzeniem. Wreszcie Śniałowski począł się żegnać i wyszedł razem z Pawłem.

— To nam kazał celebrować w tem święcie domowem — rzekł na ulicy — i co on miał w tem za myśl? Nie rozumiem!..

— Chciał pochwalić się żoną, córką i koniakiem.

Szli w milczeniu.

— Mniejsza o to — zaczął znowu Janek — ale wiesz, że ja jego nie lubię... Nie wierzę mu także... Ten jego salon...

— Z zapachem brukwi...

— Daj spokój — zmecierpliwił się Śniałowski — mówmy poważnie. Nie lubię go, bo i w nim, i w tym salonie, i w szczęściu rodzinnem, którem popisuje się, jest filisterstwo, mieszczaństwo, sen zadowolenia... założył gniazdko, i rad jest, i dosyć ma walki, i gotów popierać rząd, bo pozwolili mu osiąść tu legalnie... Zobaczysz, on zaraz przejdzie w stan spoczynku... to znaczy: odda się pracy naukowej, która tyleż w obecnej chwili potrzebna, co choremu traktat o nieśmiertelności. Większość tak kończy. Dwu świeczek palić nie można! albo ołtarzyk domowy, albo tanto...

— No widzisz, przecież każdy ma prawo do pewnej sumy szczęścia — zauważył Paweł — jedno jest tylko życie...

Śniałowski popadł w zadumę i nie odpowiedział. Potem, przypomniawszy sobie coś, rzekł:

— Chciałbym pomówić z tobą poważnie... na osobności...

— Więc chodź do mnie.

— Sami będziemy? — znacząco podkreślił pytanie.

- Przecież wiesz...
- Pewny jesteś, że nam nikt nie przeszkodzi?— spytał znowu i zmieszał się.
- Aż do jutra, jeślibyś chciał — swobodnie odparł Paweł.
- Dobrze, chodźmy...
- A zawsze jeszcze trzymasz te swoje salony? — już przed domem odezwał się Śniałowski.
- Nie chce mi się zmieniać...
- Chybaś dawno nie widział, jak mieszkają inni... tam... — nie dokończył Śniałowski.

VI.

W salonie widok stołu, zastanego powalanyim obrusem, z resztkami onegdajszej wesołej kolacyi, z plutonem kieliszków pod dwoódtwem pękających butelek, napełniał Śniałowskiego wstrętem, więc przeszli do gabinetu. Tu znowuż rozprasały uwagę, zaciekawiając oczy, kapelusze damskie i długie, białe, zbrukane rękawiczki, wędnące kwiaty, oraz rozrzucone w nieładzie kolorowe pocztówki, ilustrujące dosadnie i dokładnie przebieg paryskiej miłości. Śniałowski stanął u okna i nieśmiało zaczął:

— Przechodzę odrazu do rzeczy... może nie mam do tego prawa... młodszy jestem, ale polubiliśmy się od pierwszego spotkania, była między nami przyjaźń... zresztą idea... — urwał.

— Ty zapewne domyślasz się, o czym ja chcę mówić— spytał.

— Nie... skądże bym ja miał wiedzieć! — dobrodusznie odparł Paweł, zbliżywszy się do niego.

Obaj patrzali chwilę w rozległy widok, ku owym wysokim, posępnym wieżom kościelnym, z których przed rokiem w zimową noc zawołał na Pawła głos napomnienia. Śniałowskiemu nie chciało się mówić. Dziwna w działaczu nieśmiałość i czuła wrażliwość tamowały stanowcze słowa, które przyniósł tu, które przygotował był — i ociągał się. Myślał o chmurze, która przepływała nad krzyżem świątyni i zazdrościł jej w tej chwili, że mija na błękitach, że wolna jest i wysoka, że zna przeczyste obszary niezmiernych niebios... Drażniła jego surową duszę woń perfum i kwiatów, ciężka w pokoju, nie przewietrzanym oddawna.

— Jak wiesz — rzekł naraz stanowczo — byłem długo nieobecny, wróciłem dziś rano... Wyjechałem tegoż wieczora, co tamten nieczemnik, Żymirski... po krótkiej rozmowie z nim... mniej-

sza o to... Dowiedziałem się o zmianach, które zaszły — mówił urywanymi zdaniami — zdziwiłem się bardzo, gdym posłyszał, że ty... — nie dokończył.

Położył Pawłowi rękę na ramieniu, patrzył mu w źrenice oczami, które pod wąskim czołem fanatyka były łagodne i ciepłe.

— Słuchaj, Pawle — zaczął serdecznie — znany się dobrze, chociaż od niedługiego czasu. Zajrzałem w twoje myśli, w twoje serce, i ja jeden może oceniłem ciebie podług wartości. Spieraliśmy się w każdej rozmowie, nie mogliśmy zgodzić się na żadnym punkcie. Dziwny z ciebie eklektyk, a także oportunistą... oportunistą mimo prawości w przekonaniach... Tak się w tobie płacze jedno z drugim... upór i wytrwałość z chwiejnością... Przez życie trzeba płynąć o własnych siłach, walczyć trzeba z prądem — ty zaś siadasz do tej łodzi, to do owej i chcesz, żeby ciebie przewieziono. Pragnąłbyś szybko, łatwo... tymczasem idea jest jak dziecko, które matka wydaje na świat w boleściach, i tylko własna idea stwarza zdolność do poświęceń... Cudze dzieci, podrzutki, udają się rzadko... Potem ambicyja twoja... Ambitny szuka przede wszystkim chwały i oblatuje szeroki świat, a dość jest zostać w domu i głęboko przeorać własny zagon. Sława leży pod najtwardszą skibą. Sława to dodatek...

Twarz Pawła posepniała.

— Po co to kazanie? — przerwał.

Śniałowski znowu popatrzał się w niego.

— Masz rację. Język mi się rozgadał — uśmiechnął się. — Im lichszą jest książka, tem dłuższą przedmowę przyczepia do niej wydawca.

— Ale ty nie gniewasz się na mnie, prawda? — wziął rękę Pawła — można widzieć wady i tem bardziej lubić kogoś, a stosunek musi być oparty na szczeroci. Mówię, co myślę — inaczej nie uniem... mogę milczeć, jeśli wolisz...

— Owszem, ja wdzięczny jestem... — bąknął Paweł, którego zaniepokoiła ta rozmowa.

— Byłem pewny, że mi taką a nie inną dasz odpowiedź. Znam ciebie i znam twoją przyjaźń. Różnimy się w przekonaniach, jakkolwiek działamy pod jednym sztandarem, ale ja zawsze broniłem ciebie. Zraziłeś wielu pozorami, był czas, że w partyi ostrzono na tobie języki — zamknąłem im usta. Pamiętasz, po owem zebraniu, na którym zostałeś wygwizdany, zbliżyłem się pierwszy. Najzarliwszy oponent podał rękę przyjaźni. Odśloniłeś wówczas duszę swoją, w której mieszka szlachetne i rzetelne pragnienie dobra. I życie twoje świadczy... Boć co różniło cie-

bie ze stronnictwami, z ludźmi, co uczyniło z magnata towarzysza? Błądząc poomacku, od dawnych, od najwcześniejszych lat dążysz do ideału... szukałeś, szukasz... Mógłbyś być przecie ty, bogaty pan, zająć t. zw. stanowisko, łatwą i krótką drogą dojść do szumnych godności, zostać ojcem ojczyzny, zasnąć snem sprawiedliwego, a przez sen rzucać kłutwę na tych, co spać nie umiając, jękiem cierpienia, krzykiem męki, przeszkadzają spać... Coś pchało ciebie... Odważny jesteś i brzydzisz się obłudą. Gdy przekonałeś się, że żona ciebie nie kocha, zerwałeś fałszywy związek, kopnąłeś przesady... Słuchaj, Pawle, ja szanuję ciebie...

Sniałowski ścisnął mu rękę i patrzył mu w oczy, i na twarzy jego, młodej, a chwilami przedwcześnie cierpkiej i bolesnej, odbił się blask szczęścia. Zdawało się, że ten fanatyk naiwnie rozmarzonym wzrokiem spogląda ku jakiemuś dalekiemu ukochaniu.

— Najbardziej zaś ceniłem w tobie — ciągnął dalej, a głos tłumilo mu wzruszenie — ale to już sprawa prywatna... chociaż niezupełnie... Widzisz, my obaj z tobą... Ja ceniłem czystość twego życia... Imponowałeś mi... Zepsucie weszło w krew narodu... W tem rozbawionem, w tem nieszczęśliwem, a najweselszem mieście zapanowała wszechwładnie t. zw. facetka... we wszystkich warstwach... Jak pacierz, facetka zaczyna i kończy dzień tego miasta... ona jest treścią myśli, dążeń, rozmów... królowa o małej lakierowanej nóżce, pachnąca, szeleszcząca, zalotnie robiąca perskie oko, jedna w tysiącach odmian... Uważałeś na ulicach... już od rana... potem wieczory, noc... Niezdrowa krew krąży po żyłach... Odbywa się polowanie, jakaś nieskończona bezwstydną ruja... Mieć, posiadać, używać... leją się pieniądze... kawiarnie, ogródki, gabinety... każdy śpieszy... trujący szal... pokaż ty mi uczciwego mężczyznę! Mój Boże, co stało się z kobiety, z miłości, z wielkiej twórczej poezji życia! Wyśmiewano mnie, że ja romantyk, że ja czcę... Ty jeden byłeś wyjątkiem. Z ust twoich ani razu nie padło słowo bezecne... czysty i samotny stałeś... W milczeniu składałem ci hołd i rosło mi serce, że my dwaj... Ja wierzę, że tylko czystość daje siłę... Jeśli by świat miał pójść tą drogą i nie odrodził się, skapany w podniosłej idei, to nie warto... Pamiętasz naszą rozmowę o odrodzeniu tam za miastem, na miedzy chłopskiej, w upalny dzień czerwcowy?... A teraz...

— Teraz dowiaduję się — ciszej kończył — że ty tu ogarnięty szaleńcem, że w tej wielkiej godzinie narodzin wy rozbijacie się, że dajesz przykład innym, że wciągasz... I w mieście mówią:

patrzcie, ci z partyi niegorzej od nas... mówią tak... i ta... ta Malinowska... nie spodziewałem się po tobie i po niej...

Drżał mu głos i drżały te słowa wyrzutu. Młodziąca twarz jego stała się bolesną, wąskie usta zacisnęły się cierpko, dokoła oczu wystąpiły zmarszczki przedwczesne, spojrzenie było ostre... Pchnął okno, bo dusiła go w pokoju woń, która opowiadała o tem, co on potępiiał, nad czem cierpiał... Paweł milczał zdziwiony i niespokojny, jak przezorny gospodarz, który pozamykał wszystkie drzwi, a budząc się w nocy, spostrzega w komorze obcego człowieka, zajętego przetrząsaniem skrytek — i nie próbował bronić się. Była cisza. Śniałowski odpoczywał, wpatrzony w rozległy widok miejski, w bezładne stoczenia dachów, z pośród których strzelały wieżycy kościelne, one jedne dążące do niebios. Zbliżała się już pora wieczorna i chmurne niebo przetarło się tu i owdzie. Na zachodzie rumieniły się obłoki...

— Pawle — znużonym głosem odezwał się Śniałowski — powiedziałem już wiele, to wszakże nie wszystko... skończę...

Ale nie było mu pilno, bo długą chwilę jeszcze milczał. Potem, pochyliwszy głowę, cicho mówił, a wargi kurczyły mu się od słów, szeptanych prawie ze wstrętem.

— Chcę, żebyś odemnie postyszał prawdę o tej... Malinowskiej... Ja ją znam lepiej, niż ty... Historia z Żymirskim była głośną... gadali wszyscy... Gdy wstąpiłem do partyi, gorszyłem się, że i ona gra w niej pewną rolę. Wielkie idee rozwijają się tylko pracą ludzi czystych. Tymczasem chwalono jej niewyczerpaną ofiarność, jak gdyby pieniędzmi można było zmyć brudy. Potem i ja zmieniłem o niej zdanie, pogodziłem się, wybaczyłem... ten nikiemnik złamał jej życie... kochali się niegdyś, zawarli związek miłości, który z racji Żymirskiego stał się tem, czem był aż do końca. Więc wydawało mi się, że dobrze jest, iż my wyciągnęliśmy do niej rękę, że dźwignęliśmy ją, że wyratowaliśmy od ostatecznej hańby. Przecież idea nasza roztacza skrzydła nad skrzywdzonymi i nieszczęśliwymi. Do takich zaliczałem tę... pannę Malinowską. Namawiałem ją nieraz, żeby zerwała, a ona tłómaczyła się chęcią zemsty i wybuchała nienawiścią. Zrozumiałem, że kocha jeszcze, bo podobno kobieta tem mocniej kocha, im bardziej pragnęłaby nienawidzieć. Jestem bezwzględny często, ale uznaję i litość... Rozpytaj tę pannę Malinowską, ileśmy książek przeczytali razem, ile wieczorów spędzili na rozmowie. Ukazywałem jej wielkie cele i górne drogi — potakiwała mi nietylko słowami. Wierzyłem, iż zbudziły się w jej sercu podniosłe

pragnienia... I taki zawód... Nie mogę ochłonąć... Dowiaduję się, wróciwszy, że ona w parę dni po wyjeździe tamtego do ciebie, że z tobą wesołe życie... że przed tobą byli inni...—dokończył z obrzydzeniem i ukrył twarz w dłoniach.

Paweł stał zakłopotany, z zakłopotania podkręcał wąsy.

— Pawle — wybuchnął nagle Śniałowski — zerwij z nią! Ja proszę ciebie w imię idei, w imię przyjaźni, w imię szlachetnej duszy twojej, która przez tyle lat dążyła wysokim szlakiem. Zerwij!... ona niegodna, nikczemna, pełna kłamstwa... Ty zostań, czem byłeś... czystym, silnym, prawym... Pawle!...

I znowu cisnął jego rękę i wzrokiem prawie natchnionym przenikał.

— Ty chcesz, ty prosisz... — szepnął Paweł — doprawdy...

Urwał, nie wiedząc, co mówić. Nastąpiło milczenie. Tamten, świadomy siły swego spojrzenia, patrzył, piętnował, zaklinał, budził. Niepokój wichrzył myśli Pawłowe. Pomknęły spłoszonym tabunem i rozproszyły się, on zbierał je.

— Będziemy z tobą, jak dawniej — marzył jeszcze fanatyk — przyjaźń wytrzyma tę próbę, ciężką ale konieczną. Opętał ciebie zły duch — ja przyszedłem wyzwolić. Rozboleła mi się głowa od zaduchu rozpuszty, który był w tym pokoju — i otworzyłem okno. To samo uczyniłem z tobą. Niech świeży powiew... W nas czystych była siła, w nas odrodzenie... Pójdziemy naszą drogą do celu — my jedni...

Czekał chwilę odpowiedzi, znaku zgody.

— Zajrzyj w swoją duszę, Pawle! — wołał znowu — co stało się z nią... Upadłeś raz i stoczysz się na sam dół... Wysokie słowa, wyznawane ustami, nie pomogą, bo życie będzie zaprzeczeniem, jednym wielkim kłamstwem. Skaleczony wlec się będziesz i poznasz największe z nieszczęść, które spotykają człowieka: zatracenie duszy własnej. Pomyśl tylko! hańba, brud, ciężar winy... co dnia, co dnia... Świat wije się w męce... chybaś zapomniał! Jak nie spłonęło ci serce ze wstydu, gdy między jedną uciechą a drugą stawałeś wśród cierpiących, wśród tych drogich naszym... I miałeś odwagę mówić do nich... Ja wiem, że już zbudził się w tobie żal, że rozwiewa się szal... toczysz walkę... ja poczekam...

I rzeczywiście Śniałowski zamilkł. Gorejącymi oczami szukał drogi do duszy, objął Pawła ramieniem i tak stali.

— Zwycięzam! — szepnął marzyciel — zwycięża wielka prawda dziejów... Znam ciebie... Wiedziałem...

Ale na innych szlakach były myśli Pawła. Zdążył już zebrać je i uszykować do walki. Zaczął od tego, że chrząknął, i, trąc sobie czoło, co czynił, gdy był zmieszany, odezwał się:

— Dobrze, ja pójdę z tobą. Zerwę z nią, zainkuję się samotny, usłucham. Zapytam tylko, co ty mi dasz w zamian, czem mi wynagrodzisz nudę i pustkę życia?

Śniałowski nie spodziewał się tej odpowiedzi, nie przypuszczał wogóle oporu. Wymknęło mu się westchnienie. A Paweł ciągnął dalej:

— Długo szedłem drogą, na której ty chcesz mnie zatrzymać... Znam ją... tam chłód, tam wyrzeczenie się, posępne dogasanie i uwiąd. Doświadczyłem na sobie. Zmarnowałem najcenniejszy kawał życia—młodość. Jedno jest życie i każdy z nas ma jedno tylko bogactwo, to właśnie szczupły kapitał dni, tak skąpo odmierzony. Należy korzystać... Wiem, że nie wolno używać samolubnie, że na świecie ludzkość przytłoczona krzywdą — nie potrzebujesz mi przypominać. A od czegoż nasze stronnictwo? Walczymy w partyi o lepsze warunki egzystencji dla mas, sam mówiłeś, że to jest okres narodzin, że rychło zmienią się dola upośledzonych. Idea, której obaj służymy, niesie szczęście, i życie rozkwitnie w niej, jak w słońcu, życie, wyzwolone z więzów cierpienia... Rzucamy hasło radosne i chcesz, żebyśmy odwrócili się od radości — cudzemi słowami walczył Paweł i przysłuchiwał się sobie, rad ze swego krasomównstwa.

Obcesowe natarcie Śniałowskiego zaskoczyło go zniemacka. Zdumiony i nieprzygotowany zachwiał się zresztą tam w głębiach odezwała się zbudzona ze snu dusza. Była chwila, że przyznawał słuszność. Ale kłamstwo, w którym żył, uzbroiło go i okryło pancerzem, chroniącym od ciosów z zewnątrz i z wewnątrz. Zabrał głos bez zapału, potem — zdarza się to często z ludźmi, którzy nie mają własnych poglądów — już w ogniu sporu nabrał przekonania i zapału do bronionej sprawy. Dlatego przysłuchiwał się sobie i cieszył się.

— A ty niby puszczyk — szydził nawet — ty jak zakonnik, który kocha posty, mrok i biczowanie się, ty pustelnik... Skaleczony nawołujesz, żeby wszyscy skazali siebie na ułomność...

Przeszedł się po pokoju.

— Mój drogi—z coraz większą swadą dowodził—użytecznym może być tylko człowiek zdrowy, a zdrowie polega na normalnym rozwoju wszystkich władz. Idea nie wystarcza. Byłem mózgowcem i rozumiem dziś. Skąd to znużenie, ten pesymizm i brak woli w całym pokoleniu? Bo książka, bo idea, bo doktryna za-

biły życie. Ty mówisz, że czyści, że duchy bezcielesne zbawią świat... Jakieś zimne, zbolełe suchotniki... Nie prawda! Tylko zdrowi, tylko ci, co życie kochają, potrafią coś zdziałać...

Śniałowskiego oczy patrzyły w ziemię.

— Przed rokiem — opowiadał Paweł — w tym samym pokoju prowadziłem długą rozmowę z Ryszardem. Nie znałem jeszcze programu, miałem wątpliwości. On to nazwał wówczas ideę, tę saną, z której ty splatasz niemilosierne kajdany, radosnem wołaniem tych, co pragną szczęścia na ziemi...

Śniałowski uczynił gest zniechęcenia.

— Nie machaj ręką, gdyż on miał rację, a nie ty — wpadł na niego Paweł — uciemieniony, okłamany, zatruty dogmatem cierpienia człowiek, domaga się szczęścia, rozkwitu, pełni życia, bujnego rozrostu. Dość przeorać niwę... krążą w niej krzepiące soki, a słońce świeci blaskiem. Dla kogoż ta ziemia? czyimże ma być mieszkaniem? Kości zmarłych pokoleń skarżą się, że zmarowane leżą skarby... My obdarzymy ludzkość złotem radości!...

Paweł przebiegłe, chociaż może bezwiednie, rozmowę z osobistej uczynił zasadniczą, Śniałowski zrozumiał ten manewr, zwykły w podobnych wypadkach i, zwątpiwszy, wyrzekł się nawracania. Zaległo między nimi milczenie. Śniałowskiego trawił smutek. Spojrzeniem niezmiernego żalu spoglądał w zorze nad miastem. Przypomniiał mu się wiersz wielkiego poety:

Dzień mój przygasa
Ten lazurowy, ten słoneczny dzień.
Niech gaśnie, niech ginie!
Niech upragniony nadejdzie już wieczór
Ze swoją ciszą wieczystą!...

Do duszy naiwnej, do marzycielskiej duszy fanatyka wkra-
dło się znużenie — zachybotła się w niej wiara. I myślał, że
trzeba mu iść stąd, żeby w samotności odboleć dwa zawody: upa-
dek kobiety, którą podnosił, i zbłąkanie przyjaciela, że w pracy
odważnej zaczerpnie nowych sił. Ale smutek szedł od gasnących
niebios... W pamięci brzniały słowa umęczenia:

Czemu nie gaśniesz ty zorzo?
On był i myśmy byli przed początkiem
Zanim się stało to, co nas pożera
Czemu nie gaśniesz?!

Zadumanemi oczami błdził nad bezładną ciżbą duchów, nad
rozległym obszarem miasta, które pokochał, któremu chciał nieść

ratunek, słowo mocy, wiarę dobrą, i zdawało mu się, że obłok mroku zasłania złote blaski nieba, że wznosi się wyziew trujący, że wyrasta niezmierne widmo, widmo zła, że ono spada mu na barki, przytłacza go do ziemi i miażdży kości — i ugiął się pod brzemieniem, wyrzekał się twardej służby, wątpił, tęsknił... Gdybyż on nie był zupełnie samotny, gdybyż ktoś zdjął z niego ten ciężar, którego nie udźwignie! Sam przeciw wszystkim!... i to życie utarczek codziennych, małych usiłowań, krótkich pociech!... Cóż znaczą drobne krople dobra w głębokim, w szerokim strumieniu zła? Czemże jest on, człowiek znikomy i słaby wobec potęgi odwiecznej, ogromnej? Marzenie dusz pojedynczych... wiara wysokich — daremna, zwodnicza... Nie skruszył że potęgi złego Tamten, najbardziej miłujący, najczystszy, słodki Uzdrowiciel świata... Zdawało się... wielkiem żarzewiem zapalił się świat... Ręka Jego, z przeszłości błogosławiąca ziemi nie czyni już cudów... Był Nauczyciel, nazwano Go Bogiem, uwierzono — i cóż się stało z Jego Nauki? Gdzie owoce? Ziarna zmielone na powszedni użytek, kurzawa słów w pamięci... Z drogi dziejów niemasz powrotu... a droga ku zatraceniu... I nie warto, nie warto... Stulecia mijają... jedne budują, drugie burzą, gadają różnemi języki, spierają się — i trwa niedola... chichoczą żądze... Ukochał ideę, służył... powiewa na wietrze sztandar, brzmi próżne hasło... sług, żołnierzy, towarzyszków pancernych nie zwołać... Ręce chciwe chciwie wyciągnięte po złoty kubek... Nie lepiej że zejść im z gościńca, ukryć się, zamknąć się w cichym przybytku...

Śniałowski przeraził się tych myśli, zdusił je i gwałtem woli uderzył w struny wiary.

— Rozchodzimy się, Pawle — rzekł cicho — ty w jedną drogę, ty w gwarnym tłumie, a ja... Patrzę oto w zorzę, w której dopala się ten dzień... Czyj dzień? może mój, jeśli ja chory i chorobę sieję... może świata? Ale ja wierzę. Kończy się dzień krzywdy, rozpusty, hańby, szarów, złych żądz. Deszcz krwawy spłucze ohydę — odrodzona ludzkość, czysta i silna, zbudzi się o poranku — mówił bez zwykłego ognia.

— Ciężko mi odejść stąd, dawny przyjacielu... upadłeś tak nisko... nie zaprzeczałem tobie... ale że ty, że ty szczęściem nazywasz te brudy, że kalasz usta... Łudziłem się, że my razem z tobą... Gdybyś wiedział, jak garnie się młodzież, ilu już poszło za mną i jaka stąd moc, możebyś zmienił... zresztą kiedyś, bo ty dziś upojony... — zgasty mu w zniechęceniu słowa.

— Uskarżałeś się, że jesteś sam... tymczasem słyszę teraz, że tworzysz legiony — niesnacznie zadrwił Paweł.

Nie zauważyli obaj, że był dzwonek, że lokaj otwierał drzwi, że ktoś szedł szybko przez salony, że stanął na progu. Panna Malinowska zniemiała się na widok Śniałowskiego. Obaj jednocześnie odwrócili się od okna. Śniałowski nie chciał jej widzieć i wbił oczy w ziemię.

— Przyszłam po rękawiczki — prawie szeptem powiedziała panna Malinowska — ja zaraz pójdę.

Z nieśmiałością wsunęła się do pokoju, szukała czegoś, miała odejść. Ale zaszła w niej zmiana. Wyprostowała się i z płomieniem na twarzy rzekła głośno:

— Nie poznajecie mnie, towarzyszu Śniałowski?

Tanten nie poruszył się.

— Pytam się, czy nie poznajecie?

— Znać nie chcę...

Panna Malinowska skoczyła do Pawła.

— Słyszysz!—krzyczała—słyszysz! ubliżają mnie tu, w twoim domu, w twoim domu... ty pozwalasz?

Paweł ujął jej ręce, bezradnie patrzył.

— Powiedz ty jemu... temu... że ja tutaj, nie on! że ty mnie kochasz, że tu nie wolno nikomu! Powiedz to zaraz, żeby poszedł... proszę stąd wyjść, panie Śniałowski!

Śniałowski był błydy, drgały mu cierpieniem wargi. Nie znosił tak zwanych scen. Spojrzał raz na Pawła... Budził się w nim fanatyk idei, człowiek bezwzględny i surowy.

— Pójdę — zawołał twardo — ja z tego pokoju, ale wy. wy dwoje—z partyi. Dla takich, jak wy, niema w niej miejsca. Kto żyje nikczemnie, niech nie dotyka sztandaru—i wyszedł.

— Poczekaj! — wyrwało się Pawłowi.

P. Malinowska zatknęła mu ręką usta, objęła go. Ale Paweł odsunął ją od siebie, postąpił ku oknu, usiadł we framudze, zwiesił głowę. I naraz przypomniał mu się pewien wieczór z przeszłości, gdy po nieudanym odczycie długo w gwiazdzistą noc chodził pustymi ulicami miasta, gdy z wysoka i z daleka przyglądał się własnemu życiu, miał niesmak w ustach i smak marności w myślach... Pojmował wówczas coś, co teraz majaczyło niewyraźnie, był bliżki płaczu i wówczas i dziś...

KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLECIEM...¹⁾

Niepodobna, pisząc — jak my tutaj — o Łodzi i jej okolicach, oprzeć się pokusie wyświeatlenia jej zawiązków, pokusie dotarcia do tej tajemnicy, która — naprzekór dziejopisom — pokrywa podziśdzień osobistość jej założyciela. Nie chodzi nam bynajmniej o rzecz niedościgłą: o odtworzenie pierwocin samej osady i docieczenie kto był najdawniejszym jej osadnikiem, choćby i w historycznej dobie. Chodzi nam jedynie o to, kto jej miano dzisiejsze nadał, kto był twórcą zawiązków „miasteczka?“. Był nim, jak wykazaliśmy wyżej, niewątpliwie jakiś Łódzic, żyjący w okresie między połową XIII-go i XV-go stulecia, t. j. w czasie najbujniejszego osadnictwa kościelnego w łęczyckiem. Ostatni ten wzgląd upoważnia do przypuszczenia, że tajemniczym Łódzicem, o jakim mowa, nie był żaden maż świecki, który, ni stąd ni z owąd, przywędrował na terytoryum, objęte wpływami Kościoła, lecz możny jakiś dostojnik duchowny, co bystrem spojrzeniem doniosłość położenia „Łodzi“ na tle ówczesnych warunków ocenił.

A w rzędzie warunków tych, których genezę i rozwój znamy już dokładnie, istniał jeden jeszcze — niepośledniej wagi. Oto Łódź późniejsza leżała nietylko na rozstaju trzech fal kolonizacyjnych Kościoła, bijących w łęczyckie, ale i w pobliżu wielkiego traktu handlowego, który, dążąc przez Brześć Kujawski, Łęczycę i Opoczno, łączył Toruń z Sandomierzem, a doczekał się w r. 1349 ze strony Kazimierza Wielkiego sankcyi uroczystej w układzie Polski z Zakonem.

¹⁾ W wydaniu obecnem tego studyum pomijamy wszystkie, liczne i skomplikowane, przypiski źródłowe.

Jakkolwiek horoskopy rozwoju handlowego Łodzi miały być w tych czasach dość zawodne, to jednak one to — brak bowiem wszelki powodów innych — wpłynąć musiały u schyłku wieków średnich na powstanie „miasteczka.“

Osada ludzka, z której miało się ono wyłonić, weszła, jak wiadomo, w skład posiadłości biskupów kujawskich pomiędzy rokien 1250, a 1332. Jesteśmy skłonni do przypuszczenia, że Łódź, o której przedtem w źródłach całkiem głucho, w tym właśnie czasie od jakiegoś Łodzica duchownego przyjęła swe miano.

Łodziców z dziada pradziada nie było w tych stronach. Siedzieli oni w Wielkopolsce rdzennej, gdzie, poczynając od wieku XIII-go, a zwłaszcza od drugiej jego połowy, piastowali w osobach najwybitniejszych swych przedstawicieli, Komesa Przedpełka, oraz syna jego, Mikołaja, godność wojewodzińską poznańską i kaliską, a w osobie Wincentego, brata Mikołajowego, kanclerstwo wielkopolskie. Rodowem ich gniazdem była Łódź pod Stęszewem, obecnie w powiecie poznańskim położona, a Łódź w powiecie krobskim i średniowieczna Łodzka w sieradzkim, ojczycom tegoż rodu zawdzięczały niewątpliwie miana swoje, a pewno i powstanie. Położone pod naszą Łodzią osady od niej późniejsze: Łódka i Łódź — wójtostwo, to oczywiście filie jednej wspólnej macierzy.

Szereg znanych w średniowiecznych dziejach naszych ojców herbu Łodzka, protoplastów Górków i Bnińskich, liczy na wysokich stanowiskach kościelnych czterech biskupów poznańskich: Piotra, Mikołaja i Andrzeja z Buina, oraz Uriela z Górki, a nadto biskupa kujawskiego, Piotra z Buina Moszyńskiego (1483—1493), poprzednika Krzesława z Kurozwęk, na stolicy we Włocławku. Zdaje się jednak, że szereg ten nie jest zupełny i że zaliczyć doń jeszcze można biskupa kujawskiego, Gerwarda (1300—1323), następcę Wisława, herbu Zabawa, a poprzednika Macieja Golańczewskiego, herbu Topór, znanego nam już zwycięscy Piastów w walce o wyzwolenie dóbr biskupich kujawskich z pod władzy książęcej.

Ten Gerward to osobistość niezwykle pociągająca, ciekawa, ale i tajemnicza, jeśli jej pochodzenie mamy mieć na względzie. „Heraldycy“ nasi darzą aż cztery rody jego osobą, zaliczając go do Leszczyców, do Gieraków *vel* Osmorogów, do Nałęczów, a wreszcie do *Łodziów*. Brak nam niestety dowodów, by ostatecznie to twierdzenie ugruntować w sposób niezbity; ograniczyć się też musimy do wzmianki, że nie jest ono mniej prawdopodobne, niż wszystkie przekazy wspomniane, zaliczające Gerwarda do rodów innych. Jeżeli jednak dociekania genealogiczno-heraldyczne nie

prowadzą do pozytywnego rezultatu, to natomiast przesłanki historyczne zdają się z wielu względów na biskupa Gerwarda, jako na założyciela Łodzi wskazywać. Lata jego duszpasterstwa, dwa pierwsze dziesięciolecia XIV wieku, to okres — jakby dziejów bajecznych przyszęłego miasteczka, które poraz pierwszy w r. 1332, jako „Łodzia,“ wioska biskupów kujawskich, wypływa na arenę dziejów. Wypływa za bezpośredniego następcy Gerwarda, Toporczyka Macieja z Golańczewa, który utrwalenie powagi i przewagi biskupów kujawskich nad władzą książęcą, w znacznej mierze poprzednikowi swemu zawdzięczać musiał. Wszak Gerward, donniemany Łodzic, *fautor et promotor Coronae Polonicae gentis*, był jednym z najznakomitszych książąt Kościoła Polskiego w wieku XIV, był posłem Łokietka, wskrzesiciela Królestwa, do papieża Jana XXII w sprawie o koronę, był posłem-pełnomocnikiem „opatów, klasztorów, przeorów, kapituł, kościołów, książąt, komesów, baronów, miast i zamków polskich“ do Ojca św. w r. 1319, w chwili, kiedy ważyły się losy polityczne kraju. I niedość na tem! Zabiegliwość tego biskupa o sprawy dyecezyi kujawskiej, oraz dóbr biskupich i kapitulnych była wręcz wyjątkowa i imponująca. Wszak nawet na dworze papieskim, strzegąc pilnie celu głównego swego posłannictwa, nie zapomniał o nich Gerward, narzekając skutecznie na straty i wydatki dyecezyi swojej, której w kraju żywot swój pracowity poświęcał.

Wielkie tranzakcyje majątkowe z Łokietkiem, z opatem z Mogiły, z klasztorem w Trzemesznie, z Cystersami z Oliwy, Strzelna i Pelplina; procesy z Piotrem z Nowia, synem wojewody gdańskiego, Święcy, z Janem, kanonikiem krakowskim i z dyecezyą płocką; szerokie lokacye wsi biskupich na prawie niemieckiem, obrona poddanych od rozbójników, a wreszcie działalność ekonomiczna na całej, wielkiej przestrzeni dóbr kujawskich—oto krótka charakterystyka prac gospodarczych tego niepospolitego człowieka! Można tedy podejrzewać go i o to, że rzutką, przedsiębiorczą działalność swoją skierował także w łeczyckie, gdzie na rozstaju prądów kolonizacyi kościelnej, w pobliżu wielkiej drogi handlowej, a w kluczu dóbr wolborskich — drzemało wśród strumyków leśnych miejsce na osadę...

Wraz z wsiami: Komorniki, Żywocin, Godaszewice, Chorzęcin, Łaznów, Dąbrowa, Niesułków, Siedlec, Pszanowice i Sobota, oraz z czterema innymi, nieistniejącymi dziś może, a należącymi również do biskupów kujawskich, otrzymała Łódź dnia 6-go września 1332 r. zwolnienie całkowite od wszelkich opłat, ciężarów, danin i posług książęcych, które dawniej pod różnemi postaciami

na niej ciążyły. Nadto, biskupi, jako zupełni jej panowie, posiadli prawo przeniesienia jej na prawo niemieckie: nadania jej nowego ustroju i samorządu. Przedtem już jednak, dnia 18 lipca tegoż roku Przeclaw, archidyakon kruświcki, występujący w imieniu biskupa Macieja, zdołał przekonać kasztelana Brzezińskiego, Piotra, o braku wszelkiego prawa do pociągania mieszkańców wsi biskupich przed swoje forum.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zwycięstwo stolicy biskupiej kujawskiej nad książęcą władzą, było wynikiem długotrwałych walk i usiłowań. Pamięci naszej przekazały źródła dziejowe jedynie epilog tych mozołów, uszczuplając zasób danych, jakie mogłyby niechybnie rzucić niemało światła w tej mierze na epokę, poprzedzającą biskupa Macieja: na czasy Gerwarda i jego poprzedników: Wisława, Wojciecha, Wolimira, a może i dawniejszych. Dane te, zapadłe w otchłań niepamięci, możemy atoli odtworzyć sobie z tych przekazów, które dotyczą dóbr wolborskich z czasów Wolimira (1255 — 1274), a jak wiadomo były to czasy, wchodzące w epokę wcielenia Łodzi do tego kompleksu. Otóż, w epoce o jakiej mowa, dobra wolborskie były jeszcze puszczą leśną, mało zaludnioną. W roku 1255-ym, kiedy Budziszław, sędzia i Wit, skarbnik łęczycki — obaj dostojnicy dworu księcia Kazimierza Konradowica (1211 — 1267), dokonywali rozgraniczenia opól, należących do Rozprzy i do Wolborza — na wsiach tej ostatniej kasztelanii ciążyły wyłącznie jeszcze, w stosunku do księcia, ciężary służby łowieckiej: „Kłusowników” wolborskich sądzić będzie książę — opiewa treść dokumentu — z wyjątkiem ludności, przypisanej do gleby. Opłaty karne przypadną w połowie biskupowi, a w połowie księciu. Łowczy, ani podłowczy książęcy nie tam pobierać nie mają, a do ochrony (zwierza) ustanowieni będą „Gajownicy” książęcy i biskupi; pierwsi jednak poboru (kolendy) z pomienionej ludności ściagać nie powinni, poprzestając jedynie na datkach, uiszczanych przez ludność w miarę możliwości. Atoli ludność wolna, zamieszkała we wsiach książęcych, biskupich, czy rycerskich, oraz wszelka książęca, znajdująca się w granicach wolborskich, ma wydatki „Gajowników” pokrywać, a nadto uiszczać im „kolendę.” Książę raz do roku w granice „kasztelanii” wkroczy, wszczynając tam łowy po lasach i borach; gdy zaś zabójstwo pomiędzy ludźmi biskupimi się zdarzy, główszczyzna biskupowi przypadnie w udziale.“

Trudno przypuszczać, by Łódź i najbliższą jej okolicę miały obarczać wtedy inne jakie ciężary publiczne, niż te, jakie w dokumencie wspomnianym całej „kasztelanii” wolborskiej dotyczą.

Trudno to przypuszczać; jakkolwiek bowiem Łódź obarczona była już w r. 1332 ciężarami, świadczącymi o niejakiem jej zagospodarowaniu, to jednak jeszcze u schyłku wieku XIV-go miała ona korzystać z „wolnizny,“ stosowanej do wiosek, które z żywiołem lasu do czynienia miały. Wszak puszcza podłódzka nie była bardziej, niż właściwa woborska, cywilizowaną... Przeciwnie! Zestawienie zasiedlenia obu tych okolic—i to jeszcze w wieku XVI—stanowczo na korzyść ostatniej przemawia. Ciężary „cywilizowane“ z roku 1332, jak: sep, poradłne, podworowe, danina krowy, wieprza i „narzaz,“ — to niewątpliwie wynik energicznej gospodarki kościelnej, która apetyty książęce zwiększała. Biskup kujawski, Maciej z Golańczewa, zwyciężając, po długiej walce Kościoła z państwem, księcia Władysława Ziemowitowica, apetytom tym nałożył hamulec; zato władza biskupia kujawska, siejąc w swych, niezawisłych odtąd dobrach, ziarno prac gospodarczych wśród puszczy, które jej plon coraz obfitszy dawało, nie przestawała zwiększać go nadal i zabiegliwością swoją pomnażać.

Za bratanka i następcy Maciejowego, biskupa Zbiluta (1368—1383), Łódź dostała się wraz z przyległą do niej wioszczyzną leśną, Widzewem, zwanym wówczas Widzewnicą od strumyka, co zraszał jej pola, w posiadanie dożywotnie „pana“ Piotra, przezwiskiem Śliwka, kanonika kapituły włocławskiej.

Ksiądz Piotr, uczestnik prac gospodarczych biskupa, dbał o to beneficjum swoje, w pamięci swojej chować go nie przestawał. Podczas doniosłych w Polsce wydarzeń, w dobie ślubów Jadwigi z Jagiełłą, kiedy na stolicy kujawskiej, po śmierci drugiego a przelotnego następcy Macieja, biskupa Trojana (1383 † 1384), zasiadł Piast, Jan Kropidło, książę opolski (1384—1389; 1402—1421), przyjaciel Krzyżaków a słynny *magister elegantiarum*, Łódź wypłynęła powtórnie na arenę dziejów.

Dnia 10 czerwca 1387 roku we Włocławku książę-biskup, pospołu z członkami kapituły, nadał Śliwce przywilej przeniesienia Łodzi i Widzewa na prawo niemieckie wedle wzoru średzkiego, oraz zwykłej w tych stronach organizacji rolnej „flamandzkiej,“ czyli chełmińskiej. Przywilej ten był sankcją urzędów, jakie ksiądz Śliwka w obu wsiach wspomnianych gotów był wprowadzić wnet w życie... Dowiadujemy się bowiem z dokumentu, o jakim mowa, że Łódź z Widzewem posiadały już w dniu jego wystawienia gotowego przedstawiciela swej przyszłej organizacji w osobie sołtysa, Janusza Piotrowica. Ów to dygnitarz, stanąwszy osobiście do aktu i przyjąwszy dyplomata biskupi, znalazł w nim szereg następujących zarządzeń:

„Sołtys dziedzicznie posiadać będzie w Łodzi i w Widzewie po dwa łany, wolne (od opłat i danin), a złożone z pól, łąk, lasu, pastwisk, pasiek i gajów. Kmiecie obu tych wiosek od dnia wystawienia niniejszego (10, VI, 1387 r.) — przez lat trzy w Łodzi, a przez lat czternaście w Widzewie korzystać będą z zupełnej wolnizny (od ciężarów, opłat i danin), a dopiero po jej upływie uiszczać mają corocznie w dniu św. Marcina księdza Śliwce po pół grzywny groszy praskich, oraz po „rączce łęczyckiej,“ t. j. po ćwierci miary zwykłej (urna) miodu z łąnów łódzkich, a po pół grzywny bez dodatku z łąnów widzewskich. Po śmierci księdza Śliwki wszelkie opłaty i daniny przejdą na skarb biskupi. Nadto, co Wielkanoc kmiecie łódzcy i widzewscy składać mają po trzydzieści jaj i po jednym serze, a w dniu Wniebowzięcia N. M. P. po dwie kury. Sołtys i jego następcy z karczem łódzkich i widzewskich — ile ich obsadzić się uda — dwie trzecie otrzymanego z nich czynszu rocznego płacić będą, zatrzymując jedną, pozostałą, dla siebie. Sołtys Janusz będzie miał prawo zbudować i utrzymywać młyn w Widzewie bez żadnej opłaty. Co do robót rolnych (na folwarku) — kmiecie winni orać pod oziminy i pod jarzyny, winni wywozić nawóz oraz kosić i grabić łąki, przeznaczając na każde z tych zajęć po jednym dniu (w roku). Co do sądownictwa, sołtys i jego następcy wszelkie sprawy cywilne i kryminalne, nie wyłączając gardłowych i ucięcia członków, sądzić będą w granicach wiosek rzeczonych wedle prawa średzkiego, a w obecności ks. Śliwki, lub — po jego zgonie — biskupiego wysłańca. Z opłat sądowych dwie części przypadną księdzu Śliwce, a jedna sołtysowi; przysiężne pobierać będzie sołtys w całości. Nadto, i sołtys i kmiecie winni ks. Śliwce, a po jego śmierci biskupom kujawskim, świadczyć honory i usługi wszelkie według obyczaju średzkiego. Gdyby sołtys Janusz, albo li też jego następcy, prawa swe kiedykolwiek i komukolwiekby odstępili zechcieli, winni uzyskać na to zgodę biskupów kujawskich.“

Z ciekawego tego dokumentu, najobszerniejszego z tych, jakie Łodzi średniowiecznej dotyczą, dowiadujemy się, że jeszcze na schyłku wieku XIV-go była ona zwykłą wioszczyną, „przemiesioną,“ jak wiele innych, współczesnych jej towarzyszek, z prawa, obyczaju i urzędów rolnych swojskich — na niemieckie. Nie stało się to ani wcześniej, ani inaczej, niż w wielu miejscowościach innych, które potężnemu czynnikowi cywilizacji, — t. zw. kolonizacji niemieckiej, rozwój swój zawdzięczały...

A jednak — ze względu na późniejsze jej losy — był to fakt o doniosłości iście pierwszorzędnej! Akt włocławski z r. 1387,

to pierwszy, po włączeniu Łodzi do kompleksu dóbr biskupich wolborskich, *wypadek historyczny* w jej dziejach; pierwszy etap tego rozwoju, który miał niebawem już wyróżnić ją w szeregu wiosek okolicznych „dostojeństwem“ osady parafialnej i miasteczka.

Szczupła parafia łódzka, szczupła, bo wykrojona niewątpliwie z pasterni pierwotnych w Mileszkach, w Zgierz, a może i w Skoszewach, powstała prawdopodobnie jednocześnie ze rzgowską, a najprawdopodobniej współcześnie, lub później nawet, niż „miasteczko,“ t. j. około połowy wieku XV-go.

Jako miasteczko (oppidum), zapewne już parafialne, występuje Łódź poraz pierwszy w dziejach, dnia 16 kwietnia 1464 roku, w charakterze znacznego już waloru w ręku biskupów kujawskich. Kiedy bowiem, przyciśnięty pieniężną potrzebą, pan jej i władca, biskup Jan Lutek z Brzezina herbu Doliwa, znany rozrutnik, którego pogrześć nawet musiano potem na koszt kapituły, zabiegał o pożyczkę, uzyskał ją istotnie — i to w sumie na te czasy wielkiej — tysiąca florenów węgierskich od pana Piotra z Oporowa, wojewody łęczyckiego, na zastaw Łodzi-wsi i Łodzi-miasteczka, Niesułkowa, oraz pomniejszych wiosek stołowych, nieznanych dziś z miana.

Łódź-wieś, to „Stara-Łódzia,“ przeciwstawienie „Łodzi-miasteczka,“ którego nazwa w ten sam sposób poufały, a dziś nainw, choć historycznie tak uzasadniony, nadawana bywa przez wieśniaczą ludność okoliczną pół-milionowemu Manchester'owi, który strawić już zdołał i „Starą Łodzię“ i „Łodzię-miasteczko“ i część Widzewa i Bałuty i inne pobliskie wioszczyny!..

Podczas układów o zastaw Łodzi Oporowskiemu, zaszedł ciekawy dyskurs pomiędzy strażniczką dóbr stołowych, Kapitułą, a biskupem Lutkiem, który tu za źródłami wiernie powtarzamy:

„Najprzewielebniejszy Ojciec — mówił Archidyakon, Świętosław z Wrzącej, imieniem Kapituły — przekonaliśmy się, że akt zastawu dóbr na rzecz Wielmożnego Pana Piotra Oporowskiego, wojewody łęczyckiego, dokonany został przez Was w sposób przeciwny nietylko obyczajowi i normom ogólnym, ale i poglądom naszym. Prosimy Cię, abyś akt ten poprawić polecił, iżby zeń niebezpieczeństwa jakowe i szkody na nas i na następców Twych nie spłynęły.“

A biskup-utracyusz na to:

„Mili panowie i bracia! Bóg mi świadkiem, że stało się to nie z woli mojej, jeno pan Doktor Andrzej Oporowski, kantor włocławski, akt ten tak sporządzić i spisać polecił, zaręczając, że

wymóże to na Was, Panowie Bracia, iż go takim, jak jest, pozostawicie.“

Po rozgovorze tym atoli biskup przyrzekł jaknajuroczyściej, że akt zastawu każe skorygować, a dobra, o które tam chodzi, oraz inne, również zastawione, wykupi. Jedne z nich przed upływem sześciu miesięcy, a inne przed najbliższym zebraniem się kapituły w dzień Wniebowzięcia N. M. P. Kiedy i jak się to stało — nie wiemy. Faktem jest jednak, że Łódź pozostała w rękach obcych niedługo i powróciła — wkrótce zapewne, jak biskup przyrzekł — do kompleksu dóbr stołowych kujawskich. O przebiegu przelotnego tam panowania Oporowskich żadne nie doszły nas wieści.

Cóż jednak działo się w najbliższym, bezpośrednim, stałem a rodzonym środowisku „miasteczka“ — w cichym zakątku brzezińskim — w dobie, kiedy Łódź „atuty“ takie wygrywała w dziejach?...

*

*

*

Wszystko działo się tam, jak dawniej, z tą tylko różnicą, że źródła bliżej nam już, niż dotąd, wejrzeć pozwalają w tajemnice, drzemiące w ostępach puszczy podłódzkiej...

Znany nam w zarysie ogólnym charakter dziejowy tego zakątka, znajduje w zasobie najdawniejszych, jedynych w swoim rodzaju, przekazów źródłowych, wierne odbicie swoje. A źródła te — to nieocenione księgi sądowe: w danym wypadku Księgi Sądowe Łęczyckie z czasów Jagielly. Ich lakonizm, niby jednostajny i jednolity, nie różniący się pozornie niczem od małomówniej prostoty innych tego rodzaju aktów, pochodzących z całego obszaru dawnych ziem polskich, kryje jednak w swym łonie to, czego szukamy. Odębność łęczycka, jej wyraz i jej tajniki mienia się tam pod okiem spostrzegacza blaskami minionej, zamarłej przeszłości, jak gdyby postać jej żyła jeszcze w całej swej krasie pierwotnej pod nalotem „przyszłości, jak z bajki,“ która już także „przeszłością“ się stała.

Na tle tej odębności, uderzającej naogół w porównaniu ze współczesną fizyognomią Małopolski, czy Kujaw, rysuje się nadto, jakby odębność inna: powiew cichej swojszczyzny brzezińskiej...

Dobrobyt średniowieczny okolic Krakowa i Brześcia — podstawa późniejszej cywilizacji tych stron uprzywilejowanych, znajduje w zamożności urodzajnych ziem Łęczycy i Orłowa, nieokiełzanych jeszcze w krwawych porywach prawieku, pewnego rodzaju przeciwstawienie. A takież samem przeciwstawieniem okolic północnych województwa—to powiat brzeziński i cicha puszcza podtódzka. Cicha, bo uboga glebą, leśna i zaludniona mało. Istniała sieć pajęcza kultury, złożona z włókien różnego nalotu, a rozpięta, jakby za świeża, nad okolicą, skapaną jeszcze w mrokach przeszłości odległej.

Puszcza ma w źródłach karty dość obfite, — ba! zdumiewające nawet liczebnością śladów tego życia, jakie tam pulsowało w dobie Jagiełły. By je scharakteryzować w paru słowach, dość byłoby powiedzieć, że wyrazy „pulsowało tam,“ wydają się zbyt silne a wymagają conajmniej... komentarza. Oto—punktem ciężkości, węzłem życia i zabiegów możliwiejszych, a nawet i uboższych mieszkańców puszczy, była właściwie nie ona sama, lecz okolice poza nią leżące, gdzie w lepszej glebie i w kulturze dawniejszej świat szlachecki i kmiecy bujniejszym wrzał życiem. Opary tego życia krążyły już nad puszcza, krystalizowały się nawet tu i owdzie w pewnych jej ogniskach, ale daleko jeszcze było jej do tego, by sama stać się mogła jego źródłem. A na kanwie cienkiej sieci pajęczej, co kulturę Polski przedstawiała w tych stronach, los dziwne zaiste haftował wzory... Oto, obok dziejów codziennych szlachty i kmieci, obok pierwiastków rodzinnych i sąsiedzkich, dorzucił on — niby u wstępu do „cywilizowanego“ życia okolicy, garść istnych dziwów, nalot szczególny a tajemniczy!...

Wśród mrocznych lasów brzezińskich, w ostępie, z którego przez okolice Brzezin i Jeżowa, rzeczka Mroga spływała ku Bzurze, dając miano, a może i życie słynnemu zbójom pomrozańskim, powstała ongi skromna osada ludzka — Kuluszkowice. To oczywiście siedziba zstępnych jakiegoś Kolucha, a raczej zdrobniatego Kuluszka (Kuluszko). I nie byłoby może ani w nazwie Kuluszkowice, części Kuluszek późniejszych, ani w dziejach przeciętnych tej wioski nic godnego uwagi, gdyby nie dziwne imiona jej mieszkańców w brzaskach Jagiellońskiej doby. Brak źródeł—owych satelitów mocy i panowania, pierzchających bez śladu z przed oblicza maluczkich i słabych, nie pozwala nam, niestety, na gruntowne wyświetlenie sprawy. Poprzestaniemy na zestawieniu faktów — suchych, drobnych i nieznanych, a jednak barwnych, wiekopomnych i uderzających sensacją zapomnianego dramatu na tle dziejów skromnej wioski pomrozańskiej.

Oto, w dobie, kiedy możny Witold trzymał Koronę na uwięzi spraw litewsko-ruskich, kiedy chwiał się po Worskli, ratował w Raciażu, grzmiał pod Grunwaldem i królował z Litwy po szerokim świecie--w latach 1399--1419, a zapewne i później jeszcze, konały w Koluszkach echa przeszłości tajemniczej, która grono rozbitków losu rzuciła ze Wschodu nad Mroge. Wsie niedalekie: Moskwa, Moskiew i Moskule zdają się wskazywać na to, że rozbitki, o jakich mowa, wiedli istotnie ród swój zagadkowy gdzieś z poza późniejszych dzierżaw Witoldowych. Bóg to raczej wie dzieć skąd i kiedy tam przybyli, dość, że w czasach wspomnianych siedzą w Koluszkach: Mikołaj z braćmi, Jan i Mikołaj — obaj przewiskiem Babicze, wskazującym może na Babów polskich, ale może także — pośrednio, czy bezpośrednio, na słynnych kniaziów moskiewskich, późniejszych towarzyszy Wasyla Ślepego; siedzą Andrzej, Dorota i Wojciech, ale — co ważniejsza — siedzą tam także dwie dostojne panie, Olga i Anastazyja, właścicielki imion, zgoła na pniu polskim nie wyrosłych. Jeszcze w sto kilkanaście lat później, w r. 1576-ym, liczyły Koluszki zaledwie pół-trzecia uprawnego łąnu, choć siedziało na nich trzech panów i dwie panie „Koluszkowskie,“ — jedna z nich Jadwiga, wdowa po Janie, noszącym znamienne w warunkach tamtejszych nazwisko Glińskiego. Miały już jednak wtedy Koluszki młyn, trzech zagrodników, a nawet kołodzieja i tkacza—zato ani jednego kmiecia na gruntach wspomnianych. „Dobytek kmiecy“ dzierżyli tam wówczas, w przyległej części wioski, panowie-magnaci, Lasoccy z Brzezin, spadkobiercy pana Jakóba, szczęśliwego posiadacza sześciu kolonistów, dość już obficie za króla Stefana występujących w Brzezińskim. W Koluszkach siedzieli Lasoccy już na początku wieku XVI, jak o tem zdają się świadczyć ówczesne źródła kościelne.

Jeżeli tak mglisto i tak ubogo przedstawia się historia Koluszek w zaraniu nowożytnej doby, to tem mniej posiadamy danych, aby ich dzieje zamierzcły z czasów Jagiełły „ozłocić.“ Klejnotem ówczesnym tego zakątka, jaśniejącym na widnokregu szerokim od Choin i Witkowic po Brzeziny i Zalesie, były tam przedewszystkiem panie Olga i Anastazyja, pieniące się o posagi, zastawiające części gruntów swoich sąsiadom i stwierdzające przed sądem, *esze Holga wnosła 18 gryffen posagu w dziedzinę manszu swemu in Koluszki.*

Jak cichym niewiastom przystało, żadna z nich nie miała dość szczęścia, by imię swe połączyć choćby z jaką „gwerrą“ wiekopomną na kartach dziejów partykularza. I pod tym bowiem

względem różnił się nasz zakątek od tła obyczajowego dalszej okolicy, gdzie, pod Łęczycą, zapamiętałe temi czasy wrzały walki — wojny rodowe — pod hasłem krwawych odwetów, znaczącym te strony, jeszcze za Jagiełły, piętnem przeszłości zamierzczałej. Za uboga była na zbytek taki puszcza podłódzka, wolna zresztą, jak z ewolucji jej wynikało, od kompleksów odwiecznych dóbr rodowych. Ubóstwo jej knieiego i szlacheckiego nalotu, to cecha najistotniejsza i stosunków i obyczaju. Tęsknem też okiem spoglądali mieszkańcy puszczy w bogatsze strony łeczyckie, siedradzkie, czy nawet mazowieckie, tam przedewszystkiem dobijając się afektów możniejszej braci. Sobie samej wyspa ta nie wystarczała, boć i wystarczać nie mogła. Wszak kompleks cały właściwych wiosek puszczańskich: Będoń, Chojny, Gałków, Koluszki, Kurowice, Małczew, Mileszki, Wiączyń, Wiskitno, Witkowice i Stoki, liczył conajmniej w czasach omawianych 75-ciu „pańskich” mieszkańców, siedzących na 350-ciu, conajwyżej, uprawnych łanach! To też wielu w nich — jeśli nie wszyscy — starali się usilnie osiąść, gdzie się dało: bliżej, czy dalej, klucz powodzeń życiowych w postaci łanów — drogą procesów, zastawów, kupna, czy ożenku. Jeżeli zaś metoda ta nie była wcale na tle ogólnych stosunków ówczesnych oryginalną, to jednak puszczanom naszym trzeba przyznać w tej mierze energię iście niepospolitą, bodaj wyjątkową. Przeglądając Księgi Sądowe Łeczyckie, widzi się, że ludzie ci żyli w rozjazdach nieustannych, jak gdyby drogi kamieniste, łączące podziśdzień stołeczne Brzeziny z okolicą, należały do najprzedniejszych w Królestwie gościńców! Ubożsi i na to częściej pozwolić sobie nie mogli, uganiając się za kąskiem mięsnym po lasach z sąsiadem, psem i krogulcem.

Kollokacya, system utarty osadnictwa szlacheckiego w wiekach średnich, dostarczała niemało okazji do zatargów, pociągających za sobą sprawy sądowe. Nie mniej wycieczek przed akta ziemskie, albo i grodzkie do Brzezin, powodowały rozliczne kwestye majątkowe, wymagające zabezpieczenia. Prym pod względem ruchliwości w tej mierze dzierzył w okolicy jeden z ośmiu panów na Będoniu, Imć pan Przybysław, żonaty z panną Heleną z Grzmiącej, siostrą Macieja, plebana ze Skoszew. Było to już w puszczy stanowisko bez mała arystokratyczne, zwłaszcza, że i szkatuła pana Przybysława zdawała się przytłaczać ciężarem swoim dobytek sąsiadów.

Jak nie bierze Przybysław w r. 1400 dwóch knieci w Mileszkach w swoje posiadanie, płacąc za nich Dobkowi z Dobieszkowa całe osiem grzywien; jak nie ogarnia w Grzmiącej zasta-

wem „dziedziny“ szwagra swojego i pana Bolesty; jak nic pobiera rocznie całą kopę „płatu“ od Świętosława z Moszczenicy, dzięki unowie, zawartej z Katuszą z Mileszek. A cóż dopiero mówić o konneksjach pana Przybysława ze szlachtą z Pszawic, Witkowic, Byszew, Dobrej, Zaosia, Strykowa, i Ujazda?! Żadna sprawa ważniejsza tych wiosek nie obywatła się bez świadectwa pana Będońskiego, który nie szczędził drogi do Brzezin, a choćby i do Orłowa, byle stosunek sąsiedzki utrzymać, byle przy okazji zetknąć się z tym albo z owym, nową nawiązać znajomość i pomyślny ubić interes. Losy zdawały mu się sprzyjać w tych zabiegach. Raz tylko bowiem i to w okresie lat blisko trzydziestu, popadł pan Przybysław w dwie drobne kary sądowe przeciw Imć panu Łukaszowi z Grzmiącej, a nie był to nawet jego sprawa własna, jeno żonina, bo pani Helena pospołu z Boguchną Jędrzejową z Będonia, nieopatrznie jakoś poczęły sobie z sąsiadem. Oględność pana Przybysława sprzyjała jego fortunie. Korzystając zanadto z poważnych usług sąsiedzkich, przy czem pan Myślisz z Witkowic ręczył zań kiedyś sumę nie bylejaką, bo 80 grzywien wynoszącą, nie miał pan Przybysław ręki zbyt szczodrej dla innych; raz tylko jeden, w sprawie pana Dobka z Byszew, z którym niezwykle jakieś wiązały go stosunki, ręczył kwotę 15-stu grzywien pod przepadkiem 36-ciu, urodzonemu Jakóbowi, wójtowi z Strykowa.

Imi panowie ówczesni z Będonia: Jan, Jędrzej, bracia Waclaw i Wojciech, Mroczo, Łukasz i Bartłomiej, to postacie bledsze, to niby satelici pana Przybysława, których fortuna w mniejszej miała pieczy. Niknie obok niego sam nawet uczony Bartłomiej, kleryk dyecezyi Gnieźnieńskiej, który dziedzictwo swoje w Będoniu łączył u wrót karyery pana Przybysława, przed rokiem 1405-tym, z urzędem notaryusza, a może i rektora szkółki „stołecznej“ w Brzezinach, nim go tam zastąpił późniejszy jej przełożony, Imć pan Gniewomir... A jednak i pan Łukasz, choć daleko mu było do Przybysława i Bartłomieja, potrafił przejść do potomności dzięki mężnemu, acz nieprawnemu wzięciu w posiadanie „dziedziny“ samego sędziego łeczyckiego, Piotra, przy pomocy stosunków swoich ze szlachtą z Kalenia, Dobieszkowa i Belin. Nie ustępują mu także—dzielny Mroczo, świadek czynności prawnych Olgi z Kuluszek, ani Waclaw, brat Wojciecha, którzy w sprawach sąsiedzkich z panią Katarzyną z Witkowic i z Ofką z Zalesia honor swój, czy sąsiedzki, oczyszczali zgodnie: Pierwszy, świadcząc pod przysięgą, *jako jest Pietrasz* (a nie on) *ukradł koń... a o to mam półtory grzywny szkody*; drugi -- *jako te cztery*

grzywny, co są one sparty... to są one winny z Gostynek, z oćczyzny...

Bardzo podobnie przedstawia się w źródłach charakter życia innych wiosek polskich, przy czem uderza okoliczność, że mieszkańcy danej „kolokacyi“ dążą w zakresie stosunków swoich ze światem zewnętrznym w kierunku jakby odśrodkowym. Czyliby tkwił w tem dowód braku rywalizacyi pomiędzy nimi, jako, że siedząc oddawna w okolicy, w znacznej mierze spokrewnieni bywali ze sobą, — czyli też wskazówka ich pochodzenia ze stron różnych po mieczu i kądzieli, rozstrzygnąć tego niepodobna; dość, że każdy z nich obraca się przeważnie w sferze innych, bliższych czy dalszych sąsiadów.

Jak w Będoniu Imć pan Przybysław, tak w Witkowicach Imć pan Stanisław rej wodzili nad kolokacją. Pierwszemu brakło atoli tego dostojęństwa, jakie posiadał drugi w urzędzie tytułarnym cześnika łęczyckiego. Pan Stanisław był nadto starszy od Przybysława i kiedy wielkość tego ostatniego zaledwie się poczynąła, drugi, sięgający niechybnie wspomnieniami młodości w czasy króla Kazimierza, miał już powagę w okolicy ugruntowaną. Kiedy pomiędzy nim, a panami: Pełką, Jakuszem i Warzeńcem, oraz siostrą ich Wojsławą, szło w roku 1398-ym o granice „dziedzin“ w Witkowicach, załatwiono sprawę krótko i wężłowato, orzekając zgodnie: Niechaj cześnik przyjdzie do niwy i rzeknie — to jest moje; od tej strony po tę! — i kwita. Widać jednak Imć pan Stanisław życzył zbyt dobrze samemu sobie, bo sprawa wlokła się długo, wywołując w dwa lata później wyrok sądowy, skazujący cześnika na powrócenie Pełce jednej trzeciej części łąk swoich „poza Przyśniewem.“

Ale nic w tem dziwnego! Pan Pełka w kaszę—choćby i cześnikowi — dmuchać sobie nie dawał. Ba! w upartym jego procesie z panem Paszkim z Łagiewnik sam Król Jegomość „zakład“ w sumie 50 grzywien ustanowić musiał, byle animozycę walczących poskromić.

Na tle tych wszystkich „statystów“ i „sensatów,“ mających głównie korzyści realne na oku, wyróżniali się karygodną lekko-myślnością swoją trzej inni panowie z Witkowic: Marcin, Piotr i Witek. Pierwszy w zatargu nieopatrzny z panem Kuczem uległ ranom krwawym, a w sprawie z podsędkiem łęczyckim, Dziersławem ze Strykowa, huknął nań srodze: Takom dobry, jako i ty! Gdy zaś ów prawem go odpierał, nie zawahał się pan Marcin krzyknąć przed sądem: Panie Podsędku! My chórem przeciw tobie! Dwaj ostatni, jak się to przed Jaśkiem, starostą łęczyckim

wydało, trzymali w dybach na własną rękę, wraz z Łaszczem z Krosina, pana Klemensa, sąsiada swego z Zieleniewa... Pan Marcin zaś dbał więcej, niżli oni, o honor sąsiadów. Kiedy Myślborza z Choin, namiętnego łowca, posądzono o przywłaszczenie sobie wyuczzonego jastrzębia, pan Marcin, który nieraz pono z obwinionym w kniei się zabawiał, kłął się na Krzyż Pański, jako przyjaciel jego w ciągu trzech lat ostatnich nie ukradł jastrzębia — i tak honor jego salwował.

Nie mniej czutymi na przyjaźń sąsiedzka byli i inni panowie z Witkowic: Jakusz i Wawrzeniec, świadczący zgodnie w sprawie pana Wawrzeńca z Pszanowic, *jako Wawrzeniec nie kradnie, ani złodziejów nie ochrania, ani ze złodziejstwa użytku ma...*

Dostojniej może, niż reszta okolicy, prezentują się w świetle skromnych, jak ona sama, okrucichów źródłowych, panowie „stolecznych“ Mileszek, mających w osobie swego proboszcza pieczę kościelną nad duszami wiernych. Wybili się tam w okresie lat 1393—1419 panowie Andrzej i Bolesta, oraz niejaka pani Katarzyna, siostrzenica Świętosława z Moszczenicy, zwana Katuszą. Ktoby w pierwszym rządzie cierpiał „katusze“ z jej ręki mocarnej—milczą o tem dzieje. Spadały one, między innymi, w procesach o czynsze z tytułu dożywocia, na wuja jej, Świętosława, oraz na Przybysława z Będonia. Wolnym był od nich poniekąd Imć pan Bolesta, szczęśliwy małżonek pani Święchny, może syn Andrzeja, głównego dziedzica Mileszek. Ogółem nie było tam łanów o wiele więcej nad dziesięć, a i tak częścią ich władali przygodnie panowie obcy z Będonia i Dobieszkowa, kupcząc między sobą w sposób zastawu czynszami kniotków miejscowych. Sam nawet Imć pan sędzia, kto wie czy nie Piotrasz z Tura Tur-ski, usiłował wyzuc pana Andrzeja z jego „dziedziny.“ Ów jednak — biegły w palestrze — mężnie stawił mu czoło i odniósł wiktoryę zupełną, przedstawiwszy *ad oculos* pismo sądowi, stwierdzające, że do niego Mileszki należą. Jakoż losy późniejsze tej wioski—działo się to bowiem w r. 1393—wykazują dowodnie, że spadkobierca pana Andrzeja chwycił i mienia, Imć pan Bolesta, wspierany dzielnie przez życie ramieniem swej Święchny, nie tylko wioskę swą statecznie zachować umiał, chroniąc jej grunta od apetytu sąsiadów, ale i w okolicy nowe pozyskał władanie, dzierżąc zastawem role braci Floryana i Piotra z pobliskich Choin. Wreszcie jednak procesy majątkowe z Andrzejem Będońskim, a nadewszystko z Walkierzem z Zawad, oraz ze szwagrem pana Przybysława, proboszczem skoszewskim, Maciejem, szarpnęły nieco jego szkatułę. Wtedy to Imć pan Bolesta o mało nie stał się

mężem wiekopomnym, dobroczyńcą ludu... Staszicem, co, jak na czasy Jagiełły, byłoby rzeczą zgoła niepowszednią! Oto, dnia 19 grudnia 1419 roku, odbył on wraz z towarzyszką dni swoich drogę ciernistą do Brzezin, by zapisać tam w aktach, w obecności szlachty z Dąbrówki, Szczawina, Brunowic i Byszew zwolnienie kmiecia swego, Michała, od czynszów, opłat i robocizny, oraz nadać mu *loco* dawnej zależności—u progów roku nowego—wszelką swobodę. Ale niech czar tej opowieści pryśnie, czytelniku! Pan Bolesta... winien był Michałowi całe półtrzeciej grzywny monety kurs w kraju mającej, pieniądze były mu potrzebne, zwrócić nie miał ich z czego, przeto — w procencie — paktował z kmiotkiem, jak się dało. Taka to prosta i pospolita konieczność wyniosła go nad poziom!

Największą różnaitość przedstawiać musiały tymi czasy Chojny, liczące pół kopy bez mała, bo dwudziestu ósmiu szlacheckich mieszkańców. Różnaitość ta utonąła jednak w otchłani czasu, a drobne tylko szczegóły ocalały na jego powierzchni w lakonicznych fragmentach źródłowych. Wynika z nich, że szlachta chojeńska, poświęcając, jak i cała okolica, główne usiłowania swoje sprawom gruntów uprawnych: wzajemnym, między sobą i sąsiadami, zastawom, sprzedaży i kupnu łąnów osiadłych, nagradzała sobie przytem ubocznie, jak mogła, ubóstwo swoje procedem leśnym, podyktowanym przez puszczańskie warunki środowiska. Na tle spraw o „dziedziny“ i ich granice, wytykane jeszcze sposobem pierwotnym, np. „wzdłuż biegu strumyka,“ rysują się tam, niby żywe echo bytu zamierchłego, procesy sądowe o kradzież jastrzębi, pszczoł i krogulców. *Tako mi Bóg pomóż i św. krzyż, jako Myślborz z Choin w trzy ostatnie lata jastrzębia nie zebrał Stanisławowi, ani z niego użytku ma... Tako mi Bóg pomóż etc., jako urodzony Paweł z Choin nie ukradł jastrzębi ani krogulców z lasu Przeclawa, ani z nich pożytku ma...*—oto, jak klną się sąsiedzi panów chojeńskich—naprzekór ich oskarżycielom—w obronie czci posądzonych. Jakoż udawały się takie wybiegi, np. panu Imisławowi z Choin, którego pani Śmiełna ze Stawek daremnie do Brzezin o *szmery* (pszczoły leśne) wartości dwu grzywien wodziła. Obronili go sąsiedzi. Wywdzięczali im się za to z nawiązką panowie Chojeńscy. Dnia 30 czerwca 1416 roku czterej urodzeni mieszkańcy Choin: Dobek, Jakób, Wszebor i Imisław klną się uroczyście w Brzezinach w sprawie Andrzeja z Żakowic z Jakóbbem z Wierzbia, jako pan Andrzej, przybywszy na Jakóbową niwę, nie ukradł mu konia wartości trzech grzywien, ani z niego użytku ma!

Nikną zgoła wobec faktów, równie wiekopomnych, kroniki Kurowic, Wiączynia, Stoków i Małczewa. W Kurowicach, ówczesnym Kurowie, ojciec Klemensa, chorążego łęczyckiego, czyni z bratem swoim Aleksym, *rzond* (układ) uroczysty, jako tenże nie będzie *bił się* (dążył) ku Kurowu, za co pierwszy trzymać się obiecuje zdala a *Glandzanowo*. W Wiączyniu ubodzy dziedzice pieniają się z kmieciami o budynki i zboże, w Małczewie kmieć zadzierżysty gnębi przed sądem pana Pełkę z Witkowic, a w Stokach Imć Pan Paszko wzbrania się sprawiedliwości uczynić biedakowi jakiemś ze Zgierza, poszukującemu na kmieciu stokowskim główszczyzny za zabójstwo syna. Nic dziwnego! Wszak zubożenie kmiecia mogło się było odbić nader niekorzystnie na tuzosie własnym pana Paszka!

Oto tło obyczajowe zaścianka, który, jako część składowa powiatu i województwa, zdobywał się i na czyny obywatelskie! W nich to, bardziej niż w czemkolwiek, iście jak w zwierciadle, odbiła się dusza, oraz myśl prawna tej społeczności zamierzchłej a ciekawej.

W czasach, o jakich mowa, w latach 1418 — 1419, zapadły w Łęczycy słynne „Konstytucje“ tej ziemi, będące w swych 68-iu artykułach, posiadających wielokrotnie charakter prejudykatów, jakby jednym potężnym krzykiem obronnym swojskiego prawieku przeciw zamachom, jakie zewsząd czyniła już wtedy kultura państwa i kościoła na najświętsze jego wierzenia i nawyki.

Jeżeli blisko przed wiekiem, za czasów ostatniego Króla-Piasta, mogły być podobne sprawiać wrażenie artykuły wielkopolskie Statutów Kazimierowskich w zestawieniu z małopolskimi, to cóż dopiero mówić o różnicy i czasu i treści, gdy się ze zbiorom Wiślicko-piotrkowskim Konstytucje łęczyckie porówna! Przewaga formy prejudykatu świadczy, że były one wiernem odbiciem życia—wierniejszem, niż wszelka kodyfikacja; treść zaś—że słynne *gverry* łęczyckie tej doby, walki rodowe, długoletnie a krwawe, np. Lubów z Kamionami i Janinów z Grzymalitami, o których bliższe szczegóły przechowały nam źródła, nie były tam zjawiskiem oderwanem, lub o wiele rzadszem niż na Mazowszu, w sąsiedniej, dzikiej, klasycznej krainie takich zapasów. Na Mazowszu dopiero w drugiej połowie XVI wieku — w dobie bujnego renesansu na Wawelu — ustała „wróżda.“ Nie o wiele wcześniej zapaść musiały w przeszłość i łęczyckie hekatombie ludzkie tego typu, choć milczą o nich dzieje pisane.

W roku paniętym bitwy Grunwaldzkiej Imć Pan Borzym ze Skoszew, wioski rodzinnej pani Przybysławowej z Będonia,

miął roczek w sądzie łęczyckim. Próżno go jednak tam oczekiwano. Powód absencji — prawny i moralny był bardzo prosty: Pan Borzym miał tyimi czasy „wróżdę“ z sąsiadem. Trudność mu było w palestrę się bawić, skoro właśnie—jak na złość—łowy na ludzi pochłaniały wszystkie jego siły. Sąd dopuścił takie pojmo- wał należycie i pan Borzym, jako mąż sprawiedliwy, kary „nie- stanie“ uniknął w Łęczycy.

Konstytucye, o jakich mowa, to zażytek nader ciekawy, bo stanowiący dowód żywy, jak się w zaścianku myśl prawna, narzucanej przez Koronę wyższej kultury, borykała jeszcze za Ja- giełły ze swojskością pojęć, dążeń i porywów szlachty łęczyckiej.

Kradzież, której poświęcono tam około 10% uwagi, wystę- puje, jako przestępstwo, poniekąd jeszcze tolerowane w granicach ziemi. Przedawnienie za kradzież drobniejszą wynosi tylko trzy lata, jak wszędzie w Polsce ówczesnej, ale szlachcic, przez szlach- cica o kradzież oskarżony, oczyszcza się przysięgą pięciu — nie sześciu jak gdzieindziej — świadków. Gdy kto konie, lub woły kradzione odbije, ma prawo do wynagrodzenia *podwójnego*, jeżeli zwierzę skradzione było poza granicami „ziemi.“ Do rzędu oka- leczeń, przewidzianych w Statucie Wiślickim, przybywa tam nad- to kastracya. Gdy takowa razu jednego z ręki Janusza ze Słup- cy, a w sposób połowiczny, pewnego kmiotka spotkała, pani oka- leczonogo, Drogochna z Rzeźwienny, wygrała za to pięć grzywien; panowie postanowili atoli, że za luksus tego rodzaju winny płacić ma tak, jak za głowę.

Wśród ubóstwa i idącej za niem ciemnoty, uderza w Konsty- tucyach łęczyckich nieświadomość wybitna szlachty, żyjącej zresz- tą w nieustannej pogoni za uprawnymi łanami, w jakiby sposób zapewnić sobie posiadanie kmieci. Towarzyszy temu zjawisku obojętność „panów“ na ich losy, oraz brak odczucia korzytków ekonomicznych, płynących z kolonizacyi niemieckiej, przy oczy- wistej dbałości o sam fakt *panowania* nad ludnością wiejską.

Dążenie to nie przeszkadzało bynajmniej poniewieraniu go- dności szlacheckiej przez samą szlachtę, czemu—daremnie zresz- tą w całej Polsce — starał się przeciwdziałać od lat kilkudziesięciu Statut Wiślicki króla Kazimierza. Miary dopełniała dzikość oby- czajów, zanik poczucia prawa i obyczajności. Niechęć względem sprężystej władzy państwowej dzieliła szlachta łęczycka z bracią swą w całej Koronie; trudno jednak dopatrzeć się w niej usiło- wań pochycenia natomiast władzy zorganizowanej, np. nad kmie- ciami, we własne swe dłonie... Konstytucye łęczyckie postana- wiały, że *ani szlachcie*, ani kmieciom niewolno przybywać do

miast, grodów i sądów z bronią w rękę, pod karą grzywien i konfiskaty oręża... Inaczej sprawę tę uregulowała w kilka lat później, w r. 1423, sąsiednia szlachta kujawska, ściślej już klasowo zespolona, zabraniając podobnych „występów“ tylko i jedynie — *kmieciom*, „aby wróżdy i spory pomiędzy nimi nie powstawały.“ Wobec faktu, że wróżdy i spory stanowiły wówczas — *sit venia verbo* — cechę zawodową klasy rycerskiej, pobudka tej Konstytucji leży, jak na dłoni, a dźwięczy w niej już nuta solidarności szlacheckiej względem innych, niższych warstw narodu: zapowiedź niedalekiego wszechwładztwa braci herbowej jeszcze za Jagiellonów, Kazimierza, Aleksandra i obu Zygmunatów. Nie zanośliło się na to w Łęczycykiem.

Zestawienie współczesnych (XV st.) i równorzędnych pod względem rodzaju materiału Ksiąg Sądowych Kujawskich z Łęczycykiem, ujawnia nadto po stronie tych ostatnich tak znakomitą przewagę spraw o kradzieże, wróżdy, zabójstwa, najazdy, rozboje, bójkki krwawe i gwałty — cały majestat czasów barbarzyńskich — że niepodobna wątpić o różnicy kultury obu tych ziem, tak blisko geograficznie, a tak daleko pod względem rozwoju dziejowego z sobą sąsiadujących.

Na takim tle krzewił się, a miał się krzewić i nadal w najbliższych okolicach Łodzi — mechanicznie raczej, niż duchowo, folwarcznie raczej, niż kulturalnie — rozwój osadnictwa kościelnego, wytknięty tam przez losy niemal od zarania dziejów. Trzy znane nam fale tego osadnictwa, a zwłaszcza Chropiska i Wolborska, zdołały zalać nie tylko Łódź, ale i „kraj“ jej cały naokół, już w wieku XV, czyniąc i później jeszcze wyłomy w kompleksach okolicznej własności prywatnej.

Krakowscy właściciele „Chropów“ działali bodaj gorliwiej, aniżeli kujawscy panowie „Wolborza.“ Olbrzymia połać dóbr chropiskich, zajmujących południowe, południowo-wschodnie i -zachodnie okolice Łodzi, powstała bądź co bądź najprzeważniej, jako osady, folwarki, młyny, zagrody i wioski — dzięki osadnictwu kościelnemu w XV, XVI, a poniekąd nawet w XVII i XVIII stuleciu. Należały do tej kategorii: Brojce, Brus, Czereczyn, Gienzów, Guzew, Jasienie — Karpin i Klucze (?) — Kotliny, Kraszew, Leszczyny, Łaziska, Majówka, Mierzączka, Mogilno, Olechów, Pawlikowice, Rydzyny, Stróża, Wola Kotowa czyli Kochanie, Zamoście i parę osad pomniejszych.

Co do „Wolborza,“ to miała mu sprawdzie Łódź swoją godność „miasteczka“ do zawdzięczenia, ale niewiele ponadto. Aby być sprawiedliwym, trzeba jednak zauważyć, że „miasta,“ zakła-

dane sztucznie, nieudawały się nigdzie naówczas, a najszczególniej—w Polsce, gdzie—jak powiada słusznie wyborny znawca tych stosunków, Fr. Bujak — różniczkowanie wsi i miast było raczej formalne, niż rzeczywiste. „Zbyt licznie i zbyt łatwo zakładano w Polsce miasta, a przecież samo nazwanie jakiejś wsi miastem i nadanie jej miejskiej organizacyi prawnej, nie przekształcało stosunków gospodarczych. Brakło wiary i zaufania do tego nowego systemu gospodarczego. Olbrzymia większość miast zajmowała się także rolnictwem i chowem zwierząt, jakby nie ufając, czy sąsiednie wsie zechcą im dostarczyć całej żywności, a z drugiej strony również i wsie nie dowierzały, czy będą dla nich zupełnie dostępne i odpowiednie wyroby przemysłu miejskiego i u siebie, już w początku, o rozwoju rzemiosła myślały...”

Trudno o wierniejszą, choć zaoczną w danym wypadku, charakterystykę ogólną tego, czem była Łódź, „wieś-miasteczko“ i jej okolica, aż do połowy wieku XIX-go.

*

Wiadomo, że rozwój Łodzi, jako miasta, datuje właściwie od roku 1820, kiedy (dnia 18 września) zaliczono „miasteczko“ do rzędu miast fabrycznych ze względu na warunki położenia, korzystne dla rozwoju przemysłu miejscowego. Wkrótce po odpowiednim rozporządzeniu Namiestnika Królewskiego (18.IX 1820), w roku 1821 przystąpiono do pierwszej regulacyi miasta, która polegała na przygotowaniu miejsca pod osadę fabryczną, dzisiejsze Nowe-Miasto i rozdzielenie tego obszaru na dwieście placów. Aby powiększyć obszar miejski, wcielono do niego folwark sąsiedni Starą-Wieś, oraz „wójtostwo łódzkie,“ stanowiące część klucza Gałkówek, należącego do ekonomii dóbr rządowych, Łaznów. W roku 1823 specjalna delegacya rządowa dopełniła regulacyi Starego-Miasta. W roku 1825 cesarz i król Aleksander I, przedsięwziąwszy podróż dla poznania miast fabrycznych Królestwa, zwiedził Łódź i zezwolił wtedy na nowe powiększenie obszaru miejskiego przez włączenie wsi Wólki, wójtostwa Zakrzewskiego, oraz części lasu rządowego z ekonomii Łaznów. Na nowym obszarze wytknięto 462 place budowlane, a resztę oddano siedmiu większym zakładom fabrycznym. W przedłużeniu osady sukien-

niczej, powstała nowa osada tkacka, zwana Łódką. W roku 1827 było już w Łodzi conajmniej 2843 mieszkańców, a w tem 322 robotników fabrycznych. W roku 1833 jest już 5730 mieszkańców; w r. 1837 — 10645. W r. 1840 nastąpiła czwarta z kolei regulacya miasta i nowe powiększenie jego obszaru; ludność doszła już bowiem wtedy do 20000 mieszkańców. Pomiedzy r. 1840—1850 wzrost ludności Łodzi nieco się zatrzymał, a nawet cofnął (w roku 1840 — 20150 mieszkańców; w r. 1844—14028 mieszkańców) — nie ustawał jednak rozwój fabryczny miasta. W r. 1839 sprowadzono tam pierwszą machinę parową o sile 60 koni; w r. 1847 drugą (20 koni). W r. 1850 istniały już cztery maszyny o sile łącznej 150 koni. W ćwierć wieku później, produkcya w porównaniu z r. 1860 wzrosła dziesięciokrotnie, a ludność wraz z przedmiejską doszła bez mała do 120000 mieszkańców. Było już wtedy 500 fabryk wyrobów bawełnianych i 80—wełnianych, których wytwórczość oceniono w r. 1878 na sumę z górą 27 milionów rubli. ¹⁾

Zważywszy, że kilkadziesiąt lat przedtem, w r. 1793, liczyła Łódź 190 mieszkańców przy „dobytku następującym:“ 44 dymy, domów niezamieszkałych 11, placów pustych 18, stodół 44, areszt drewniany, 4 studnie publiczne i 4 prywatne, jeden młyn wodny i dwa szynki, dominialny oraz proboszczowski, a przy produkcji rocznej 50 beczek piwa oraz 70³/₄ garncy „wodki ordynareyney,“ meldowanych w łęczyckim grodzie, wołamy — skąd ta bajka?! Skąd te skarby w puszczańskim, zapadłym miasteczku?

Źródło zagadki leży, jak na dłoni, w informacyach... *magistrae vitae*. Czemuż to bowiem właściwie i przedewszystkiem, jakiemu zbiegowi okoliczności, poza wiele i mało-mówiącem „korzystnem położeniem,“ zawdzięczała Łódź-miasto bajeczny swój rozwój w wieku XIX?

Zdaje się, że nie będziemy dalecy od prawdy, twierdząc, że: *opóźnieniu kolonizacyi niemieckiej*.

Doniosłe to zjawisko średniowieczne, które zgotowało przełom w stosunkach wewnętrznych Polski, agrarnych, społecznych i ekonomicznych w okresie przybliżonym 1250 — 1450, nie odbiło się w swoim czasie echem dość potężnem w puszczy podłódzkiej.

¹⁾ Wszystkie dane, dotyczące rozwoju Łodzi w okresie 1820—1878, oparłem na opracowaniu Bronisława Chlebowskiego w „Słowniku Geograficznym“ (V, 678—679). Autor wyzyskał tam sumiennie wszystkich dawniejszych dziejopisów Łodzi, Oskara Flatta, Majewskiego i Petetza.

Osadnicy niemieccy, dawszy impuls do nowej organizacyi wsi, osad, miast i miasteczek na schyłku wieków średnich, wsiąkli w ludność polską i złączyli się z nią na tle ogólnej, nowożytnej fizyognomii Rzpltej w stuleciu XVI, XVII i XVIII. Inaczej było poniekąd w puszczańskim zakątku brzezińskim. Odwieczna, szczerą polskość tej okolicy, podtrzymywana z jednej strony przez szlachtę ubogą i zacofaną, a z drugiej modyfikowana mało przez pokost gospodarski możnego kościoła, zetknąć się tam miała nagle, na samym schyłku XVIII wieku z nowymi, całkiem nieoczekiwanymi warunkami bytu... Kiedy, porzucając ostatnią kartę Ksiąg Sądowych łęczyckich z czasów Jagiełły, a mianowicie ustępy, dotyczące puszczy podłódzkiej, przejdziemy bezpośrednio potem do „Xiąg wieczystych miasta Łodzi“ z doby króla Stanisława Augusta (najdawniejszy to zabytek „łódzki“), odnieść musimy wrażenie, że pomiędzy wiekiem XV, a końcem XVIII-go, rysy zasadnicze fizyognomii naszego zakątka nie zmieniły się ani na jotę.

Pierwszy i drugi rozbiór Polski nie dotknęły Łodzi; trzeci natomiast (1795 r.) wcielił ją wraz z okolicą bliższą i dalszą — w kraj zabrany pomiędzy Pilicą, Bugiem i Niemnem, który pod mianem Prus Południowych dostał się Hohenzollernom. I stało się to, co się stać musiało. Zjawiło się gromowe „przypomnienie“, że czas wreszcie, po długich wiekach, gonić „teraźniejszość“ warunków bytu. A teraźniejszość ta wraz ze sinutnym zbiegiem okoliczności politycznych, podsuwała sama przez się, nie dając czasu na obmyślanie miejscowych środków oryginalnych — *remedium*, jakgdyby ze wspomnień średniowiecznych Polski zaczerpnięte, a jednak jakże już obce, jakże tragiczne...

W Łodzi, w Księgach Wieczystych tego miasta, spotykamy się po raz pierwszy z Niemcami, na razie jako z przybyszami, a wnet potem jako z kolonistami—z „panami“ tych stron, w roku 1799. Jednocześnie, bo w wielkiej dobie Napoleońskiej, kościół i szlachta, rozporządzając obszarami puszczy mało zaludnionej, a pragnąc podnieść jej dochodowość, bo nie czas już było na „łowy z krogulce“, sprowadzają, jak na zawołanie, całe rzesze kolonistów niemieckich z Prus pobliskich, a nawet z Westfalii. Na parusetwótkowym obszarze leśnym samego Będonia, nie licząc borów okolicznych, powstało tymi czasy kilkanaście kolonij niemieckich, jak Andrespol, Andrzejów, Jordanów, Eufeminów, Hulanka, Justynów, Janówka, Ludwików i t. d. A każdy prawie kolonista był tkaczem. Powstawały nowe osady i huty (w Będoniu około 1824 roku), palono i karczowano lasy, a wszystko nagle, gwałtownie, jakby na wyścigi z czasem...

W chwili, kiedy książę-minister Ksawery Drucki-Lubecki popierać ją gorliwie przemysł krajowy, w dobie, poprzedzającej powstanie listopadowe, Łódź miała już nietylko grunt pod nogami, ale i okolicę, mogącą jej dostarczać na zawołanie zdolnej, tkackiej z ojca i dziada, ludności fabrycznej. Przyszłość była zapewniona. Czyż mamy, żyjąc jeszcze w czasach *formowania się* Łodzi nowożytnej, przepowiadać jej przyszłość dalszą? Losy kolonizacyi niemieckiej w Polsce całej przesądzą ją. Będzie ona, bo musi być — polską.

Oto geneza „korzystnego położenia“ miasteczka, którego wzrost fenomenalny przedstawia się w oświetleniu dziejów niby „procent“ nagle zrealizowany, procent składany od „gniazd krogulczych i szmerów,“ od bogatej natury dziewiczej, niewyzyskiwanej wcale niemal przez człowieka aż do czasów najświeższej daty.

Jeszcze jednak w roku 1843, pomimo widocznego już wtedy rozwoju Łodzi, Baliński i Lipiński, pisząc o niej, nadmienią, że choć tam w r. 1459 miała ona dostarczyć jednego zbrojnego piechura na wojnę pruską, choć Jan Olbracht ustanowił w niej w r. 1496 na prośby biskupa targi tygodniowe we wtorki, a jarmarki na uroczystość Narodzenia N. M. P. i na św. Wojciech; choć wreszcie, w r. 1553, Zygmunt August, spełniając życzenia biskupie, przeniósł jarmarki na dni inne, a nadto dodał trzeci — na św. Tomasz, „Łódź pozostała licha, drewnianą mieścina, od samych chrześcijan zamieszkałą.“

Była to jeszcze żyjąca, jak widać w literaturze, tradycya i opinia o dawnej Łodzi staropolskiej. Jakaż bo była ona istotnie jeszcze na schyłku istnienia Rzpltej? Była nie o wiele pono dostojniejszą, niż za księdza Śliwki, co czasy Kazimierza Wielkiego dobrze pamiętał. Świadczą o tem różnice formalne raczej, niż istotne. Zamiast kanonika, trzymali wtedy „miasteczko“ z kolei w dzierżawie protegowani stolicy biskupiej kujawskiej, pp. Jan Gozdowski, Józef Chojecki, a wreszcie Imię pan Kazimierz Dawidowicz „dzierżawca miasta Łodzi y klucza łódzkiego,“ który łączył nadto, jak i jego poprzednicy, z dostojnością tym, oraz z mieszkaniem „we dworze“ (Stara Łódź), godność wójta miejscowego z ramienia biskupa-dziedzica, a raczej „Nayiaśniejszey Infuły Jaśnie Wielmożnego księdza-biskupa, Pana Miłościwego miasta Łodzi.“ Aby zaś skromny urząd wójtowski nie uwłaczał takiej personie, zwano go „Lanwójtem,“ zwłaszcza, że panowaniu jego nietylko miasteczko, ale i cały „klucz łódzki“ podlegał. Połączenie obu urzędów: dzierżawcy i wójta w jednej osobie, było

już wynikiem naturalnym położenia ogólnego *poddanych*, świadczącym nadto, że „miasteczko“ nie przestało *de facto* być wioską. Dawny sołtys, jak ów Janusz za księdza Śliwki, był niby wójtem-przedstawicielem autonomii miejscowej, wypływającej z urzędzeń prawa niemieckiego. W chwili, kiedy Łódź została formalnie miasteczkiem, miejsce sołtysa zająć tam musiał „wójt,“ a miejsce ławników—rajcowie. Tytularne te zmiany mogły być o tyle tylko stać się rzeczywistymi, o ileby wioska stała się była istotnie miastem, któreby powagą swoją, zamożnością, ruchem przemysłowym, czy handlowym, potrafiło w końcu XV-go i w XVI stuleciu, t. j. w dobie utrwalenia się stanowczej przewagi dziedziców nad poddanyimi — ocalić miejskie, autonomiczne przywileje swoje. Miasta prawdziwe, jakkolwiek uciśnione przez klasę panującą, ocaliły je w znacznej mierze; miasteczka i wioski uległy — boć inaczej być nie mogły. Do tych ostatnich właśnie należała i „Łodzka.“ Dzierżawca, *alter ego* dziedzica, stał się zarazem jej wójtem, mieszkał „we dworze,“ „Xięgi Wieczyste obywatelstwa łódzkiego“ kazał tam sobie nosić do rewizyi i podpisu, a „burmistrz-sędzia,“ niby cień chiński dawnego sołtysa-wójta i strzeżonego przezeń samorządu miasteczka, stał się właściwie jego pacholkiem. Nad „dzierżawcą-Landwoytem“ przygodnie, z fantazyi może, a niekiedy i z potrzeby, wykonywał nadzór, zwłaszcza, gdy na miejscu bywał, sam biskup-dziedzic, który—jak np. Antoni Ostrowski, co się wedle tradycyi, łowami w puszczy, w kniejach badońskich zabawiał — wyręczał się tam przy sposobności i innymi ludźmi. I tak, w r. 1774 wykonywa przygodnie w Łodzi prawa zwierzchnie „podsądek y Zupnik województwa Łęczyckiego,“ Wojciech Grzymała Ostrowski, brat biskupa, który do niego pisał: „słynie WMM Pana roztropność per universum, że nawet Mieszczanie Moi Łódcy między Sądem Dworskim (Landwójta) y Swoim (burmistrza) chcą mieć Jego pośrednictwo...“ W dziesięć lat później, w roku 1784, występuje tam w roli podobnej starosta wolborski, Kazimierz Kaziewicz.

W sprawach życia codziennego dbało jednak „miasteczko“ o dostojność swoją. Mieszczanie pędzili gorzałkę, warzyli piwo, gospodarzyli po wiejsku, dokonywali ożywionych tranzakcyj, sprzedając jeden drugiemu „lechy gruntu,“ „bycki“ i „jałoski“ i czynili liczne a hojne zapisy na rzecz kościoła łódzkiego. Troska o zabezpieczenie sobie w ten sposób żywota wiecznego odgrywała w ich życiu rolę tem większą, ile że cnota nie zawsze jakoś dopisywała im w wędrówce doczesnej. Najsilniejszą była ona, jak się zdaje, w punkcie szóstego przykazania, bo ani bójki krwawe,

ani morderstwa, ani awantury pijackie, ani nawet podstępne żonobójstwo, dokonane przez jednego z mieszczan w r. 1786, nie potrafiły wstrząsnąć tak głęboko łódzkim urzędem sprawiedliwości, jak przygoda romantycznej wdowy po Piotrze, pani Zofii Moczygębiny, którą—*nomen omen*—sławetny Antoni Gozdowski, mając wódką u Żyda częstować, tamże do „nieprzystoynego uczynku“ skłonił. Przyplacił to p. Antoni srogą grzywną pieniężną, a pani Moczygębina plagą „Rozg 90, N-ro dziewięćdziesiąt według przykazu Dworu.“ „Dwór“ dbał bowiem o przystojność miasteczka i załatwił sprawę krótko a węzłowato, nie żądając nawet przysięg w rodzaju: „jako ja..., tak mnie Boże skarz y Liścia na drzewie, Piasku na ziemi, Gwiazd na niebie, Piasku w morzu, Kropel wody, Niech mnie to wszystko potłumi...“ — boć zresztą „Córka... Arendarza, przez Drzwi spoyrzawszy (sic), widziała co się Działo...“

Dwór dbał nadto i o dostojęństwo Łodzi. *Exemplum.* Dnia 26 czerwca 1775 roku ze wszystkich „Ulic“ miasteczka, a więc z Gościńca Srebińskiego, od Źródeł Starowiejskich, od Placu, na którym stodoła stoi, od Ogrodu na stajniach, od Ścieżki Ogrodowej, Gościńca Walińskiego, z Opłotków i z Potyłków, z Ulicy Nadrzecznej, od Granic Kapitulnych i Bałuckich, od Ogrodu Durajowskiego i Rzeki Starowiejskiej, od Drogi Lutomiarskiej, Łaskowej, Stawu, Gościńca Brzezińskiego, od Dróżki Ciemnej, Ogrodu na Lasku, Gaju i Starej Dróżki Lamusowskiej — zewsząd, ze wszystkich arteryj „wielkomiejskich,“ które jeszcze ulicy Piotrkowskiej (przedtem szosy Zgiersko-Kaliskiej) nie przeczuwały — zbiegli się „Ulicą do Kościoła“ na Rynek patrycyuszce późniejszego Manchester'u, których akt urzędowy godną nazwą „pospółstwa“ mianuje i dokonali tam wyborów na urzędy miejskie:

„In Nomine Domini. Sit nomen Domini benedictum Nunc et usque in Saeculum. Dnia 26 Czerwca Roku 1775-go Obrany iest od Pospolstwa całego y od Dworu potwierdzony przez W. Imci Pana Józefa Choieckiego a Dzierżawcy Trzechletniego od J. W. Imci Xięza Antoniego Ostrowskiego Biskupa Kujawskiego y Pomorskiego:

Woyt Sławetny Jan Gozdowski
 Burmistrz Alexy Drewnowicz
 Rayca pierwszy Paweł Suwalski
 Rayca drugi Stanisław Pławski
 Rayca trzeci Jakub Kryżłowczyk
 Rayca czwarty Jakub Zarzecki

Landwoytowskich Rayców:
 Rayca Pierwszy Jan Maniński
 Rayca Drugi Jan Jezewicz
 Pisarz Mieyski Roch Józef Ławiński Przysięgły
 Łódzki mp.“

Czyż mamy snuć dalej obraz „miasteczka?“ Nie zmieniłoby to w niczem barwy jego, ani wyrazu... W roku 1806, wraz z powstaniem Księstwa Warszawskiego, stała się Łódź *de nomine* miastem rządowem. Posiadała już wtedy 767 mieszkańców i 106 domów. Wkrótce potem rozpoczęto regulację granic miejskich, zaniedbaną, bo i zbytęczną od wieków. Dnia 7 czerwca 1808 roku, jeszcze przy udziale Kapituły Kujawskiej, przeprowadzono granice z Radogoszczem i z Retkinią na podstawie aktów z r. 1597.

Zmiany polityczne, w stosunku do Łodzi formalne raczej na razie, niż rzeczywiste, nie odbiły się też dość rychło na fizyognomii jej życia wewnętrznego. Obraz tego życia z czasów Księstwa Warszawskiego, rozwijający się pod skrzydłami już nie „Landwójta,“ lecz „Magistratu,“ nie różnił się niczem właściwie od tego, co było dawniej. Zaznaczyło się to nawet i w takim drobnym szczególe zewnętrznym, że jeden i ten sam wolumin aktów, w skórę oprawny, zawiera — niby jedną całość — zarówno dawne, z czasów Rzpltej, „Xięgi Wieczyste Obywatelstwa łódzkiego,“ jak i późniejsze wpisy magistrackie po rok 1822. Od tego to czasu, jak zaznaczyliśmy wyżej, rozpoczęła się w rozwoju Łodzi era nowa. I ona jednak zarysowała się w całej pełni dopiero w połowie XIX wieku.

Jeżeli Łódź, dzięki zbiegowi różnych okoliczności, wynurzyła się tak świetnie a późno z dawnego „niebytu,“ to okolica „miasteczka,“ puszczańskie jego środowisko, przygotowywało się do nowej swej roli i do nieoczekiwanych splendorów swej stolicy, dłużej jeszcze, pomimo rącej inwazyi kolonistów niemieckich.

Na razie różnica polegała jedynie na tem, że—np. w Będoniu—siedzieli w XVI, XVII i XVIII stuleciu, zamiast Przybysława i jego sąsiadów, inni panowie Będonscy. W r. 1576 współwłaścicielem tej wioski był p. Wojciech; w r. 1628 p. Andrzej, pisarz grodzki włódimierski, a potem synowie jego: Jan, Paweł i Wojciech. Trzymali się tam oni trwale od prawieku aż do samego schyłku XVIII stulecia, wzmocnieni na szkatule i na gloryi rodzinnej w osobie Michała, syna Wojciecha i Wiktoryi z Sagatowskich, pisarza, a po roku 1769 regenta sądów marszałkowskich. Glorya ta była jednak śpiewem łabędzim starych Nałęczów w puszczy podłódzkiej. Nowe prądy, nowe czasy i ludzie strza-

skały grunt odwieczny pod ich omszałą tarczą herbową. Pan Michał Będoński, dziedzic wyłączny gniazda rodzinnego, zaznaczywszy się jako zwolennik *recentiorum* małżeństwem z Katarzyną Sztermerówną, opuścił knieje rodowe. Nie bacząc na staropolski dworzec modrzewiowy, zbudowany w cieniu lip starych w roku 1752 w odwiecznej wiosce rodzinnej nieopodal rzeczki Miazgi i jazów (obstacula) na niej, a uświęcony pięknym na belce napisem: „Boże łaskawy, dobrotliwy Panie, błogosław ludziom Twoim to mieszkanie;“ nie bacząc na prochy przodków, spoczywające u stóp modrzewiowego Kościołka w Mileszkach—on, pierwszy może pan możny na Będoniu, sprzedał go w r. 1791 Trembeckim i, rozwiódłszy się z żoną, porzucił progi domowe, aby zamieszkać w Czyszkowie, w Ziemi Czerskiej. Choć słynna tam do niedawna jeszcze z tradycyi pani Trembecka, właścicielka Będonia, niewiasta energii niepospolitej, zajmowała się nietylko (w czasach pruskich) zamykaniem „landratów“ do chlewa, ale i krzewiła gorliwie kolonizację po lasach, puszcza nie zaraz jeszcze utracić tam miała swój dawny charakter odwieczny.

Wedle wspomnień starego sługi i gajowego nowych właścicieli wioski, wołyniaka Teodora Sawickiego, który około r. 1850 sięgał pamięcią w czasy, kiedy biskup Ostrowski łowami w kniejach będońskich się bawił, kiedy niedźwiedź ostatni padł w nich, kulą rażony, Będoń przedstawiał się wtedy, jako „Lasy i owies dla psów na ospę — ono tolko.“ „Psiarnię po prymasie Ostrowskim“ († 1784) zniesiono tam istotnie dopiero przed sześćdziesięciu kilku laty. Ostrowski, który, jak wiadomo, przed wstąpieniem w r. 1778 na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie, piastował od r. 1762 infułę kujawską, dzierżawił najwidoczniej łowy w tych kniejach od panów Będońskich, a na szczupłych gruntach uprawnych produkował owies na ospę dla sfory. Opłata z tenuty takiej mogła nie odpowiadać istotnie wymaganiom pana Michała! Potomek starych Nałęczów nie przeczuwał czasów nowych, stojąc u samego ich progu. Był to jednak dopiero próg raczej dziejowy, niż taki, na jaki jednostki zwykły się oglądać. Pomimo działalności kolonizacyjnej następczyni Michała Będońskiego, pani Trembeckiej, puszcza pozostała bowiem w tym stanie, że jeszcze za jej wnuczki, a długoletniej właścicielki Będonia od roku 1845-go, Joanny z Sucheckich, toczył się proces z rządem, prowadzony około roku 1850 przez męża jej Karola Koźmińskiego, o granice w obszarze *kilkudziesięciu wótek lasu* od strony Kurowic i Gałkowa.

W Stokach rozrośli się w XVI i XVII stuleciu panowie Stokowscy, najbliżsi bywalcy i sąsiedzi Łodzi. Inne wioski, o ile nie

stały się kościelnymi, a potem rządowemi, pozniemiały przeważnie dawnych właścicieli. Tło wszędzie jednak naokół i na długo pozostawało bez zmiany. Pamięć przeszłości, pomimo, że „teraźniejszość“ przez wieki całe, bo aż do początków XIX stulecia, była jej wiernym odbiciem i ciągiem dalszym, zatarła się zupełnie wśród Łodzian; pozostało z niej jedynie poczucie jakby odwiecznej wyłączności bytu, panowania i siły twórczej Kościoła, tej instytucji, która cienkim nalotem kultury obdarzyła puszcze i „miasteczko...“

Istniała doniedawna, nim jeszcze dym kominów fabrycznych zdołał przesłonić tam całkowicie pamięć rzeczy minionych, ciekawa, bo *znamienna* legenda łódzka. Posłuchajmy jej opowieści, odtworzonej na podstawie poematu Wiktora Dłużniewskiego.

W gąszczu leśnym była licha miejscina z kościołkiem ubogim. Miała właściciela, a był nim Paweł Łodzian Kubowicz—stąd nazwa miasteczka—potomek Kuby Mazura, który niegdyś cesarzowi Zygmunтови przywiózł łodzią pierścień przez Dunaj. A był to pierścień Zawiszy Czarnego, wodza wojsk cesarskich, po którego Zygmunt wyprawił ową łódkę podczas bitwy z Turkami, aby się ratował. Rycerz zginął jednak i tylko pierścień swój zdołał odesłać panu swemu. Stąd herb Kuby Mazura u potomka jego, Pawła Kubowicza. Paweł był chorążym w czasach Dymitra i Maryny, a był wojakiem wielce zasłużonym. Asystował Żółkiewskiemu w Warszawie i pierwszy złożył zdobycz swoją u stóp tronu. Słynął i za Batorego. Żona odumarła go w rok po ślubie, zostawiając córkę Urszulę. Wychowywała ją siostra Kubowicza, żona Jakóba Rogowskiego (Rogi pod Łodzią), który Łódź odeń dzierżawił. Gdy Kubowicz walczył, podrosły i córka jego Urszula i córka Rogowskich, która wyszła za sąsiada, Jacka, pijaka, rozpustnika i zawadykę. Działy się sceny okropne, to też Rogowski rozpił się za przykładem zięcia. Pani Rogowska zmarła, a nieszczęście Urszuli wzrastało. Modliła się gorąco w kościele łódzkim o zdrowie nieobecnego ojca, gdy znany jej młodzian, Podstolic, zapalał do niej afektem serdecznym wbrew woli tych, co by jej mieniem owładnąć chcieli. A Jacek miał już wtedy syna, Włodzia. Niepokoi się tedy i powiada do teścia: „Jak się ryba wysłiżnie z Łodzią, tylko na Rogach osiadzie Włodzio.“ Obaj stawiają tedy przeszkody energiczne małżeństwu Urszuli. Kiedy podstolic zajeżdża z orszakiem, zastaje obu opiekunów Urszuli pijanych. Zebrawszy poddanych, rozbroili oni gościa i pobili go tak ciężko, że zmarł niebawem. Wkrótce potem zawiatała śmierć i do dworu w Rogach, zabierając Urszulę.

W kościele łódzkim nabożeństwo. Kapłan wzywa Boga o mściciela: „Pawle, ojczyźnie Urszuli, jeśli żyjesz, gdzie się kryjesz?“ Jak na zawołanie, zjawia się postać, niby grobowa i prawi: „Boże, połącz mnie z córką—błagam w pokorze. Jam myślał, że trafię na wesele, a znajduję ją martwą!“ Był to Paweł Kubowicz, który po 19 latach niewoli u Turków wrócił do kraju. Zemdlał u wrót kościelnych. Dostrzegli go tam Rogowski z Jackiem, a i on ich poznał i do zemsty gotować się zaczął.

Tam, gdzie w połowie XIX wieku stała plebania łódzka, wznosił się niegdyś dwór dziedzica Łodzi, otoczony fosą. Po powrocie Kubowicza, a było to w r. 1633, miało tam miejsce pamiętne zdarzenie. Chorąży Paweł Kubowicz, wpatrzony w portrety antenatów, wypowiada monolog: „Komuż powierzę straż przy naszym grobie? Kto o nas wspomni, odda uścisk bratni w przedśmiertnej chwili? Nikt, oprócz kapłana i krom Kościoła! Niechże Kościół za to, że nas oddaje miłosierdziu Pana, rozrząda mieniem — doczesną zapłatą.“ Postanawia zapisać Łódź, zamiast krewnym, Kościołowi: „za chciwość krewnych, za grzechy i za śmierć Urszuli.“ Pada strzał, okno się wali, a Chorąży, trafiony w głowę, kona. Zbir, jak huragan, zjawia się w komnacie, chwytając—zostawiając wszystko—papiery i ncieka. Posądzony o zbrodnię Jacek, dowodzi, że sprawcą jej jest jakiś łyk miejski. Uwolniony od odpowiedzialności, raduje się z Rogowskim, że wreszcie Łódź zagarną. Aliści okazuje się, że testament już oblatowany na rzecz Kościoła. Jacek wypija dzban okowity i pali się, a Rogowski—gdzieś, między Łodzią a Zgierzem, zostaje pustelnikiem. Po trzydziestu latach odnajduje go tam Włódzio, jako żebraka i pokutnika.

Na treść tej opowieści złożyły się niechybnie, i to w znacznej mierze, tragiczne wspomnienia rodzinne któregoś z biskupich dzierzawców Łodzi. Czyliż jednak legenda ta nie jest, jak tyle innych, *prawdziwą wonią* przeszłości?...

J. K. KOCHANOWSKI.

JAPONIA I KOREA.

„Gdy wieloryby walczą, raki mają grzbiet zdruzgotany“ — mówi koreańskie przysłowie. Koszty krwawych zapasów, które tysiącami ofiar zasiały pola Mandżuryi i odnęty morskie Dalekiego Wschodu, Korea płaci swą niezależnością. Bezsilny i bezbrony kraj „pogodnego poranka“ staje się łatwym i bezkarnym łupem uzbrojonego od stóp do głów państwa „słońca wschodzącego.“ Bezkarnym—bo i dzisiaj, pomimo postępu cywilizacji i hasł humanitarnych, rozbrzmiewających tak głośno po całym świecie cywilizowanym, panoszy się samowładnie, święci coraz to nowe, coraz jaskrawsze tryumfy barbarzyńska maksyma: „siła przed prawem.“

Dziwną też ironią losu, tragedia ta dziejowa rozgrywa się na Dalekim Wschodzie w tej właśnie chwili, gdy na drugim krańcu świata areopag państw cywilizowanych naradza się nad wyszukaniem środków, mających zapobiedz przyszłym wojnom, a tem samem i sytuacyom politycznym w rodzaju tych, których ofiarą pada obecnie Korea. Co gorsza, konferencya ta pokojowa stała się mimowolnym wprawdzie, lecz bezpośrednim powodem koreańskiej katastrofy. Zjawienie się bowiem w Hadze delegacji koreańskiej posłużyło Japończykom za pozór dogodny do detronizacji cesarza Korei i wzmocnienia swego zwierzchnictwa nad jego państwem.

Był to oczywiście pozór tylko, nic więcej — pozór przytem z góry, jeśli nie mylą rozmaite oznaki, przygotowany. I w tym wypadku, jak w ogóle w całym swem postępowaniu wobec Korei, Japończycy okazali się doskonałymi uczniami mistrzów swych europejskich. Nietylko przyswoili sobie wszelkie wynalazki techniczne, sztukę prowadzenia wojen i odnoszenia zwycięstw, ale

posiedli także wszelkie arkana dyplomatycznej umiejętności, sterczącej się przedewszystkiem w nienazywaniu rzeczy po imieniu, w posługiwaniu się cywilizacyjnymi i humanitarnymi hasłami, gdy chodzi o ukrycie prostego gwałtu.

Od czasów najdawniejszych posiadanie Korei stanowiło dla Japończyków główny cel pragnień i dążeń politycznych. Okres bohaterski dziejów japońskich wypełniają wyprawy wojenne na Koreę, od której Japonia otrzymała zresztą pierwsze początki swojej kultury. Długie i krwawe te wojny toczyły się ze zmienem szczęściem. Ostatecznie jednak Koreańczycy, dzięki pomocy Chin, oparli się zwycięsko najeźdźcom i przez okres czasu dość długi panował względny pokój pomiędzy dwoma nienawidzącymi się narodami, oddzielonymi od siebie wązkiem tylko ramieniem morza.

Ale Japończycy nie zrzekli się bynajmniej swych aspiracyj. Zrzuciwszy z siebie dawne więzy barbarzyństwa i zamieniwszy się w zdumiewająco krótkim czasie w naród nowoczesny, wyposażony we wszelkie zdobycze cywilizacji i ożywiony przytem dalekonośnymi planami, na nowo rzucili wzrok pożądliwy na Koreę. W rzeczy też samej półwysep ten posiadał dla nich olbrzymie nie tylko strategiczne i polityczne, ale i gospodarcze znaczenie. Z niego, jakby z przyczółka mostowego, staczać się będą mogły zbrojne ich zastępy, zdobywać dalsze kraje, roznosić sławę imienia japońskiego po całym Dalekim Wschodzie. Dalej, mało wyczerpane przez nieudolną, leniwą i apatyczną ludność miejscową bogactwa przyrodzone Korei, nastęrczały przedsiębiorczości japońskiej korzystne i obszerne pole działania. Wreszcie kraj ten słabo zaludniony zapewniał dogodne ujście nadmiarowi ludności japońskiej, która w swej ojczyźnie znaleźć już nie mogła odpowiednich warunków bytu.

Apetyt Japończyków podnieciła oczywiście bezsilność upatrzonej ofiary. Gdy państwo „wschodzącego słońca,” dzięki rozumowi swych władców oraz energii i sprężystości swych mieszkańców, wzrastało coraz bardziej w siły, rozwijało się coraz pomyślniej materyalnie i intelektualnie, zrywało się do lotu coraz śmielszego, kraj „pogodnego poranka,” gnębiony i obdzierany przez swych panujących do spółki z liczną warstwą drapieżnych i sprzedających urzędników, pogrążony w ciemnocie, podnieść się nie mógł i nie umiał ze swego upadku.

Wszelkie też dane zdawały się przemawiać za tem, że już wojna Japonii z Chinami w r. 1895 rozstrzygnie losy Korei. Wojna ta podjęta została, jak głosili Japończycy, w interesie tego

państwa, w celu zapewnienia mu niezależności. W rzeczy samej Korea podlegała aż do r. 1895 pod względem prawno-państwowym zwierzchnictwu Chin. Ale zwierzchnictwo to było więcej symboliczne niż faktyczne. Król koreański składał „synowi nieba“ w Pekinie corocznie pewną daninę, po za tem jednak cieszył się pełną niezależnością. Rozumie się, że Japończycy nie dla tego wypowiedzieli wojnę Chinom, aby uwolnić Koreańczyków z pod obcego, zresztą lekkiego bardzo jarzma, lecz w tym jedynie celu, aby wzmocnić swój wpływ na Koreę i utorować sobie drogę do zupełnego zawładnięcia tym krajem.

Interwencya Rosyi, Francyi i Niemiec pozbawiła Japonię głównych owoców jej zwycięstw, odniesionych na lądzie i morzu nad Chinami. Przedewszystkiem więc interwencya ta zmusiła Japończyków do ustąpienia z półwyspu Liaotung, przyznanego im przez Chiny w traktacie z Simonoseki i tem samym do zrzeczenia się wygodnego i silnego punktu oparcia na stałym lądzie azjatyckim. Z wściekłością w sercu, lecz z pozornym spokojem Japończycy poddali się temu nakazowi czy tej presyi trzech mocarstw, odkładając odwet do stosowniejszej chwili.

Główny jednak cel ich dążeń politycznych stanowiła i teraz Korea. W następstwie wojny japońsko-chińskiej, to państwo uzyskało nie tylko faktyczną, ale i nominalną niezależność. Za zgodą Japonii, Rosyi i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej 34-ty władca z dynastyi Li, panującej od 1392 r. nad Koreą, król Li Heng, ogłosił się dn. 12 października 1897 r. cesarzem, czyli podług pojęć wschodnich niezależnym władcą, i tym krokiem zerwał ostatecznie więzy prawno-państwowe, łączące kraj jego przez długie wieki z Chinami. Stary, chiński łuk tryumfalny w pobliżu Seulu, na trakcie, wiodącym do Pekinu, gdzie król koreański corocznie składał daninę chińskiemu pełnomocnikowi, został zburzony, a w jego miejsce cesarz świeżo upieczony wznosił wspaniałą pomnik na cześć niezależności swego państwa.

Niezależność ta nie trwała zbyt długo. Niebawem na dworze seulskim walczyć zaczęły z sobą o przewagę wpływy japońskie i rosyjskie. Przedewszystkiem zaś Japończycy występowali jako samowładni panowie Korei, a poseł ich w Seulu nie przebiegał w środkach, aby zmusić do uległości nowego cesarza.

Daremnie Li Heng próbował uwolnić się z dławiącej go coraz silniej obroży japońskiej, daremnie u mocarstw europejskich szukał oparcia i pomocy przeciw uroszczeniom Japończyków, zwiększającym się z dniem każdym. Jak z góry przewidzieć było można, nadzieje jego w interwencję mocarstw spełzły na niczem.

Widoki lepszej przyszłości zaświtały na chwilę dla Korei, gdy główny jej gnębiel uwikłał się w zatarg wojenny ze swym współzawodnikiem o przewagę w państwie „pogodnego poranka,” z Rosją. Ale z krwawej tej próby Japonia wyszła zwycięsko, w morderczych bitwach pobiła na lądzie i na morzu swego przeciwnika i teraz, nieobawiając się już żadnych przeszkód, dążyła prostą drogą i szybkimi krokami do urzeczywistnienia swego celu, do objęcia nad Koreą politycznego zwierzchnictwa.

Po długich więc i burzliwych naradach pomiędzy cesarzem koreańskim a japońskim pełnomocnikiem, margrabią Ito, wymuszony został na Li Hengu dn. 17 listopada 1905 r. traktat, obejmujący następujące najważniejsze punkty:

1) Rząd japoński kontrolować będzie za pośrednictwem urzędu spraw zagranicznych w Tokio stosunki i interesy zagraniczne Korei, a dyplomatyczni i konsularni przedstawiciele Japonii reprezentować będą poddanych Korei i ich interesy w innych krajach.

2) Rząd japoński obowiązuje się dbać o to, aby traktaty, istniejące pomiędzy Koreą a innymi państwami, utrzymane były w całej pełni, a rząd koreański obowiązuje się ze swej strony nie zawierać żadnego traktatu, ani żadnej umowy o charakterze międzynarodowym, bez pośrednictwa rządu japońskiego.

3) Rząd japoński będzie na dworze jego cesarskiej mości cesarza Korei reprezentowany przez rezydenta generalnego, który zajmie swą siedzibę w Seulu i którego głównym obowiązkiem będzie kierowanie sprawami dyplomatycznymi. Temu generalnemu rezydentowi przysługiwać ma prawo żądania każdej chwili audyencji prywatnych i osobistych u jego cesarskiej mości. Rząd japoński korzystać ma dalej z prawa ustanawiania rezydentów w rozmaitych portach otwartych oraz w innych miejscowościach, które uzna za właściwe. Ci rezydenci mają podług wskazówek rezydenta generalnego pełnić obowiązki ustanowionych dotychczas w Korei konsulów japońskich w sposób niezbędny do pełnego urzeczywistnienia celów niniejszej umowy.

4) Rząd japoński obowiązuje się czuwać nad utrzymaniem powagi i godności domu cesarskiego w Korei.

Przepisy powyższej umowy tracą, jak opiewa wstęp do tego historycznego dokumentu, moc swoją obowiązującą z chwilą, gdy Korea „uzyska swoją siłę narodową.”

Siły tej niema dzisiaj jeszcze Korea. Dowodzi tego przynajmniej japoński rezydent generalny przy dworze w Seulu, głośny margrabia Ito, w następującem orędziu, wystosowanem przed niedawnym czasem do rządu koreańskiego:

„Zaznaczyć należy, że Korea w obecnej chwili korzystać jeszcze nie może z niezależnego bytu politycznego. Wielu Koreańczyków domaga się wprowadzenia niezależności dla swojej ojczyzny; winni oni jednak uprzytomnić sobie, że naród niezależność zawdzięczać może jedynie sobie samemu, swej własnej sile i własnej pracy, że żadne obce państwo obdarzyć go nie może niezależnością. Jeśli więc Korea pragnie niezależności, to uzyska ją jedynie wtedy, jeśli na drodze wytrwałej pracy dążyć będzie do tego celu.“

Co do słuszności powyższych poglądów margrabiego Ito na sprawę niezależności, niema chyba dwóch zdań. Nasuwa się jednak pytanie, czy Koreańczycy w obecnym swym położeniu, dławieni w „opiekuńczym“ uścisku japońskim, pozbawieni wszelkiej swobody ruchu, gnębieni, wydziedziczani i wyzyskiwani przez obcych „cywilizatorów“, zdobyć się wogóle mogą na przeprowadzenie o własnej sile reform, niezbędnych do podźwignięcia swej ojczyzny z dzisiejszego jej politycznego, społecznego i gospodarczego upadku?

W takich warunkach wyręczyć ich musieli z natury rzeczy Japończycy, którzy też w krótkim bardzo czasie działali bardzo wiele, o ile przynajmniej wierzyć można dwom ich urzędowym memoriałom sprawozdawczym, ogłoszonym przed niedawnym czasem. Pierwszy z nich przedstawia reformy administracyjne, przeprowadzone w ubiegłych kilku latach. Dowiadujemy się więc z niego, pomiędzy innymi, że odbudowano wielkie drogi lądowe, ulepszono drogi wodne, przeprowadzono reformę szkoły, szpitali, urzędów policyjnych, oczyszczono dwór cesarski z żywiołów podejrzanych i niepewnych, dokonano reformy w zarządzie lokalnym, w prawodawstwie, w sądownictwie, uregulowano wychództwo, popierano przemysł, zwłaszcza kopalniany, tak ważny dla Korei.

Drugi memoriał obejmuje reformy z zakresu skarbu. Pierwszym ich warunkiem było uzyskanie niezbędnych środków pieniężnych. Udzielił ich w drodze pożyczki wielki japoński bank przemysłowy „Nippon, Kogyo Ginka.“ Administracją finansów zajął się doradca skarbowy, mianowany przez Japonię na mocy traktatu z r. 1905. Obecnie też Korea preliminarz już swoje dochody i wydatki, a preliminarz budżetowy staje się w miarę wprowadzenia reform coraz bardziej szczegółowy i skomplikowany. Ostrożnie, aby nie rozdrażniać ludności, przeprowadzono podwyższenie podatków, tępiąc jednocześnie z wielką surowością wszelkie nadużycia urzędników podatkowych, które dotąd najbardziej gnębiły ludność.

Ważne reformy wprowadzono także w zakresie instytucyj bankowych. Czynność ich, dotychczas dowolną, poddano kontroli rządowej. Prócz tego rząd założył w wielu miejscowościach banki rolnicze i przemysłowe, aby ułatwić obrót pieniężny, a jednocześnie przyczynić się do rozwoju rolnictwa i przemysłu. Z końcem r. 1906 było w Korei dziewięć takich banków, z których każdy operował sumą 100,000 yenów. W związku z tem przeprowadzono reformę waluty, potworzono związki kupieckie, które pod kontrolą rządu wypuszczają własne banknoty. Aby ułatwić gospodarkę rolną, założono domy towarowe, które udzielają pożyczek na zboże i inne płody rolne. Dzięki tym i innym środkom uregulowano w kraju obrót pieniędzy i oparto go na zdrowych podstawach.

Tak się przedstawiają w oświetleniu japońskiem błogosławieństwa, jakie spłynęły na Koreę od chwili, gdy Japonia zajęła się rzekomo „bezinteresownie“ jej losami. Niestety, Koreańczycy są narodem tak zacofanym, że nie uznają—jeśli pominiemy nieliczne wyjątki, które bądź to interes osobisty, bądź też zapal do cywilizacyi, spychający na plan drugi wszelkie inne względy, popchnął w objęcia Japończyków—tych dobrodziejstw narzuconych sobie przemocą, i tak niewdzięcznym, że pragnęliby swych „dobroczyńców“ wypędzić co prędzej za dziesiątą granicę. Dobroczyńców tych przybywa zresztą coraz więcej. Przed dwudziestu laty było ich w całej Korei zaledwie kilkanaście tysięcy, obecnie liczba ich dosięga już pół miliona, a zwiększa się z dniem każdym. Wciskają się we wszystkie ważniejsze urzędy, zagarnęli handel i przemysł, eksploatują kopalnie i uprawiają rolę. Jeszcze lat kilkadziesiąt tej „pokojoyej inwazyi,“ a dla Koreańczyków nie będzie już miejsca w Korei.

Koreańczycy są, jeśli wierzyć można opisom podróżników, narodem apatycznym, daleko apatyczniejszym niż inne apatyczne narody bliskiego i dalekiego Wschodu. Większą część swego czasu trawiają na przechadzaniu się w szlafrokach i paleniu nieodstępnej fajki. Tak daleko nie sięga jednak ich apafya, aby spoglądać mogli z założonemi rękoma na to, co się dzieje w ich kraju pod rządami obcych przybyszów. Dodać do tego należy, że ci przybysze są dziedzicznymi ich wrogami, że od żadnego narodu Koreańczycy nie doznali w poprzednich wiekach tyle krzywd i ucisku, co właśnie od tych samych Japończyków, którzy dzisiaj pod pokrywką postępu i cywilizacyi, pod hasłem reform zbawionych, wkładają na ich karki jarzmo niewoli.

Tą samą nienawiścią, co lud koreański, pałał ku nieproszonym swoim opiekunom i świeżo zdetronizowany cesarz Korei. Cesarza tego przedstawiają jedni, jako monarchę ożywionego najlepszymi chęćmi, gorącego zwolennika postępu i cywilizacji, nie opierającego się bynajmniej reformom, mogącym kraj jego podnieść z politycznego i gospodarczego upadku — inni, jako typ orientalnego władcy, apatycznego i chwiejnego, oddającego się wyłącznie rozkoszom haremowym i poddającego się niewolniczo wpływom intrygującego bezustannie swego otoczenia.

Sprzeczność ta tłumaczy się prawdopodobnie w ten sposób, że Li Heng w pierwszym okresie swego panowania podlegał wpływom energicznej, inteligentnej i hołdującej postępowi swej żony. W kobiecie tej Japończycy upatrywali, słusznie czy niesłusznie, główną przeszkodę do urzeczywistnienia swych planów, zmierzających ku zagarnięciu Korei, przeszkodę, którą należało usunąć za każdą cenę.

W nocy więc 8 października 1895 r. wtargnął na rozkaz piosła japońskiego w Seulu, hrabiego Miury, oddział żołnierzy japońskich do koreańskiego pałacu królewskiego i pospędzał lub uwięził warty koreańskie. Następnie skrytobójcy, zapłaćeni złotem japońskim, wkroczyli na pokoje królewskie, szukając królowej. Nieszczęsnej ofierze zamachu udało się schronić do ogrodu. Tam jednak odnaleźli ją mordercy, przeszli mieczami i drgające jeszcze jej zwłoki spalili na stosie, pośpiesznie ułożonym i naftą oblanym.

Od straszliwej tej nocy zmienił się podobno do niepoznania energiczny dawniej charakter Li Henga. Widmo królowej, w tak okrutny sposób zamordowanej, stało mu odtąd przed oczami; przewidywał, że i jego spotka prędzej czy później los podobny i obawa ta odbierała mu dawny hart i siłę woli. Mimo to nie poddawał się bez oporu uroszczeniom japońskim, coraz uciążliwszym, szukał dróg wyjścia z nieznośnego położenia i po kolei zwracał się do mocarstw z prośbą o pomoc. Szczególną nadzieję pokładał w poparciu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, spoglądających od dość już dawna okiem niechętnym na wzrost potęgi japońskiej na oceanie Spokojuym, i kilkakrotnie odwoływał się przez swoich wysłanników do prezydenta Roosevelta. Nadzieja w tę pomoc zawiodła tak samo, jak wszystkie inne.

Wówczas nieszczęśliwy władca, albo posłuszny własnemu natchnieniu, albo, co również nie jest wyłączone, w następstwie zrzeczenia uknutej intrygi japońskiej, zdobył się na krok ryzykowny, wysłał do Hagi poselstwo, które przed areopagiem mocarstw, tam

zgrupowanych, roztoczyć miało skargi Korei na ucisk ze strony Japończyków i żądać przywrócenia jej niezależności, zagwarantowanej swojego czasu przez mocarstwa.

Delegacja koreańska doznała w Hadze bardzo przychylnego przyjęcia—ze strony prywatnego zebrania prywatnych przyjaciół pokoju i dziennikarzy wszelkich narodowości. Na zebraniu tem przywódca delegacji, książę Tyong-li, w wymownych słowach przedstawił wszystkie krzywdy, jakich Korea doznała i doznaje ze strony Japonii, oświadczył, że traktat z r. 1905 został przemocą wymuszony na cesarzu koreańskim, dowodził, że wzrost potęgi i zuchwalstwo Japończyków zagrażają poważnem niebezpieczeństwem mocarstwom europejskim, oraz że jedynie niezależność Korei zabezpieczyć może trwały pokój na Dalekim Wschodzie.

Zebranie, po wielkiej mowie głośnego apostoła pokoju, pana Stead'a, który gwałtownie napadał na Japończyków, ale jednocześnie, aby ich ułagodzić, siebie samego przedstawił, jako obywatela „największego rozbójniczego narodu na świecie,“ odrzuciło, jako zbyt daleko idącą, rezolucję, domagającą się wyrażenia sympatyj Koreańczykom a oburzenia Japończykom. Ograniczono się na zaznaczeniu, że jedynie organizacja wiecznego pokoju i zapewnienie międzynarodowemu trybunałowi polubownemu powszechnego uznania, zwrócić może narodom ujarzmionym ich prawa i wolność utraconą.

Po tem zebraniu delegaci opuścili Hagę i wyruszyli do Ameryki, aby tam, na zebraniach publicznych, opisem swych krzywd mobilizować opinię przeciw „zaborczym i zdradzieckim Japończykom.“ Bezpośredniego, praktycznego skutku nie wyda oczywiście ta podróż agitacyjna. Nie mniej przecież lekceważyć jej nie należy, jeśli się zważy stosunki wielce naprężone, panujące od pewnego czasu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej a Japonią. Naprężenie to jest, zwłaszcza w Ameryce, ale po części i w Japonii, w obecnej chwili tak wielkie, że czynnik, napozór nawet najpodrzedniejszy, wywołać może gwałtowną eksplozję.

Do konferencji pokojowej delegacja koreańska nie znalazła, rzecz prosta, dostępu. Na mocy traktatu z r. 1905 stosunki i interesy zagraniczne Korei reprezentuje Japonia, Korea więc, jako państwo zależne, nie otrzymała zaproszenia na konferencję i nie miała prawa uczestniczyć w jej naradach. Żadne też z mocarstw nie okazało chęci interwencji na rzecz umierającego, gdzieś na Dalekim Wschodzie, drugorzędnego państwa, sparzyć sobie palców

i narazić się na niechęć Japonii, potężnej i drażliwej w poczuciu swej potęgi.

Postawę tę urzędowych przedstawicieli mocarstw wobec Korei sankcyonowała, przynajmniej w części, europejska opinia publiczna, o ile się ona wyraża w prasie. Zapewne, że tu i owdzie spotkać się było można ze słowami współczucia dla nieszczęśliwego narodu, tracącego swą wolność, z wyrzutami, stawianymi najezdnikowi i gnębielowi. Obok tego, ujawnia się jednak w głosach prasy, omawiającej tragedję koreańską, „zdrowy“ egoizm, nie zaciemniony żadnym sentymentalizmem, żadnymi względami etyki i moralności publicznej.

„Z punktu widzenia francuskiego — pisze najpoważniejszy dziennik francuski, „Temps“ paryski — wypadki koreańskie nie mogą nas ani zadziwić, ani niepokoić. Zwierzchnictwo pełne i ostateczne było przewidziane od ostatniej wojny. Przyjęte ono zresztą zostało przez Francję w traktacie z r. 1907. Rzeczą jest dla nas całkiem obojętną, czy cesarz nastąpi po cesarzu, czy protektorat ulegnie zmianie, czy wreszcie dokona się aneksya. Nie mamy niczego do życzenia w Korei z wyjątkiem swobody dla naszych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych. Otóż ta swoboda została nam zapewniona przez Japonię w traktacie, który świeżo z nią zawarliśmy. Nieszczęścia Ii-Henga nie wywierają na nas żadnego wrażenia.“

W tym samym duchu, nieledwie w tych samych słowach wyrażają swe zapatrywania na przewrót, dokonywany się w Korei, wpływowe dzienniki niemieckie. I one domagają się wyłącznie swobody dla niemieckich interesów handlowych i przemysłowych i one moralną stronę tej tragedji dziejowej traktują jako „quantité négligeable.“ Niezależnie od tego, Niemców, którzy podobno nie boją się nikogo oprócz Boga, napełnia straszliwą trwogą wiadomość czy pogłoska, że zdetronizowany Ii-Heng zamierza rozbić swe namioty we wschodnio-azyatyckiej kolonii niemieckiej, Kiauczau. Zanim więc jeszcze potwierdziła się pogłoska, prasa wzywa rząd, aby nie wpuścił na terytorjum niemieckie tego nieproszonego gościa, który mógłby narazić Niemcy na niebezpieczną wielce niechęć Japonii.

W najtrudniejszym położeniu znaleźli się oczywiście Anglicy. Nadzwyczaj żywe w tym narodzie poczucie moralności prywatnej i publicznej, nie pozwalało mu pochwalać oczywistego gwałtu, popełnionego na słabszym przez silniejszego. Z drugiej zaś strony wzgląd na sprzymierzeńca Anglii nakazywał pewną wstrzeмиęźliwość. Ostatecznie jednak z wpływowych dzienników an-

gielskich jedne tylko „Times“ stanęły bez wszelkich zastrzeżeń po stronie Japończyków i pochwałyły detronizację Li-Henga.

„Oburzenie Japończyków — pisze wzmiankowany dziennik — z powodu zdradzieckich machinacyj, jakich się dopuścił monarcha koreański wraz ze swoją kliką pałacową, jest zrozumiałe i całkiem usprawiedliwione. Japończycy winni jednak nie zapominać, że spodziewać się było można takiego postępowania ze strony dworów w rodzaju dworu seulskiego. Nasza historia dyplomatyczna i administracyjna na Wschodzie jest długim spisem podobnych intryg ze strony przedstawicieli dynastyj zniewieściałych i ich zdradzieckich doradców.“

Swoją drogą „Times“ przestrzegają Japonię przed krokami zbyt krewkimi:

„Cierpliwość stanowi bez kwestyi największą cnotę polityczną w stosunkach z zacofanymi monarchami i rasami. Zbyt energiczne postępowanie w Seulu wrogowie Japonii wyzyskaćby mogli na swoje cele. Naturalnie zarządzić należy przeciwko zdradzie ze strony dworu koreańskiego odpowiednie środki zaradcze, im łagodniejsze jednak będą te środki, tem skuteczniej doprowadzą one do celu.“

Teorya o skuteczności środków łagodnych nie trafiła do przekonania Japończyków. Niespodziewane, a może aż nadto spodziewane zjawienie się delegacyi koreańskiej w Hadze, posłużyło im za dogodny pozór do naciągnięcia strun energicznych i najenergiczniejszych. W ich oczach całkiem zrozumiały protest cesarza koreańskiego przeciw sekwestracji swej niezależności i samodzielności politycznej, był zdradziecką machinacją, domagającą się przykładowego ukarania.

Jako zdolni uczniowie dyplomacyi europejskiej starali się jednak tym razem o zachowanie wszelkich pozorów zewnętrznej przyzwoitości. Najprostszą drogą wyjścia i najbardziej odpowiadającą tradycjom i zwyczajom azyatyckim, byłoby zgotowanie Li-Hengowi losu jego małżonki. Nie uczynili jednak tego, nie zepchnęli nawet „intrygującego“ cesarza z tronu. Nie—Li-Heng abdykował dobrowolnie! Po naradzie ze swymi ministrami, bez wyjątku kreaturami Japończyków, ogłosił następujący manifest abdykacyjny:

„Idąc śladami swoich przodków zasiadaliśmy przez lat 44 na tronie i musieliśmy walczyć z wielu trudnościami. Nie osiągnęliśmy tego, co osiągnąć zamierzaliśmy. Nadzwyczaj ciężkie przesilenie w życiu narodu zagrażało rozwojowi państwa niebezpieczeństwem, większem, niż kiedykolwiek przed tem. Obawiamy

się, że istnieje niebezpieczeństwo podobne temu, które zagraża idącemu po lodzie. Na szczęście posiadamy syna, którego przyroda wyposażyła niezwykłymi cnotami, i który w całej pełni zasługuje na to, aby powierzono mu opracowanie planów, mających na celu rozwój rządu i państwa. Na niego przelewamy nasze dziedzictwo, uświęcone zwyczajem starodawnym.“

Zaznaczyć należy, że nowy cesarz Li-Czok, który po abdykacji ojca wstąpił na tron koreański, jest podług źródeł japońskich lub inspirowanych przez Japończyków w przeciwieństwie do „zacofanego“ Li-Henga gorliwym zwolennikiem reform. Inne natomiast, bezstronnejsze źródła przedstawiają go jako kretyna, całkiem niezdolnego do samodzielnego sprawowania rządów i tem samym jako niewolnicze narzędzie w ręku Japończyków.

Do abdykacji Li-Henga Japończycy nie przykładali rzekomo wcale swej ręki. Abdykacya ta wprawiła ich nawet w zdumienie. Tak przynajmniej głosili na wszystkie tony zarówno generalny rezydent japoński przy dworze seulskim i właściwy w obecnej chwili władca Korei, margrabia Ito, jak i japoński minister spraw zagranicznych, Hayaszi. Ciekawą jednak ilustracją tych zapewnień stanowi nowy traktat, wymuszony przez Japończyków na Korei, bezpośrednio po abdykacji cesarza. Traktat ten, który ma na oku „podniesienie potęgi i rozkwit Korei,“ zawiera następujące najważniejsze artykuły:

- 1) Korea w sprawach wewnętrznego swego zarządu kieruje się wskazówkami generalnego rezydenta japońskiego.
- 2) W sprawach prawodawczych i administracyjnych, w razie przedsięwzięcia ważnych kroków, przedewszystkiem niezbędne jest wyjednanie zgody rezydenta.
- 3) Sprawy sądowe oddziela się od spraw administracyjnych.
- 4) Mianowanie i usuwanie wyższych urzędników odbywa się za zgodą rezydenta.
- 5) Z polecenia rezydenta do służby rządowej koreańskiej przyjmowani będą poddani japońscy.
- 6) Bez zgody rezydenta poddani zagraniczni do służby koreańskiej przyjmowani nie będą.

Jeśli więc traktat z dn. 17 listopada 1905 r. przyznaje Japończykom jedynie kontrolę nad sprawami zagranicznymi Korei, to umowa z dn. 25 lipca r. 1907 oddaje w ich ręce i cały zarząd wewnętrzny, pozbawia Koreę nie tylko niezależności w stosunkach międzynarodowych, ale i samodzielności w urządzaniu wewnętrznych swych stosunków, zamienia ją chociaż nie nominalnie, to jednak faktycznie w prowincję japońską.

Lud koreański poznał w rzekomo dobrowolnej abdykacji swego cesarza to, czem ona była w istocie, dzieło przemocy i gwał-

tu, popełnionego przez Japończyków. Wybuchły więc, zwłaszcza w Seulu, krwawe rozruchy, w których polała się obficie krew po obydwóch stronach. Ze stolicy wzburzenie przeniosło się na kraj cały, i wszędzie Japończycy spotykają się z mniej lub więcej groźnymi objawami nienawiści.

Są to oczywiście przedśmiertne tylko drgania obumierającego organizmu państwowego, rozpaczliwe lecz nieudolne próby oporu ze strony narodu, skazanego na niechybną zagładę. Do pewnego stopnia słuszny jest aforyzm, że narody mają los taki, jaki sobie zgotowały i przyszłość, na jaką zasługują. Nieszczęściem było Korei, że stała się przedmiotem pożądliwości potężnego sąsiada, większem nieszczęściem a po części i winą, że nie umiała się we właściwym czasie przygotować na wszelkie możliwości, zdobyć się na środki, niezbędne do skutecznej obrony swej niezależności. Dzisiejszy opór Koreańczyków przeciw narzuconej sobie protekcyi japońskiej, jest w rzeczy samej walką drobnego raka przeciw olbrzymiemu wielorybowi. Japończycy wszystko przewidzieli i wszystko przygotowali, nieledwie w mgnieniu oka pozbyli się dawnego barbarzyństwa i odrazu stanęli w pierwszym rzędzie mocarstw, decydujących o losach świata. Kraj, „pogodnego poranka,“ nie umiał czy nie chciał otrząść się z dawnego zastoju, nie umiał czy nie chciał podążyć za cywilizacją i postępem, z założonemi rękami spoglądał na zrywającą się burzę—i kataklizm dziejowy, rozgrywający się na Dalekim Wschodzie, pochłonął go jako ofiarę bezsilną i bezbronną, oddał go na łup najeźdźnikowi silniejszemu, bo wyposażonemu we wszystkie zdobycze cywilizacyi, a jednocześnie nie przebieierającemu w środkach, przy dążeniu do celu sobie postawionego.

*

*

*

I teraz odśłania się inna strona kwestyi, budząca refleksye ogólniejsze.

Dawna Korea — to zastój i zacofanie, to despotyzm panujących i ciemnota ludu, to zdzierczość urzędników i sprzedajność sędziów, to nieład w administracyi i zamęt we wszystkich stosunkach politycznych, społecznych i gospodarczych.

Nowa Korea—to postęp i cywilizacya, to reformy zbawienne we wszystkich dziedzinach życia, to uregulowanie administracyi i finansów państwowych, to uczciwość urzędników i zgodny z prawem wymiar sprawiedliwości, to rozwój i rozkwit przemysłu, handlu i rolnictwa.

Czemże się jednak dzieje, że Koreańczycy nie widzą czy widzieć nie chcą tych dobrodziejstw, któremi ich obdarzają nowi opiekunowie? Czemże się dzieje, że mężczyźni zrzekają się dobrowolnie największej i właściwie jedynej swej namiętności, palenia tytoniu, aby pieniędzmi w ten sposób oszczędzonymi spłacić dług państwowy, w którym w swej naiwności upatrują główną przyczynę obecnej swej zależności od Japonii? Czemże się dzieje, że kobiety na ten sam cel ofiarują swoje kosztowności? Czemże się dzieje, że flegmatyczny i apatyczny lud koreański chwytą za broń, aby przemocą wygnąć ze swego kraju dobroczyńców, przynoszących mu wszelkie błogosławieństwa cywilizacyi?

Bo narodowi, który nie zrzekł się jeszcze nadziei w swoją przyszłość, który nie wyzbył się jeszcze poczucia swej godności, największa nawet pomyślność materyjalna nie wynagrodzi utraty bytu niezależnego. Cywilizacya wtedy jedynie staje się dla niego prawdziwym dobrodziejstwem, jeśli jest wynikiem własnych jego wysiłków, własnej jego pracy i własnego rozwoju. Narzucona mu z zewnątrz, przemocą, przez wroga, staje się ciężarem i przekleństwem, i dla tego odpycha ją ze wzgardą i obrzydzeniem.

Cywilizacya — ile kłamstwa i obłudy kryje się pod szczytnym tem hasłem, ile zbrodni popełniano w jej imieniu, ile razy nadużywano jej do pokrywania najwstrętniejszych, najohydniejszych celów!

Japończycy cywilizują Koreę, aby, jak głoszą w swych memoriałach urzędowych, wzmocnić potęgę tego kraju, przygotować go stopniowo do prawdziwej niezależności. W tym celu wypierają ludność miejscową ze wszystkich urzędów i stanowisk, wyyskują na własną korzyść przyrodzone bogactwa „cywilizowanego“ kraju, zagarniają jego przemysł, handel i rolnictwo. Nie — cywilizacya przyniesiona jej przez Japończyków nie podźwignie Korei z dzisiejszego jej upadku, owszem pograży ją jeszcze głębiej w bezsilność, odbierze jej wszelką możność odzyskania niezależności i wtłoczy ją bez ratunku pod jarzmo japońskie.

Zresztą Japończycy w postępowaniu swem wobec Korei posługują się tylko metodami, które podpatrzyli u europejskich swych nauczycieli. Badając historycę przekonali się, że dzieje wielkich mocarstw nie są właściwie niczem innym, tylko jednym,

nieprzerwanym szeregiem podbojów i czynów przemocy, dokonywanych zwykle pod hasłem cywilizacji. Jeśli zaś pomimo tej tendencji mocarstw zwiększania się kosztem słabszego sąsiada utrzymała się do dziś dnia przy życiu dość znaczna liczba państw drugo i trzeciorzędnych, to zawdzięczają one swe istnienie jedynie rywalizacji pomiędzy mocarstwami.

Względy na słuszność i sprawiedliwość w tej wstrzemięźliwości mocarstw żadnej nie odgrywają roli. W życiu politycznym spycha je i, dzisiaj jeszcze, pomimo wszelkich konferencji pokojowych i hasła humanitarnych, na plan podrzędny, a w każdym razie na plan drugi, górujący nad wszystkim egoizm narodowy i dobrze czy źle zrozumiany interes państwowy. Egoizm ten i interes nakazują silniejszemu tak dzisiaj, jak przed laty tysiącem, tak w cywilizowanej Europie, jak na barbarzyńskim Wschodzie, obdzierać i dławić słabszego, niezdolnego do skutecznej obrony.

Japończycy przede wszystkim od Prusaków nauczyli się strategii i taktyki, sztuki organizowania armii i odnoszenia zwycięstw. Ale i pod innym względem podpatrzyli swych mistrzów, nauczyli się od nich bezwzględного i brutalnego wyzyskiwania swej materialnej przewagi, stosowania barbarzyńskiej maksymy: „siła przed prawem,“ a powoływania się na hasła rzekomo cywilizacyjne.

I Prusacy w ziemiach, zabranych dawnej Polsce zaprowadzili ład i porządek, ustanowili wzorową administrację, zakładali banki, popierali przemysł, handel i rolnictwo, budowali drogi i koleje. A jednak ziemie te zamieniły się dzisiaj, po stuletniej przeszło intensywnej działalności cywilizacyjnej, w krainę łez i rozpacz, w ognisko najstraszliwszego moralnego i materialnego ucisku. Bo miejscowa ludność uszczęśliwiona temi dobrodziejstwami cywilizacji zdobyć się nie chciała i nie mogła na jedno drobne, zdaniem „cywilizatorów,“ ustępstwo, nie chciała i nie mogła wyrzec się swojej narodowości. Urzędowe memoryaty japońskie o reformach, dokonanych w Korei, przypominają łudząco dawniejsze sprawozdania kierowników władz pruskich w W. ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich. Tych samych środków co Prusacy na wschodnich kresach swego państwa, Japończycy chwytają się w Korei, i ostateczny skutek tej ich „misy cywilizacyjnej“ będzie zapewne podobny.

*

*

*

Kraj „pogodnego poranka“ wykreślony został w czasie najgłębszego pokoju, z rzędu państw niezależnych, a urzędowy świat cywilizowany, obradujący obecnie nad wieczystym pokojem, przeszedł nad tym aktem gwałtu i przemocy do porządku dziennego. Żadne z mocarstw nie uważało za właściwe ująć się za pokrzywdzonym. Japończycy w spokoju korzystać mogą ze swego łupu i przy jego pomocy konsolidować swoją potęgę i świeżo zdobytą przewagę na Dalekim Wschodzie. Do pewnego stopnia cieszyć się nawet mogą poparciem i uznaniem moralnym, przynajmniej ze strony tych publicystów, dość licznych zwłaszcza na Zachodzie, którzy w poőknięciu „raka koreańskiego“ przez „japońskiego wieloryba“ widzą jedynie tryumf cywilizacji nad barbarzyństwem.

Na szczęście, nie brak jednak głosów przeciwnych, głosów energicznego protestu przeciw temu pogwałceniu prawa i sprawiedliwości, jakiego się dopuścił w poczuciu swej siły i bezkarności potężny najeźdnik, i głosów współczucia dla nieszczęśliwego narodu, drgającego w walce przedśmiertnej, tracącego swą niezależność i samodzielność. Oczywiście ani ten protest, ani to współczucie nie odniosą bezpośredniego skutku praktycznego, nie powstrzymają miecza zagłady, wiszącego nad głowami Koreańczyków. Nie mniej jednak stanowią one objaw pocieszający, bo dowodzą, że nie zamarło jeszcze do reszty wśród ludzkości cywilizowanej sumienie publiczne, poczucie prawa, słuszności i sprawiedliwości, że i dzisiaj jeszcze, w czasach samowładnego jakoby panowania egoizmu i materyalizmu, skarga pokrzywdzonego i gnębionego budzi głośny oddźwięk w sercach bardzo licznych, że i dzisiaj jeszcze idealizm, tak pogardzany i wyszydzany, ma swoich zwolenników i wyznawców.

KAZIMIERZ PUFFKE.

F. BRUNETIÈRE i EWOLUCYONIZM

w historyce literatury.

Kilka już miesięcy upłynęło od śmierci Brunetière'a. Mimo to wydaje się, że niniejszy szkic nie jest spóźnionym. Hołd oddany temu uczonemu będzie zawsze na czasie, bo zasługa jego trwalszy mu rozgłos zapewnia, niż ten, co sięga tylko kilku dni żałoby, i to nie tylko dlatego, że był jednym z czterdziestu „nieśmiertelnych.“ Ślady działalności będą go nam długo przypominały, a może nawet—nie chcę uprzedzać własnych wywodów—przyszły kronikarz naszej umiejętności przeznaczy mu miejsce na początku nowej epoki w dziejach krytyki literackiej.

Lepiej też głos zabierać wtedy, kiedy już nie stawia się krzyżyka przy nazwisku, skoro się nie chce przyczyniać do głosu stugębnej famy, ale rozważać.

Nie będziemy kreślili sylwetki zmarłego, bo krytyk nie zajmuje nas nigdy przez swą osobowość, owszem, cenimy go o tyle więcej, im zupełniej potrafił się oderwać od swej indywidualności, im dalej wyszedł po za swoje wrażenia, im głębiej wszedł w swoją naukę. Bo dla nauki przedstawia on tylko dwie wartości: pewien zasób materiału naukowego, który zdobył i zakres erudycji, którą rozświetlał swoje badania; powtóre zasługa jego mierzy się zdatnością i oryginalnością jego metody. O ile mowa o metodzie, jako o narzędziu pracy naukowej, to wchodzi w rachubę również przymioty umysłu, inklinacye do tej lub tamtej specjalności. Wszystko, co po za tem, już nas nie zajmuje. Biografia i fazy rozwojowe, tragedye życia, to wszystko, cohy interesowało u poety, tu dla nas obojętnem. Poeta w dziele swoim daje pód

zarówno swojej myśli, jak i swojego uczucia, dzieło poetyckie jest odbiciem jego jaźni, w miarę natchnienia wczarowanej. Uczony—daje tylko wynik pracy umysłowej. Jeśli ją zabarwia osobistą sympatya, uczuciem pod jakąkolwiek postacią, czyni źle, bo czyni rzeczy wrogie nauce, której wyłącznem narzędziem badania jest poznanie rozumowe i wnioskowanie logiczne. Przeto chociaż współczesników uczony i osobą swoją zaciekawia, bo bywa zwykle wybitniejszą indywidualnością, to jednak dla potomności i dla nauki, która się karmić będzie owocami jego pracy, wartość przedstawiają tylko jego wyniki naukowe.

Dlatego nie będę mówił o Brunetièrze, o jego walce z życiem o byt, tak zresztą typowej, nie o Brunetièrze-radykale z lat młodych, ani o gorącym katoliku z lat dojrzałych... Wszystko to zostawimy na boku; natomiast mówić będziemy o jego książkach, mając na oku *idee* w nich zawarte, o jego *metodzie* naukowej i coś niecoś—jeśli będzie potrzeba dla rzucenia światła—o kardynalnych właściwościach jego intelektu, o ile na książkach znamię wytłoczyły.

Cieszymy się też, że nie trzeba będzie mówić o drobiazgach. Bo praca i zasługa Brunetière'a leży nie tyle w zakresie mozolnych poszukiwań archiwalnych, choć i te znał, albo badań nad tekstami, choć i to umiał, ile głównie w dziedzinie literatury samej. Polegało dzieło jego na syntetyzowaniu i teoretyzowaniu objawów literatury.

Ze śmiercią Brunetière'a zabrakło istotnie we Francji człowieka, o którym wprawdzie nie da się powiedzieć, aby był popularnym—czy to zasługą?—ale który, trzeba uznać, prawie jeden był zdolny pobudzić do ocknienia krytykę francuską od lat kilku spoczywającą w kryzysie letargu. Powoływało go do tego doświadczenie, zdobyte w kampaniach literackich, czyniła go zdolnym do tego głęboko pojęta znajomość praw trwałej sztuki, kazało się wreszcie spodziewać w nim chorążego odrodzenia—jego przywiązanie do młodzieży i jego zapał, który tryskał z każdej polemiki. Istotnie, po zboczeniach sceptycyzmu i wrażliwości, następują dni, w których młodzież—choć nie wszystka—garnie się do trzeźwego i wierzącego w stałe prawdy arystarchy. Taki René Doumie, zwracający się do klasycznej tradycji, a jeszcze więcej Ant. Albalat, wielbiący naukowość krytyki Brunetière'a, są najlepszymi wyrazami tego zwrotu.

Mimo to Brunetière popularnym we Francji nie był. Napadano na „klasyka,“ gdy się nie poprawiał, zgoła o nim chciano zapomnieć, jako o tym, który szedł naprzeciw gustom i opiniom

większości. Lemaître, którego informacja daje rękojmię pewności sine ira et studio tak o nim pisze:

„P. F. Brunetière, który sam mało kocha, wcale nie jest lubianym. Młodzi i ci z nowej szkoły, nienawidzą go, wyklinają, zadusiliby go chętnie. Profesorowie mówią o nim, że jest pedantem, aby sami mogli uchodzić za innych. Ma przeciw sobie fałszywych erudyków i erudytki, nadto zarozumiałych co do swojej wiedzy. Niema za sobą ani lekkoduchów, ani sentymentalnych, ani nerwowych. Panie go czytają mało. Sympatye, które pobudza, są rzadkie i chłodne. Z tem wszystkiem jest on *czemś*, z jego zdaniem trzeba się liczyć, czuje się, że nigdy nie można go lekceważyć. Słowem—on ma powagę.“

To też, nawet po śmierci nie pokwapiono się do obrachowania jego dorobku. O małym zainteresowaniu się nim świadczy szczupła ilość studyów o nim ¹⁾, które przeważnie przed 1890 r. powstały, a więc nie mogą ujmować zasadniczych idei krytyka ewolucyi, który swoją doktrynę dopiero w tymże roku świata ogłosił ²⁾. To też tem naglejsza okazuje się potrzeba ujęcia całości kształtu dzieła Brunetière'a, tembardziej, że nieliczne pośmiertne artykuły notatkowy tylko charakter mają.

U nas zaś Brunetière zbyt mało jest znany, czego dowodem wymownym, że Chmielowski, któremu jego teoria nie była obcą, pisząc swoją „Historję krytyki literackiej w Polsce,“ jego wpływu nie uwzględnił.

*

*

*

¹⁾ Por. Renard: Les princes de la jeune critique. Paryż, 1890 r. Lemaître: Les contemporains. 1890 r. Artykuł wszakże był drukowany w „Revue bleue“ wcześniej. Rozpatrzenie teorii ewolucyjnej znaleźć można w mało znanym artykule Albalat'a p. n. „Brunetière et la critique d'aujourd'hui.“ Nie wiedząc, gdzieby się znajdował, nie mogłem go uwzględnić; przytaczam na odpowiedzialność p. A. Langego. (Przewóska: Krytyka liter. we Francji). Po śmierci pisali o nim między innymi: Paul Wiegler: Leipziger Tageblatt (595). Melchior de Vogüé: Revue des deux mondes (1 styczn.). E. Lamy: Correspondant (25. 12. 06).

²⁾ „L'évolution des genres dans l'histoire de la littérature française,“ wykłady wygłoszone w École Normale 1889. W książkowym wydaniu 1890.

Gdy 15 lutego 1895 r. zasiadał na fotelu akademickim, opróżnionym przez śmierć Jana Lemoinne, wyznawał i chełpił się tem, że od początku swojego zawodu, jako współpracownik „Revue des deux mondes“ i jako maître des conférences w Ecole normale supérieure, „jako profesor czy krytyk, słowem czy piórem“ walczył „o wzmocnienie siły tradycyi, o utrwalenie jej praw, przeciw burzliwemu atakowi nowych prądów („modernité“).“¹⁾

W przytoczonych słowach dobrze się charakteryzuje. Te dwadzieścia lat przed wstąpieniem do Akademii zapełniła mu praca nad w. XVII, którego był najlepszym znawcą, rezultatem jej były 7-tomowe „Etudes critiques,“ uwieńczone przez Akademię Francuską. Ale nie tylko badał i poszukiwał on w tej pracy nowych odkryć, starał się przedewszystkiem zrozumieć artystyczny ideał tej epoki. Ponieważ uznawał ją, jako klasyczną, za najwyższą w literaturze swego narodu, więc rozumiał, że prawa wysnute z obserwacji tych dzieł będą ogólnymi prawami dla twórczości piśmienniczej. Gdy doszedł do ich sformułowania, dalsza działalność oparła się na ich jednolitej podstawie i była już tylko konsekwentnem przystosowaniem zdobytych prawideł, miarzeniem ich miarą i sądzeniem według ich kodeksu.

Zobaczymy naprzód, jak przykładał tę miarę do objawów literatury bieżącej i jak później na tym fundamencie, wsparty jeszcze doświadczeniem, w innych naukach zdobytem, zbudował własną teorię.

Jako zapaśnik występuje w latach 1875—1888 w walce o romans naturalistyczny. Artykuły polemiczne, w tych latach napisane, zebrał w książkę p. n. „*Le roman naturaliste*,“ o której od razu trzeba powiedzieć, że jest czeńs więcej, niż zbiorem związanych ze sobą przeznaczeniem artykułów. Tendencją książki jest przez krytykę wad wskazać powieściopisarstwu drogę do sztuki trwałej. Dlatego też, w chwili, gdy już otrząsnął z siebie pył walki, pisał w przedmowie, że chciał „wymagania sztuki prawdziwie naturalistycznej, jako to: siła obserwacji, sympatya dla cierpienia, litość dla małych i prostota wykonania, przeciwstawić bardziej powszechnym cechom naturalizmu tegoczesnego: manii niedbałości artystycznej (superstition de „l'écriture artiste“), czarnowidztwu literackiemu i upodobaniu grubych tematów.“ Ten zaś ostatni naturalizm jest wręcz dążeniem złem, systematycznym do obalenia wieczystych praw sztuki.

¹⁾ Discours académiques, str. 4.

I jakież są te obłąkania naturalizmu? Występują one w osobach Zoli, Goncourt'ów, Claretiego; podczas, gdy plusy w rachunku stanowią: „Madame Bovary“ Flaubert'a, „Les roix en exil“ Daudet'a i nowele Maupassant'a.

Doktryna romansu Zoli opierała się na podstawie tak bardzo sztucznej, że nie trudno ją było z pod nóg usunąć. W wieku pary i elektryczności jest ona objawem tego upojenia się chwałą naukowości u człowieka, który nie będąc ani siłą naukową, ani prawdziwym artystą, chciał stworzyć „literaturę naukową“, „sztukę nową, nawskroś eksperymentalną i materyalistyczną“, jako „dalszy ciąg i uzupełnienie fizjologii.“¹⁾ Cel jej ten sam, co nauki: zredukowanie sumy prawd nieznanych czyli t. zw. ideału. Technika literacka, romansu w szczególności, polega na wywołaniu eksperymentu z życia. Na takiej teorii budował Zola swoje powieści, które były niczem innym, jak tylko rozwiązywaniem problemów naukowych, fizjologicznych lub społecznych. Przeciw tej doktrynie, która wygnać miała z literatury talent, geniusz, indywidualność artysty, natchnienie, wszelkie od woli niezawisłe, nieobliczone, a przecież nieodzowne pierwiastki twórczości artystycznej, wystąpił z energicznym protestem Brunetière. Przynosił ze sobą szersze widoki, głębsze myśli, pewniejszy zmysł estetyczny; nie dziw, że zwyciężał. Cięty krytyk nie szczędzi Zoli żadnego zarzutu, wykazuje mu brak kultury literackiej i filozoficznej, odmawia znajomości środków literackich, nazywa nieukiem, czasem jest zbyt dosadnym, gdy styl autora „Rougon Macquart“ określa jako gwazdanie wiechciem, albo w owym paniętnym artykule, gdzie go „bawołem nad bawołami“ mianuje. Po za tymi ustępami książki, które kiedyś były celnymi pociskami w mrowisko nieprzyjacielskie, szukać trzeba myśli ogólnych, a znaleźć je nietrudno. Bo nietylko dlatego zwyciężał, że uniał ośmieszać, ale dlatego, że walczył z głębokiem przeświadczeniem o słuszności sprawy, bo wiedział, że ten prąd grozi zniszczeniem dotychczasowych podwalin sztuki, dążąc do wyniesienia realizmu, zasady reprodukcji życia powszedniego, do godności nowego principium. Wykazywał, że ta sztuka materyalistyczna—jeśli ją nazwą sztuki zaszczycić można—składa piękno formy na ołtarzu brutalnej władzy materyi, kontury rysunku ustępują w niej miejsca jaskrawym plomom barwnym, uczucie—ulicznej sensacyi, nie cofa się ani przed trywialnością, ani przed brutalnością, mówi językiem gawiedzi,

¹⁾ Zola: Le roman expérimental. Paryż, 1880, str. 22.

woli wydać sztukę na łup najgrubszym instynktom mas, aniżeli podnieść je do jej wyżyn.“¹⁾

Samo życie przyziemne nie może jeszcze wypełnić dzieła pióra, bo tylko jedną połową, tą gorszą, należymy do ziemi; w człowieku bardziej zajmującą jest część duchowa, która także jest realną; ale aby ją oddać, „nie wystarczy umieć widzieć, trzeba także czuć i trzeba myśleć.“ A tego nam nie dają ani Daudet, ani Zola, ani Goncourtowie, ani Malot, ani Claretie ze swoim „japonizmem“, niezdolni do wyrażenia szlachetnych piękności. Techniki ich zaletą jedyną jest fotograficzna wierność reprodukcji, jakiej najwybitniejszym przykładem są powieści dziennikarza Jul. Claretie, które skłcone z notatek tylko, na nazwę roboty reporterskiej zasługują. To wszystko nawet nie dorasta do nazwy realizmu, to wszystko aktualność, która za parę tygodni będzie przedstawiała wartość starej gazety, to wszystko dopiero materiały zebrane, które, choćby były najcenniejszymi, jeszcze utworu literackiego nie stanowią, bo przecież nie to, co artysta od społeczeństwa wziął, ale to, co mu własnego daje, zajmuje nas w książce. Tem, co nadaje dziełu trwalszą wartość, jest forma, jednolitość i harmonia kompozycji; tej nie mogą osiągnąć naturaliści, skoro książki swoje piszą wśród turkotu ulicy, albo wśród jęków szpitalnych, bo na przerobienie wrażenia na myśl czasu nie staje.

Brunetière tryumfował nad Zolą, gdy ten, zachęcony setkami wydań, w jakie mnożyły się jego powieści, poszedł za gustem publiczności i wydał pornograficzny romans: „Pot Bouille.“ Doczekał się wreszcie dni, w których mógł ogłaszać bankructwo naturalizmu z okazji nowej książki Zoli p. t. „La Terre“, w którym już „sujet d'ordure“ przebrał miarę, obrzydł czytającej publiczności do tego stopnia, że zabrakło nawet Zoli obrońców.²⁾

Łatwo było w bojowym hałasie ogłuchnąć i w kurzwie oślepnąć, Brunetière nie przestał jednak wypatrywać wśród objawów dnia takich, któreby trzeba było wynieść i pochwalić i to zaszczyt mu przynosi, że nie popadł w zrzęczenie, zacząwszy raz łącać „młodych.“ Do tych, których chwalił i oceniał trafnie, należał Flaubert; do tych, na których uwagę tłumu czytającego zwracał, należał Daudet. Chociaż początkowo (w r. 1877) szydził z antykwarskiej erudycji Flaubert'a, to jednak później spostrzegł różnicę, zachodzącą między Flaubertem, który cyzelował i emaliował swoje

¹⁾ Roman naturaliste. Rozdział I. Le roman réaliste en 1875.

²⁾ W ostatnich latach poddano ostrej krytyce rzekome „naukowe“ podstawy powieści Zoli.

tematy a współczesnikami, którzy tylko fotografowali. W trzy lata później, po jego śmierci, poświęca mu staranne studyum. Podziwiając w nim wykwintnego i biegłego w środkach ekspresyi artystę, przyznaje mu nawet rolę w historii piśmiennictwa, jako temu, który skrętną i rozważną pracą odnowił i wzbogacił technikę swojej sztuki. Tę samą „Madame Bovary,“ którą lekceważył dawniej, podziwia jako arcydzieło romansu naturalistycznego i zdobywa się na wiele znaczącą w ustach poważnego krytyka pochwałę: „Vous ne trouverez pas dans la littérature contemporaine beaucoup de pages d'une substance plus forte, ou d'un éclat plus solide, ou d'une beauté plus classique.“

Najczystszy wyrazem naturalizmu — tego, który na miano sztuki zasługuje — jest zdaniem Brunetièrè'a, Guy de Maupassant, w którego nowelach widzi wszystkie zalety naturalizmu. Chwali rozważną prostotę stylu, jasność kompozycyi, obiektywność, tematy zaczerpnięte z życia powszedniego, zwracając głównie uwagę na myślową część książki. To wszystko sprawia, że arcydzieł naturalizmu szukać trzeba między nowelami Guy de Maupassant'a.

Już powyższy przegląd opinii uwydatnia zdaje się bezstronność, z jaką oceniał Brunetièrè ten kierunek literacki. Ganił naturalizm, dopóki widział w nim tylko zdrożności, zboczenia od prostej drogi. Nie trudno było pozostać w „konsekwencyi“ pierwszych orzeczeń i miotać się przez całe lat dwadzieścia z daremną zawziętością przeciw „młodym,“ jak to ongi czynili nasi „klasycy,“ w zaślepieniu nawet dobre widzący w złem świetle, a raczej w cieniu, który rzucały im na las wyrastający, pojedyncze, powykrzywiane pnie gdzieś na końcu lasu stojące. Brunetièrè gdzieindziej jednak widział „konsekwencyę“ — w zastosowaniu swoich przekonań o dobrej sztuce. Dlatego, daleki od jakichś zasadniczych antypatyj przeciw kierunkowi, przyklaskiwał wszystkiemu co wydawało mu się dobrem.

We wszystkich dziełach swoich okazuje się Brunetièrè, jako umysł wybitnie syntetyczny, wszędzie stoi mu przed oczyma idea generalna. Pamięta o celowości pracy, badając klasyków XVII w. i wyprowadza konkluzye ogólne, poza przedmiot badany sięgające. Nie zapomina też o kwestyach zasadniczej wagi w polemice. „Roman naturaliste“ jest pod tym względem arcszczególnym przykładem książki, która, spojona z artykułów dorywczo pisanych w rozmaitych czasach w ciągu lat dwudziestu, dziś jeszcze posiada swą wartość, posiada ją właśnie dzięki tej właściwej Brunetièrè'owi skłonności sprowadzania wszystkiego do pytań ogólnych, do kwestyj podstawowych. Nie tyle tedy łatwe przyczepianie się do

tego lub owego mankamentu, nie tyle szykana, ani ataki słowne są treścią, jak to często bywa, ale zawsze dwa zasadnicze pytania: jakie są elementa nowej powieści i czy nowy kierunek posiada trwałą wartość, o której orzeka, nie wychodząc z formułek tej lub owej szkółki, ani według dogmatów klasycznych, jakby tego można się było spodziewać po wielbicielu klasyków, ale na podstawie głębokiego zrozumienia fundamentalnych praw i warunków, na których wszystkie teorie sztuki budować się muszą. I dlatego rzadko Brunetière się myli. Większą jeszcze dlań pochwałą, że późniejsza krytyka prawie nie wyszła poza te sądy, które on wydał wtedy, bo nic już nie było do dodania, ani nic do zgłębienia.

Własnym udziałem w tej kampani literackiej Brunetière najlepiej stwierdzał prawdziwość słów St. Beuve'a, orzekającego, że obowiązkiem krytyka jest przewidywać. „Krytyka jest to człowiek, którego zegarek idzie pięć minut prędzej od innych.“

Tu wychodzi Brunetière z ram książki i jako żywy uczestnik zostanie zapisanym przez historię w szeregu tych, którzy tworzyli prąd zeszłego wieku.

Zasługę dziejową naturalizmu oceniał już z odległości w ogłoszonej zeszłego roku książce o *Honoryuszu Balzacu* i tak definiował zasługę pisarza, którego już gdzieindziej ¹⁾ uważał za ojca naturalizmu:

„Jest to nowy sposób pojmowania życia i człowieka, uwolniony od wszelkiego „a priori,“ pozbawiony wszelkiej metafizyczności, albo raczej jest to *metoda*, metoda skomplikowana i subtelna, jak same fenomeny, które studyje metodą konkretną i pozytywną, pracowitą i wytrwałą.“ I tutaj kończy taką refleksją ²⁾: „Wierzyć można, że studya z dnia na dzień rozleglejsze i dokładniejsze, liczniejsze i bardziej przenikliwe, pozwolą nam pójść coraz dalej, jak tego się spodziewał Balzac, pozwolą coraz głębiej poznawać człowieka i prawa społeczeństwa.“ Do czegoż zaś innego dążył naturalistyczny romans?

*

*

*

¹⁾ W „Roman naturaliste.“

²⁾ Przytaczamy ją dla tych, którzyby jeszcze sądzili, że Brunetière był nieprzyjacielem naturalizmu quand même.

Nie wystarczyło jednak Brunetièrè'owi, że miał niezawodny zmysł estetyczny: rozumiał, że krytyka literacka na obiektywnych winna się oprzeć podstawach. Studium nauk przyrodniczych, a głównie znajomość teorii Darwina i dzieł Haeckla i Spencera przygotowała go do zastosowania doktryny ewolucyjnej, którą uważał za największą zdobycz myśli naukowej minionego wieku. Cokolwiek da się powiedzieć o tej teorii krytycznej, to zgodzić się trzeba na zdanie Faguet'a: „Ce n'est pas d'une médiocre intelligence de l'avoir inventée, et ce n'est pas une médiocre gloire de lui avoir donné son nom.“

Istotnie, na Brunetièrè najchętniej stwierdzić można, jak bardzo w nauce popłaca szerokość widnokregu. Jesteśmy przyzwyczajeni znajdować myśli, daleko po za przedmiot sięgające, prawie wyłącznie u dyletantów, którzy w sfery szerokiego światopoglądu wznoszą się w swoich pracach na skrzydłach „intuicji;“ ta właśnie wada przyzwyczała nas do lekceważenia prac syutecznych, zwracając ku wyłącznemu uznaniu tych, które na drobiazgowej analizie i na ciasnym ograniczeniu przedmiotu się opierają. Właśnie Brunetièrè wskazał swoim przykładem, jak szerokie rzuty myśli naukowej oprzeć można na spójnej i twardej podstawie fachowej znajomości przedmiotu.

Książka p. t. „L'évolution des genres dans l'histoire de la littérature“ jest jedną więcej próbą stworzenia naukowej krytyki literackiej. Jeżeli dla poznania teorii krytycznej Brunetièrè'a nie wystarczy ona sama—bo w niej wszystko tkwi jeszcze w sferze projektu, zamąconego nieraz, a niejedna idea później w wychowaniu się odmieniła—to przecież rozpatrzenie tej książki nieodzownem jest, już nie tylko dlatego, że jest w niej zawarty zarys dziejów krytyki literackiej francuskiej, która historii swej jeszcze się nie doczekała, ale przede wszystkim dlatego, że doniosłość idei Brunetièrè'a dopiero na tle historycznej ewolucji należy się uwypukla. U Brunetièrè'a zresztą wszystko wynika ze ścisłego badania natury danego przedmiotu na podstawie rozważania jego historii. Tak jest i z jego metodologicznymi teoryjami: wysnuwa je z dziejów tej umiejętności i nawiązuje do dotychczasowych zdobyczy.

Sam on w rozwoju krytyki literackiej stawia się po Tainie. Wprawdzie polemizuje z jego teoryjami, argumenty są jednak wiotkie, a ograniczenia, które stawia minimalne; atakowane momenty rasy, środowiska i chwili dziejowej wciela zresztą do swego systemu.

Już powierzchowne jednak obserwowanie obu systemów przekonuje o zasadniczej różnicy między pojmowaniem krytyki lite-

rackiej u Taine'a, który dzieło uważa za dokument tylko, a zajmuje się badaniem człowieka typowego, epokowego w tem dziele tkwiącego, a pojmowaniem Brunetièrè'a, dla którego istnieją dzieła w oderwaniu od epok. Jedno jest stanowiskiem historyka, drugie—przyrodnika, uznającego organizmy skończone i zdefiniowane. Dlatego też sądzić nie można, jakoby Brunetièrè poprawił czy uzupełnił system Taine'a, dodając do trzech przez niego wyprowadzonych momentów czwarty: czynnik indywidualności. Taine wogóle nie mógł uwzględnić tego czynnika, dlatego, że inny u niego punkt wyjścia, niż u Brunetièrè'a. W koncepcyi dziejów literatury, jako rozwoju gatunków, Brunetièrè widzi jako jednostkę literacką *dzieło*, na które, jako czynniki modyfikujące, działają rasa, środowisko i indywidualność twórcy, Taine zaś, widząc w literaturze tylko dokument kultury, dociekał w niem właśnie tego, co Brunetièrè pomija „l'individu visible“ i „l'individu invisible,“ człowieka-twórcę. Stąd też, szukając przyczyn, które złożyły się na wytworzenie danego osobnika tworzącego, nie mógł przecież postępować inaczej, jak rozkładając go na pierwiastki społeczne, wspólne narodowi, w którym działa, reszta z rachunku, to dopiero oryginalność autora, o której jednak Taine nawet nie przypuszczał, aby mogła mieć źródło w indywidualności, której nawet nie uwzględniał, traktując historycę i biograficę jako „problem mechaniki psychologicznej,“ który w wyniku daje iloczyn trzech znanych czynników.

Skoro już mowa o indywidualności, to Brunetièrè musiał ją uwzględnić jako „siłę modyfikującą,“ gdyż była mu potrzebna, jako ogniwo w teoryi, gdyż rozwój odbywający się drogą różniczkowania, od indywiduów się właśnie zaczyna.

Jeżeli jest jaki punkt styczny naczelnych idei Brunetièrè'owskich z Taine'owskimi, to tylko w tem, że jeden i drugi zwracali się do nauk przyrodniczych. Przyrodnicze traktowanie dziejów literatury, które wysłedzić się da i u St.-Beuve'a w „rodzinach umysłowych,“ nie jest istotną zasadą systemu Taine'a, który — jeszcze raz powtórzyć trzeba — był historykiem. Posługiwał się w teoryi wzajemnych zależności i gdzieindziej tylko analogiami ze świata roślinnego i zwierzęcego. Brunetièrè dopiero wskazał *tertium analogiae* w teoryi ewolucyjnej, o której już nie wiele mam do powiedzenia po tem, co już raz na tem miejscu pisano¹⁾.

¹⁾ Por. artykuł prof. E. Porębowicza Bibl. Warsz. 1892. T. I. Str. 159. Interesowanych odsyłamy zresztą do książki Przewóskego p. t. „Krytyka literacka we Francyi,“ gdzie pierwszy rozdział stanowi sumienne streszczenie omawianego dzieła.

Brunetière był pierwszym, który zastanowił się nad pytaniem: co to są gatunki literackie i co je do życia powoływa. Arystotelesowskie definicje, wyprowadzone z formalnych cech pewnej ilości utworów, uznanych za wzorowe—trwały i wystarczały. Kwestye początku i genealogii, ontogenii i philogenii gatunków, były obcemi krytyce dogmatycznej, która uważała gatunki literatury za formy stale określone przez arbitralnie nałożone reguły, nie zmieniające się pod wpływem żadnych warunków etnicznych ani kulturalnych. Na dzieło poetyckie, które opiewało uczucia, nalepiono etykietę „liryka,“ na to, które opowiadało, „epika,“ do katalogu dramatów zapisywano to, co przez dyalog wywoływało reprodukcję zdarzenia... Trzeba było dopiero pojąć utwory literackie, jako żywe organizmy, przypatrzeć się ich wzajemnym stosunkom, kazać im w monografiach historycznych niejako żyć nowo i poruszać się tak, jak żyły i poruszały się w umysłach twórców i ich współczesników, aby można było głębiej pojąć istotę rodzajów literackich. I tu pierwsza zasługa teorii ewolutywnej do naszej dziedziny zastosowanej, która nam na miejsce sztucznych, martwych definicji chce podać szereg praw z rzeczywistych stosunków wynikających. To by już wystarczało na afirmację jej bytu.

Stwierdzając jednak samo istnienie gatunków literackich i ich rozwój przez dyferencyację, zapomina Brunetière, że te dwie kwestye kryją w sobie trzecią: kwestyę początku rodzajów. Jeżeli rozwiniemy analogię z naukami przyrodniczymi, to będzie ją wyjaśniało istnienie jakiejś protoplazmy piśmienniczej. Wszelako nigdzie kwestyi początku gatunków literackich, nawet później nie będzie rozważał. Raz tylko próbuje ją poruszyć, bierze ją fałszywie i—jak zobaczymy—z małym skutkiem (mam na myśli wykłady o liryce). Dlaczego? Skoro Brunetière uważa, że gatunki literackie nie są bynajmniej czemś z góry danem i stałym, ale owszem czemś wytwarzającym się i zmiennem, to przecież poszukiwanie kolebki danego gatunku, nie będąc niemożliwością, jest przyzwyczajeniem nieomal odruchowem, do którego nas włożyła krytyka genetyczna. To też trzeba u Brunetière'a przypuścić świadome uchYLENIE się od tego zadania, może dla tej przyczyny, że początków każdego gatunku trzeba by szukać w średniowieczu, w dziedzinie, której Brunetière, stale pozostający w epokach nowszych, nigdy nie opłamał, wytwarzając nawet krzywdzącą teorię o nikłości literatury średniowiecznej. W ogóle Brunetière zbyt zasadniczy przypuszcza przełom między literaturą wieków średnich, a nowszą, aby mógł jakiegokolwiek związku pomiędzy nimi się dopatrzeć. Zdaniem

Brunetièrè'a rozwój literatury nowszej, która cała wytworzyła się z renesansu, był poprzedzony przez próżnię, przez długotrwałą zastój w literaturze wieków średnich, która we wszystkich swoich gatunkach zamarła. „...Des qualités de l'enfance, elle est passéé tout aussitôt aux infirmités de la décrépitude, et rien ou presque rien n'a rempli l'entre-deux.“¹⁾ Tu więc powstaje pierwsza wielka luka w systemie, co prawda, niezbyt trudna do zapełnienia dla znawcy wieków średnich—fakt świadczący zarazem o olbrzymim obszarze literatury francuskiej, którego nawet tak szeroki i tęgi umysł, jak Brunetièrè, w całości ogarnąć nie potrafił.

Do unaocznienia faz rozwojowych, jakie gatunek literacki przechodzi, posłuży nam przykład tragedji i komedji francuskiej w świetnych konferencyach, wygłoszonych w teatrze Odeon w zimowym sezonie 1891-2 p. t. „Les époques du théâtre français.“ Geneza tragedji nie zajmuje go wcale, orzeka tylko gdzieindziej²⁾, że nie można jej szukać w mysteryach średniowiecznych. Dla ilustracyi teoryi przykład teatru tem lepszy, że najmniej dowolności, dopuszczając indywidualność autora dramatycznego, pozwoli okazać krytykowi te obiektywne „prawa,“ warunkujące rozwój gatunku.

Istotnie, „Les conférences de l'Odéon“ na żywym przykładzie dowodnie okazują podstawowe założenie systemu, że „wszystko podlega ewolucyi, nic nie trwa, formy literackie przekształcają się, raz na lepsze, raz na gorsze, lecz nic nie ginie w nich, ani również nic się nie stwarza.“³⁾ Wszystko, co się dokonywało w ciągu trzech wieków (1636 — 1850), których produkcję stawia nam mówca z Odeonu przed oczy, sprowadza do dwóch najogólniejszych wpływów, które jakby przewodniczyły temu pochodowi: wpływ momentu i wpływ indywiduum. „Wpływ momentu, to jest ten ciężar, którym we wszystkich czasach przytłaczają produkcję literacką dzieła tego samego rodzaju, które je w historyi poprzedziły.“ Że zaś każdy postęp gatunku zaczyna się w ten sposób, że jeden osobnik się wyróżnia od poprzedników, więc indywiduum musi być uważane za przyczynę późniejszych zmian.

Ideą dzieła jest wykazanie koniecznych praw dla tej części twórczości literackiej. Takimi regułami istotnymi będą te, które dadzą się zaobserwować we wszystkich wielkich dziełach, a prze-

¹⁾ Manuel p. 37.

²⁾ Por. Manuel de l'histoire de la littérature française.

³⁾ Conférences ch. XV.

ciwnie, których brak stanowi przyczynę niższości dzieł chybiomych. Oto są te *prawa* zdefiniowane na podstawie badania historii gatunku; zgodność z naszym poczuciem harmonii, z wymaganiami, dyktowanymi „dobrym smakiem,“ będzie jeszcze jedną więcej afirmacją ich prawdziwości:

1. Akcja „teatralna“ powinna się obracać około jakiejś sprawy ogólnego zainteresowania.

2. Akcja sceniczna jest prowadzona przez wolę, jeżeli czasem krępowaną, to przecież zawsze świadomą. Elementem tragiczności jest walka. Jeżeli ściera się wola z siłami natury, albo z przeznaczeniem, albo z inną wolą, to widowisko jest tragicznem, jeżeli zaś z jakimś instynktem niskim, przesądem, konwenansem, wtedy mamy komedję.

U Brunetièrè'a wszelka teoria ma związek z życiem, tak też intencja praktyczna tkwiła ubocznie w prelekcyach o teatrze. Było nią wskazanie doświadczenia dziejowego, że bez nawiązania do tradycyi. w żadnej sztuce nie może być wprowadzoną płodna innowacja. Tu streszcza się credo Brunetièrè'a, dla którego nazwano go „*homme de tradition.*“

W tym duchu pouczał „młodzież“—*les jeunes gens*—jeszcze dwa lata przedtem, gdy głos zabierał w roztrząsanej wtedy kwestyi teatralnej.¹⁾ „Ze sztuką tak samo jak z przyrodą: nie możemy stosować jej do naszych celów, zanim nie nauczymy się wchodzić w jej służbę. Musimy być pierwej czeladnikami, potem mistrzami.“ Brunetièrè'a ideałem jest ciągłość rozwoju, dlatego z taką boleścią mentorską zwraca się do młodych autorów. Drażni go to przedewszystkiem, że ci „młodzi“ nie chcą słuchać doradczego i sądzącego głosu pielęgnujących tradycje, że chcą nagle zerwać z tem wszystkim, do czego doszła w wiekowej ewolucyi ich sztuka, że wszystkiemi regułami, normami, których przestrzeganie nadało tyle piękności klasycznym utworom. Nic też dziwnego, że ideałem artysty jest dla niego Racine „*ce génie le plus ouvert à toutes les influences,*“ który posiadał tak znaczną zdolność przyswajania sobie tego, do czego doszli poprzednicy i szczytowego punktu w dziejach tragedyi osiągnął przez to właśnie umiejętnie zespolenie i rozwinięcie ich wynalazków.

Brunetièrè nie pojmuje, że można dążyć do innych, bardziej duchowi epoki odpowiadających form piękna...

¹⁾ Zob. „*La réforme du theatre*“ w „*Littérature contemporaine,*“ t. I.

Misterna budowa, dostojnie klasyczny styl i bogactwo głębokich refleksyj czynią książkę omówioną własnością nauki, wymowy i literatury pięknej zarazem. Pod względem wykwintu formy i kompozycyi jest to dzieło tego rodzaju—nie mówię tej miary—co nasze „Wieczory Florenckie,“ które jednak bardziej są francuskie i mniej w nich uczoności. Ze wszystkich dzieł Brunetièrè'a, to jest najsilniejszym, najpiękniejszym i najbardziej organicznem. Naukowej apoteozy, ideału klasycznego tu też szukać trzeba.

*

*

*

Dla zilustrowania problemu transformacji, przejścia jednego gatunku w drugi, miały posłużyć wykłady wygłoszone 1893 r. w Sorbonnie p. t. „L'évolution de la poésie lyrique en France au dix-neuvième siècle.“ Historycznie początki poezyi lirycznej dadzą się wskazać już w średniowieczu na kantylenach, które nawet pewien odłam uczonych uważa za pierwociny literatury francuskiej. Brunetièrè wywodzi literaturę francuską z epepei. I jedna i druga teoria ma za sobą poważne argumenty; nie tu jednak miejsce dyskutować nad nimi.¹⁾ Inni uważają za pierwszego liryka Franciszka Villona, wywodząc także, nie bez słuszności, że w tak bardzo zamierzonych dniach średniowiecznego społeczeństwa, podległego autorytetowi korporacji, nie można szukać objawienia indywidualnych uczuć, które jest koniecznym pierwiastkiem poezyi lirycznej. Brunetièrè woli jednak pominąć zupełnie istnienie poezyi lirycznej, zarówno w średniowieczu, jak i później. W mętniejszym tu i zbyt pospiesznym wywodzie przyczynę tego pominięcia określa w tych słowach: „Je ne remonterai pas jusqu'au moyen âge. Gracieuse, élégante et „courtoise,“ comme elle s'appelait elle-même, la poésie lyrique de nos vieux trouvères est pauvre, après tout, elle est mince, elle est grêle; et d'ailleurs, entre la littérature du moyen âge en général, et la littérature classique, il semble qu'il y a eu une rupture ou solution de continuité.“ Nie nawiązuje zaś do *Iliady* tylko z obawy, „aby nie być zaprowadzonym zbyt daleko,“ w wieku klasycznym znowu stwierdza zupełne wyczerpanie weny lirycznej na rzecz „genres communs.“

¹⁾ Por. Manuel, str. 28, ff.

Z wielką śmiałością, ale z mniejszem prawdopodobieństwem, wywodzi natomiast początki liryki XIX stulecia od—kasznoziejstwa. Pozostawiając na boku refleksyę, czy wogóle jest potrzebne stawianie tak ryzykownej hipotezy, skoro sprawę można, idąc śladem historycznym, z zupełną pewnością ustalić, przejdźmy do samego wywodu krytyka, tym razem od tradycyi odstępującego. W tej książce jasny umysł Brunetièrè'a schodzi na bardzo ciemne krążanki, staje się wcale nie przekonywującym. On nieprzyjaciel pedantycznej uczoności, wikła się w dyalektyce i w drobiazgowych argumentach, szuka poparcia dla swojej tezy, w którą wątpliwe, czy sam wierzy. Chcąc iść w konsekwencyi poprzednio zajętego stanowiska, staje się najbardziej niekonsekwentnym.¹⁾ Zaczyna więc od Russa i dopatruje się w jego dziele pierwiastków liryki i wymowy, ponieważ on zarazem wskrzesza tradycyę pogrzebanej (?) od czasów Bossueta i Massilona ozdobności i patetyczności wystowienia, i u niego zarazem występuje dominujący rys uczucia i dążenia do wmięszania swej osobistości w dzieło, coby go znowu sposobilo na liryka. Według definicyi samegoż Brunetièrè'a, kilka kartek wstecz podanej, ani „Discours sur l'inegalité,” ani „Discours sur les sciences et les arts,” na które w wywodach wskazuje, nie mogą być zakwalifikowane do wymowy publicznej, lecz muszą pozostać, jak dotąd, dyskursami filozoficznomoralnymi. „Udział widzów lub słuchaczy jest niezbędny w definicyi i w samem pojęciu wymowy i teatru.“²⁾ A wiemy dobrze, że Rousseau swego Dyskursu nie *wyglądał* wcale, ale go pisał na konkurs. Sam punkt styczny, pomiędzy historyą wymowy kościelnej (bo mowa była o Bossuecie i Massilonie) a liryką, za który uważa Brunetièrè Rousse'a, daje się łatwo obalić samemiż opiniami krytyka. Choćbyśmy nawet już pominęli tę sprzeczność zbyt widoczną, bo w ciągu jednego rozdziału popełnioną, to powyższy sposób rozumowania wiódłby nas tylko do przyznania, że Rousseau był w jednej osobie mówcą i poetą, wcale nie dalej, do wykazania bowiem faktycznego zlania się dwóch gatunków literackich w jeden, trzebaby czegoś więcej, niż zaznaczenia, że ich znamiona występują w jednym i tem samym dziele pewnego pisarza. Jakież tedy mogą być pierwiastki w samym charakterze obu gatunków, któreby

¹⁾ Wchodzę tu w bliższy rozbiór kwestyi, ponieważ nie znalazłem nigdzie o niej dyskusyi, p. Faguet tylko sądzi, że doktryna ewolucyi właśnie znakomite daje rezultaty w badaniu poezyi lirycznej.

²⁾ Poésie lyrique str. 43.

dokonały tego zlania się? U Brunetière'a mało, a raczej wcale na to nie znajdujemy odpowiedzi, ani w „Évolution des genres,” gdzie hipotezę tę postawił, ani w „Évolution de la poésie lyrique,” gdzie już kwestyę tę lekceważy¹⁾, i zapominając o tem, że pozostała jeszcze nieudowodniona, idzie dalej. Bo też istotnie trudno by dopatrzeć się podobieństwa w gatunkach literackich tak naturą swą odrębnych. Brunetière sam w tej samej książce o kilka kartek dalej zalicza kaznodziejstwo na równi z teatrem do „genres communs,” w których osobistość mówcy zlewa się zupełnie z audytoryum, którego sposób myślenia mówca mimowolnie naśladuje. Wszelkie preokupacye osobiste — cytuję znowu samego Brunetière'a — są najgorszymi błędami, jakie mówca popełnić może.²⁾ Liryka zaś jest gatunkiem najbardziej chyba osobistym, pierwiastkiem jej niezbędnym jest indywidualność tworzącego. Ma ona dalej za przedmiot wylew uczucia, które w istocie wymowy ani świeckiej, ani kościelnej nie leży. Wymowa wreszcie cała wyrasta z *dążności* pouczenia i przekonania, której znowu wszelka prawdziwa poezya mieć nie może. Przeciwno hipotezie takiego przelania się jednego gatunku w drugi, które wyłącza równoczesne trwanie obu gatunków, przemawia zresztą najkategoryczniej fakt, że wymowa kościelna i świecka, zwłaszcza we Francyi, do dziś nie przestała istnieć, rubryka ta zawsze jeszcze w chronologiach literatury pozostawać musi, a zarazem fakt, że i przed owym przez Brunetière'a przypuszczonym krytycznym momentem daje się skonstatować istnienie poezyi lirycznej i świadomość jej istnienia.

*

*

*

Końcowym punktem, ku któremu celowo takie rozpatrywanie genealogii literatury się kieruje, jest wykrzyk praw, gdyż tą drogą spodziewa się nasz krytyk osiągnąć to, o czem już niejednokrotnie — czy skutecznie? — marzono: jeżeli już nie przekonać, że krytyka literacka jest *nauką*, to przynajmniej wykazać, że ma swoje

¹⁾ Ibid. str. 37.

²⁾ Discours de combat, str. 251.

stałe metody. Brunetière uczynić to zamierza 1) przez ograniczenie zakresu badania i 2) jak się rzekło, przez wykrycie praw, kierujących generacją gatunków i praw estetycznych. Podczas, gdy krytyk, przy badaniu zjawiska, uwzględnia zwykle różnego rodzaju wpływy zewnętrzne, posługując się pomocą dostarczoną przez filozofię, psychologię, socyologię, Brunetière pragnie właśnie i wyłącznie w naturze gatunku literackiego śledzić przyczynę zmian, które wydały pewne dzieła w następstwie ewolucyi. Tak też postępuje w świeżo wspomnianych „Epokach teatru.“ „C'est la première question que nous essayerons de résoudre... le fait de leur succession est-il l'oeuvre des circonstances, des conditions du dehors?“ ¹⁾ Sam sposób postawienia pytania zawiera przeczącą odpowiedź, która widoczna zresztą z przeprowadzenia książki. I taka krytyka w rezultacie swoim będzie miała „ustalenie na jakimś fundamencie trwałym porządku albo hierarchii między produktami poetów i pisarzy.“ ²⁾ Brunetière sądzi, że potrafi dojść tą drogą do *objektywnego* poznania wyższości jednych dzieł, epok, gatunków, prądów nad drugimi. Oczywiście, jeżeliby tak było, to żadnej trudności by już nie przedstawiało wykrycie praw, kierujących następstwem zjawisk w piśmiennictwie i praw twórczości ducha ludzkiego w tej dziedzinie.³⁾

Czy jednak te śmiałe zamiary osiągnięcia naukowych, niezachwianych podstaw dla naszej umiętości mogą być czemś więcej niż zamiarami? Zdaje mi się, że o tem, czy jakiś przedmiot może być traktowany ze ścisłością taką, jaką mamy w naukach matematycznych albo przyrodniczych, stanowi nie ta lub owa metoda, choćby nawet od nich przeniesiona, ale sama *natura* przedmiotu. Badanie zaś tamtych nauk, z których wysnuł Brunetière swoją teorię, jest zasadniczo empiryczne, nie tam nie powstaje w sferze wrażenia, nastroju ani wogóle w sferze abstrakcyi myślowej, istnieją one też same dla siebie, nie potrzebując szukać kryteriów w estetyce ani filozofii, empiryczność zaś, która jest nieodzownym warunkiem *objektywności*, w naszej dziedzinie ma miejsce chyba tylko w bibliografii.

Sama możliwość dyskusyi nad temi kwestyami przekonywa o tem, że pomysły Brunetière'a pozostaną tem, czem są metody

¹⁾ Ibidem, str. 8.

²⁾ Évol. des genres, str. 30.

³⁾ Inaczej pojmuje krytykę naukową E. Hennequin, idący w konsekwencyi zdania Taine'a: considérez les oeuvres comme des faits et des produits, dont il faut marquer les caractères et chercher les causes, rien de plus.

literackie i systematy, których względności dowodzi najlepiej to, że jest dopuszczalnym równorzędne zastosowanie kilku z nich do tego samego przedmiotu. W naukach ścisłych konieczną jest jednolitość metody, bo przedmiot badania zależny jest od praw poza naturą umysłu ludzkiego leżących, których poznanie wiedzie nas do celu: do jedynej obiektywnej prawdy. Inaczej jest, gdy do czynienia mamy z wynikami subiektywnej twórczości, w których wymiarki prawdy zawsze są względne i ciągłym podlegają fluktuacyom. W naukach ścisłych istnieje jedna metoda, u nas zaś właśnie różnorodność metod i bogactwo poglądów teoretycznych posuwa wiedzę naprzód. Fakt, że nieodzownym narzędziem badania jest sędzenie wykonywane przez jednostkę, które w tamtych naukach nie daje się zupełnie zastosować, jest nowym dowodem znacznych różnic, zachodzących między temi dwiema gałęziami wiedzy.

Wróćę jednak do samej metody Brunetière'a, bo nie można pominąć pewnych skrupułów, z którymi się ją przyjmuje. Różnorodność zjawisk literackich, mnogość wpływów genetycznych, odmiennych w każdym wypadku, przeczy istnieniu praw, któreby rozwój płodów piśmienniczych układały niezależnie od wpływów zewnętrznych; owszem historia wykazuje ciągłą przemianę materji w literaturach, będącą skutkiem przyswajania sobie coraz nowych pierwiastków. Na przykłady historyczne już wcale powoływać się nie trzeba, jeżeli chce się powiedzieć, że ograniczenie twórczości normami, które właśnie odgródenie od nowych zewnętrznych wpływów za zadanie mają, najszkodliwszem bywa. Wątpliwe więc, czy podobne odgródenie zakresu badania na dobreby wyszło naszej umiejętności.

Teoretycznie też rzecz biorąc, przeciw ustanawianiu kodeksu praw estetycznych, nieodmiennych dla wszystkich epok, zbyt cenna chyba wytaczać argumenta. Tembardziej zaś wszelkie kryteria piękna w nauce nie mogą się ostać z tego prostego powodu, że są niezmiernie nieuchwytnie, zmienne, bo w odczuciu mają swoje źródło. Jedyne więc powołaną do stawiania kryteriów estetycznych byłaby psychologia, która nie tylko, że żadnych wyjaśnień nam w tej mierze nie daje, ale nawet nie dochodzi do definicyi piękna. Bo tej, która mówi, że „pięknem nazywamy to, co zgadza się z naszymi wyobrażeniami o pięknie,“ ¹⁾ za wystarczającą uważać nie można.

¹⁾ Według Bain'a.

Zupełnie wszelako odpaść musi z systemu Brunetière'a klasyfikacya bezwzględnej wartości dzieł literackich, w miejsce której raczej możnaby postawić klasyfikowanie na podstawie doniosłości wpływów, jakie wywarły i grupowanie w rodziny pokrewieństwem ideowej treści i przynależnością do pewnych kierunków. Wszelkie zaś traktowanie dzieł w oderwaniu od epoki i prądów, jak to myślał Brunetière, wysunęłoby na plan pierwszy w historii literatury sąd osobisty i impresyę. Skoro nie da się wykryć praw literackich, równie niezachwianych, jak prawa fizykalne, każdy krytyk będzie przyjmował inną zasadę.

Bogaty rozwój krytyki literackiej w ostatniem dwudziestoleciu zeszłego wieku dał nam zresztą cały szereg sporów o wyższość jednej metody nad drugą. Wszystkie te polemiki były czysto papierowemi, bo zapominały o trzech rzeczach. Po pierwsze, że co innego jest metoda w badaniu, a co innego punkt wyjścia dla opracowania, strona przedmiotu przez uczonego ujmowana. Że tedy niema żadnej metody psychologicznej ani filologicznej, ani estetycznej, ani filozoficznej, jest tylko jedna krytyczna w trzech postaciach: analizy, porównania i syntezy. Powtóre, że sposób ujęcia przedmiotu musi zależeć od jego natury, że tedy nie można rozbierać np. „Manon Lescaut“ sposobem filologicznym, bo by to do żadnego rezultatu nie wiodło, ani na odwrót „Pieśni o Rolandzie“ sposobem innym, jak tylko filologicznym. Potrzebie, że żadna teorya literacka nie może się mienić lepszą, ani gorszą, bo każda w swoim zakresie jest usprawiedliwioną, a potrzebę jej stwierdza najlepiej ilość osiągniętych rezultatów.

Wszystkie te tak zwane metody przedstawiają się w ten sposób, że każdy krytyk ma inne upodobania i nawyknięcia umysłowe i każdy czego innego lubi się dopatrywać w dziele literackiem. Jeden będzie się stale doszukiwał przyczyn działania w psychice postaci, inny w ukształtowaniu warunków społecznych, w których one są postawione, inny specjalnie badać będzie styl, inny znowu przyglądać się będzie budowie utworu, znajdzie się taki, co oceni ideę arcydzieła i t. d.; słowem każdy z nich ma swój punkt wyjścia. U podstawy tych wszystkich teoryj leży jednak kwestya bardzo poważna, nad którą zastanowić się każe wyprowadzona przez autora „Romansu naturalistycznego“ teorya. Umiejętność nasza rozporządza pewnym zakresem materyałów, faktów dziejowych, skąd wynika, że musi być traktowaną, jako nauka historyczna, że zająć się musi klasyfikacyą materyału i zaprowadzeniem porządku w nim. Za temby szło, że trzeba dzieła tylko porządkować chronologicznie i treściowo i na tem praca badacza kończyłaby się. Zobaczymy jednak

drugi wynik nierównie więcej przekonywający. Dzieła literackie są wcieleniem społeczeństwa, względnie wybitniejszych w niem jednostek, przedstawiają życie, wywierają wpływy, odbierają je, życie sugerują. A więc trzeba je traktować, jako organizmy martwe czy żywe, ale w każdym razie jako organizmy, które tak samo żyły w świecie umysłowym, jak zwierzęta i rośliny w świecie fizycznym; tak tedy trzebaby do nich stosować metodę przyjętą w historii naturalnej, opartą na teorii ewolucyjnej. Doszliśmy więc drogą całkiem logiczną do wyników rozbieżnych. To jednak, że drugi pierwszemu nie przeczy napełnia pewną otuchą. Skoro umiejętność daje się tak nieszkodliwie zakwalifikować do dwóch gałęzi wiedzy, do przyrodniczej i do historycznej, tem lepiej dla niej, bo następczając pole do wykonywania dwóch sposobów ujmowania nauki, daje tem większą pewność, że się do prawdy zbliżymy, jeśli idziemy dwiema drogami.

Historia literatury składałaby się tedy z dwóch niejako działów. Przygotowanie i klasyfikowanie materiałów stanowi pierwszy, drugi zajmuje się ich spożytkowaniem, wyciąganiem z nich konkluzji. Tak samo jak historia powszechna ma swoje nauki pierwsze, archeologię, sfragistykę, chronologię i swoją historyozofię, podobnie i historia piśmiennictwa dochodzi do rozdziału na dwa ciała. Filozofia literatury musi być jednak inną niż filozofia historii powszechnej, musi być filozofią przyrodniczą. Bo taka już zachodzi kardynalna różnica w obu naukach, że historia ma do czynienia z osobami i zdarzeniami, które sama badaniem odtwarza na podstawie dokumentów, literatura zaś ze stworzonymi przez artystę organizmami.

*

*

*

Mniemam, że z takiego zapatrywania się na piśmiennictwo wyrosło dzieło p. t. *Manuel de l'histoire de la littérature française* (1898). Nie jest to już podręcznik, nazwa to o wiele za skromna dla książki, która wcale nie zaleca się przystępnością, koniecznym przymiotem wszelkich kompendyów. Nie jest nawet historia literatury, jest to rozumowana synteza, przedstawiająca pewien sposób ujmowania dziejów francuskiego piśmiennictwa. W tekście nie ma nic z materiału naukowego, żadnej analizy ani nawet

oparcia chronologicznego dla toku opowiadania. Dlatego też omawianie specjalniejsze tej książki wymagałoby rozpatrywania punkt po punkcie twierdzeń autora, popierania ich lub obalania olbrzymim aparatem wyników naukowych, których książka jest esencją. Nazwiska, tytuły dzieł, źródła, opinie badaczy, to wszystko usunięte po za nawias, w dopiski, które tworzą odrębny tekst, prawie trzy razy obszerniejszy od głównego, zawierający dopiero to, czego szukamy w podręcznikach Wskazówki źródłowe, do szukania materyałów i zarazem wyniki badań nad poszczególnymi kwestyami. Tak więc mamy dwie odrębne książki w jednej, obie w literaturze naukowej zupełnie oryginalne. Wybitną cechą książki, zdarzającą się zresztą nie często u Brunetière, jest ciągłość i łączność wywodu, z konsekwencją naturalną jedna idea wypływa z drugiej tak, że tworzą całość doskonale jednolitą, choć brak w niej wszelkiego podziału, podpodziału, w którymby paragrafy stały jeden pod drugim lub jeden obok drugiego. Wszystko idzie tylko naprzód, w ciągłej ewolucyi postępowej przedmiotu, którą z autorem przechodzi umysł czytelnika.

Od wynalazcy teoryi gatunków literackich, oczekivalibyśmy historii piśmiennictwa, przedstawiającej rozwój kolejny gatunków, ich panowanie w danej epoce, tak jak to zdawały się zapowiadać wykłady o krytyce. Fenomeny współzycia, walki o byt, krzyżowania, mogłyby zapełnić całą historję. Czekalibyśmy także wykazania tego oddziaływania dzieł na dzieła, o którym obiecująco mówił. Brunetière przeszedł jednak, niewiadomo czy tylko, aby dać coś nowego—na grunt filozoficzny. Wątek opowiadania zlewa się z filozofią obyczajowego tła epoki, z historją społeczeństwa paryskiego, rozlewa się prawie w jakąś historję moralną ducha francuskiego. Książka przestaje już nawet być historją piśmiennictwa, bo nie daje jego obrazu, traktując literaturę tylko jako wyraz stanu kultury narodowej. Już we wstępie do „Évolution de la critique“ ganił dotychczasowy sposób pisania dziejów literatury, które nazywał zbiorem monografij, a wykazywał, że powinno się raczej „powziąć od początku jakąś ideę ogólną i syntetyczną,“ dawać jednolitą koncepcję literatury. Jako czynniki działające wyprowadził idee, prądy ścierające się, a wszystkie je podciągnął pod dwa zasadnicze pierwiastki, które widział w ruchu literatury francuskiej wszystkich czasów. *Esprit gaulois*, bardziej rodzimy, przedstawiający liberalne tendencje rewolucyjne, gallicki humor taki, jak go wcielił Villon i drugi równie francuski *esprit précieux*, przedstawiający wysubtelnienie kulturalne, w sferze literackiej zaś konwencyonalizm i uleganie autorytetowi. Toczą ze sobą walkę,

jeden materialny, drugi bardziej duchowy. Idea nie wypowiedziana jasno, ale wciąż przebłyskująca.

I tak w wiekach średnich, w epoce kiedy literatury różniczkowały się w narodowe, literatura francuska przybrała jako charakter rodzimy ów wybujały „esprit de gauserie plein d'ironie et de révolte,“ miarkowany jednak przez prąd przeciwny, idący od surowej scholastyki, która dała prozie francuskiej jasność i logikę; z renesansu wybija się znowu ten pierwszy pierwiastek w rozwinięciu indywidualności i w rozluźnieniu więzów religijnych, skutkiem zbliżenia się do przyrody i humanizacji ludzkości, równoważony jednak przez bardziej duchowy zmysł artystyczny, tak wtedy żywy. Reformacya (w lit. franc. Calvin) tłumi go jeszcze bardziej swoim technieniem surowości etycznej. Na ogół jednak renesans przynosi ustalenie się tej cechy literatury francuskiej, która nadała jej humanistyczne piętno umysłu łacińskiego. Esprit précieux panuje znowu nad epoką klasyczną, zarówno w wykwincie towarzyskim, jak i w samym charakterze literatury, uległej przepisom i cokolwiek wymuskaney. Szorstkość gallicka, rozluźnienie etyczne bierze znowu miejsce tej literatury „przystojnej“ i moralnej. I z tego ducha libertyńskiego, który wywołał zepsucie ideału klasycznego, wynika cała literatura filozoficzno-rewolucyjna wieku XVIII. Romantyzm przywraca prawa uczuciowości i regulującemu zmysłowi estetycznemu, naturalizm stanowi brutalną reakcyę fizycznej części ludzkiej natury, a symbolizm znowu oddaje berło ideałowi.

„Manuel“ uważa Brunetièrę za program i ekspozycyę swoich poglądów, które przeprowadzone być miały w zamierzonym pięciotomowym dziele o literaturze epoki klasycznej. Wyszedł tylko tom wstępny; do uzasadnienia wyższości ideału klasycznego, którego tak skwapliwie szukamy, nie przyszło. A istotnie, w całym szeregu dzieł i rozpraw Brunetièrę'a, które tu omawiam, — a nie pominąłem niczego, coby się ważniejszem wydawać mogło — ani po za niemi, nie można znaleźć dostatecznego oparcia dla przeciwnienia się zdaniu krytyków francuskich ¹⁾, że proklamowanie wyższości literatury klasycznej jest podniesieniem do godności zasad i praw — upodobań krytyka. Nawet jego przyjaciel w przekonaniach, Emil Faguet — obaj się schodzą w uznaniu moralnego celu sztuki, — określając charakter krytyki Brunetièrę'a, tak mówi, zresztą dość niekonsekwentnie: „En face d'une oeuvre il se demandait

1) Głównie Renard, także Lemaitre w cyt. książkach.

non si elle lui plaisait, ce qui n'a rien de scientifique, mais d'abord si elle était approuvée par cette partie de lui-même qui était faite de reflexion et qui avait été comme modelée par les grands artistes des temps passés.“ Nie da się zaś zaprzeczyć, że najszczytniejszym typem krytyki jest ta, która stoi ponad epokami i ponad artystami czasów dawnych, zarówno jak i dni dzisiejszych.

Many natomiast w I tomie „Littérature classique,“ cenny zarys porównawczej historii renesansu, który definiuje jako wpływ literacki i artystyczny pewnego stylu włoskiego, co przeszedłszy granicę macierzystego kraju, przybrał bardzo odmienne cechy międzynarodalne, zanim znowu zlokalizował się w poszczególnych cywilizacjach narodowych. Tutaj okazuje się jeszcze raz szerokość umysłu Brunetièrè'a, który pod koniec życia przeszedł do studjum literatury porównawczej i byłby w niem wiele dokonał, tego przynajmniej spodziewać się każe jego konferencya wygłoszona 1900 r. na kongresie historii porównawczej w Paryżu, w której znakomicie ustalił zakres, zadania i metodę tej nauki przeszłości.

*

Nie można ukryć wady, która zwłaszcza wybitnie w ostatnio omówionej książce rzuca się w oczy. U Brunetièrè'a naprzód idzie w badaniu systemat, doktryna, naprzód pogląd na jakąś kwestyę, sąd, potem jego rozwinięcie i rzecz skończona. Poparcie też dowodami, faktami Brunetièrè uważa za rzecz błahą; rzadko tylko mimochodem rzuci kilka argumentów. Metody naukowej, która każe postępować od szczegółów do uogólnień i wniosków, krytyk z „Revue des deux mondes“ w tej książce nie przestrzega. W każdym razie pracę taką pozostawia po za książkami, w których daje same tylko rezultaty dojrzałego przemyślenia; mnogość cytatów dowodzi erudycji, każe przypuszczać mozolne przebrnięcie przez literaturę przedmiotu. Jednak o metodzie w tej właśnie pracy przygotowawczej, o jej ścisłości nic nam nie mówi. I właśnie z powodu tego sposobu postępowania Brunetièrè'a, tezy jego zbyt często usuwają się z pod traktowania krytycznego, któreby wymagało przebrania olbrzymiego materiału argumentów pro i contra, które ścisły badacz też jego samby musiał stawiać i zbijać; przemawiają tylko powagą, nowością i siłą.

Wszystko to wynika z zamiłowania do idei uogólniających i z żywej pogardy, jaką żywił dla erudycyi pedantycznej. „Toute cette érudition que nous rassemblons laborieusement n'est toujours qu'un moyen, jamais une fin.“ „Ce sont les idées générales qui font avancer la pensée.“ „L'étonnement qu'elles provoquent, l'opposition qu'elles soulèvent, les contradictions qu'elles suggèrent, les recherches enfin dont elles deviennent ainsi l'occasion ou le point de départ, c'est ce qui entretient autour des grands problèmes cette agitation des esprits, qui est, pour ainsi dire, la première condition de la découverte et du progrès. Les exclure de la science, c'est en ôter le levain même.“¹⁾ W tej swojej tendencji do szerokich horyzontów Brunetière nie ograniczał się do badania jednej literatury, znał dobrze włoską, angielską, rosyjską, a nawet — co rzadkością u Francuzów — niemiecką.

Od opracowywania specjalnych kwestyj naukowych wznosił się syntetyczny jego umysł jeszcze wyżej, do szczytowych zagadnień bytu, do śmiałych pytań o celowość wiedzy. Właśnie w te regiony myśli prowadzi nas broszura *La science et la religion*, rzecz, która drukowana poprzednio w „Revue des deux mondes“, wywołała dwanaście lat temu zawziętą polemikę. Brunetière wywodzi, że nauka, jeżeli dąży do wszechwładztwa nad ludzkimi umysłami powinna odpowiedzieć na trzy zasadnicze pytania: co to jest człowiek, jaki jego początek i jaki jego cel. Jaki jest wogóle początek i jakie przeznaczenie świata, co to jest i poco istnienie ludzkie? Na pytanie to odpowiada religia w sposób nadprzyrodzony. Encyklopedyści, ojcowie nauki XIX w. przedsięwzięli wiarę w dogmata zastąpić racjonalną wiedzą. Czy jednak dotrzymała zobowiązania którakolwiek z umiejętności: historia czy doszła do praw ogólnych rządzących ludzkością, któreby zastąpiły t. zw. „działanie Opatrzności“, nauki przyrodnicze czy wykryły początek rodzaju ludzkiego, lingwistyka czy wie jak powstała mowa? Czy filozofia potrafi dać równie niezachwianą podstawę wierzeniom ludzkim, jak religia? Skonstatowawszy, że tak nie jest, autor dochodzi do konkluzyi, że wiedza zbankrutowała (hasło „banqueroute de la science“) i że trzeba szukać napowrót kompromisu z religią, któryby tak się przedstawiał, że wiedza zajęłaby się tylko temi kwestyami, które pod przyrodzoną zdolność poznania podpadają. Nie będziemy się zastanawiali dalej nad tem, czy i jak da się pociągnąć granica pomiędzy rzeczami, dającymi

¹⁾ Év. des genres p. 201.

się poznać a temi, które już w założeniu trzebaby przyjąć za dane objawieniem o czem Brunetière nie mówi—nie będziemy roztrząsali wogóle treści dalszych wywodów, które jużby raczej do apologetyki należały. Zawsze pozostanie pewnem, że bankructwa wiedzy nie dowiedzie jedna książka i że nie potrafi wyrwać całym zastępom badaczów zamiłowania do nauki głos jednego uczonogo, który zresztą i sam nie zaprzestał badania naukowego, choć w jego potrzebę silnie zwątpił. Mimo to broszura ta posiada znaczenie niepoślednie już przez to, że piekącą kwestyę tę porusza, a przede wszystkim dlatego, że jest donośnym głosem przypomnienia zasadniczych celów umiejętności, które pracownik mieć winien przed oczami.

Swoich zamiarów pogodzenia wiedzy z wiarą nie zaniechał i po zaciętej owej polemice, owszem zszedł na specjalniejsze pole. Próbował mianowicie „zrujnować“—jak się wyrażał—filozofię Darwina i Haeckla, a może nie tyle zniszczyć ją, bo przecież sam był najgorliwszym wyznawcą teorii ewolucyjnej — ile oprzeć na fundamencie religijnym, „oświecić światłem innym zupełnie od pochodni wiedzy,“ „sprowadzić jej pouczenia do wskazówek wiecznej moralności,“ usunąć sprzeczności, które zachodzą w mniemaniu tamtych filozofów między objawieniem a wiedzą, opartą na podstawach descendencji. W książce „De la moralité de la doctrine évolutive,“ odmawiając w ogóle wiedzy prawa do wchodzenia w dziedzinę „moralności i metafizyki,“ sprowadza teorię z wyżyn światopoglądu do znaczenia prostej hipotezy, a nawet uważa ją tylko za metodę, mającą na celu dokonanie klasyfikacji i skupienia faktów podległych danej umiejętności, „moyen de faire clarté.“ Doktryna odnowiła tylko oblicze wiedzy—tak samo jak ongiś zrobiła to metoda porównawcza—nic więcej.

Obok tej wybitnej tendencji do syntezy krytyka Brunetière a odznacza się bezpośredniością zetknięcia z dziełami literackimi, które omawia, przymiot niezmiernie cenny, wzniecający dla nich zajęcie równe prawie dziełom, o których są pisane. Możliwe jest to dlatego, że nie obcuje on z dziełami za przewodem komentarzy, ale wprost przez wzniesienie się w wyżyny twórczości i przez przejście się tętniącemi jeszcze dla niego świeżem tchnieniem wielkimi ideami twórców. O tej jego umiejętności wczuwania się w pracę pisarza, świadczy pomiędzy innymi zdolność chwywania na gorącym rozmaitych „procédés.“¹⁾ Brunetière owi

¹⁾ Por. charakterystyczny ustęp o Daudecie przy pracy: Roman natur. str. 81.

nie wydaje się w dziele nic nieświadomem, wszystko opanowuje z pomocą swej przenikliwości i dokładnej znajomości środków artystycznych. Trzeba podziwiać tę zdolność wniknięcia w utwory klasyków; nie go tam nie zraża zapachem starzyzny, bo Brunetière swoim umysłem jest obecny wszędzie, nie tylko z rozkoszą poznaje wszystko, ale wżywa się jakby w metempsychozie w dusze z przed trzech wieków. Można nawet o nim powiedzieć, że lepiej się czuje pośród klasyków, niż wśród współczesnych. I dlatego nie daje się zauważyć u Brunetière'a to charakterystyczne zaczerpnięcie oddechu u historyków literatury, gdy przechodzą do czasów nowych, do dzieł, w których widzą cząstkę swoich myśli, które odczuwają i rozumieją na podstawie ich związku z życiem. Brunetière swobodniejszym się nawet czuje w wieku klasycznym, bo tam już nie może się dopatrzeć małości, któreby mu mąciły obraz wielkich namiętności i wielkich wysiłków woli, wiadomości biograficznych, któreby mu zasłaniały energiczne zarzysy obrazu.

I dlatego właśnie, że Brunetière tak lubi i umie stawać się człowiekiem różnych epok, w chwili, gdy ocenia dzieło, występuje u niego, obok kryterium czysto estetycznego, drugi wzgląd oceny. Zapytuje, czy dane dzieło jest szczerym i żywym obrazem obyczajów epoki; ta siła z jaką nas niektóre dzieła porywają w odmienne społeczeństwa, w zakresy nie naszych pojęć; barwność pędzla, z jaką nam stawiają przed oczy sceny dawno minione, zachwyca go również. Tak np. dzieła Marivaux'a, o których piękności klasycznej nie wiele może powiedzieć, ceni dla tego, że są wiernym potretem.¹⁾ Trzeba jednak podkreślić, że mimo całą zdolność wchodzenia w dzieła i autorów, Brunetière dalekim jest od wszelkiej wrażliwości; przeciw impresyonizmowi w krytyce wypowiadał się nieraz²⁾.

Pisma jego otwierają przed nami szerokie, bardzo szerokie widnokreśli, ukazują zamiary dokonania w nauce rzeczy nowych; choć główny plód myśli jego życia: teoria ewolucyjna, przywodzi nam na pamięć smutne refleksje o rozdźwięku między słowem a czynem, głównie z powodu wybitnego braku metody w pracy, co też sprawia, że do zasobu naszych środków dociekania naukowego nic Brunetière nie dorzucił takiego, co by stać mogło w pracowni obok narzędzi takich, jakie nam w ręce dali Villemain lub Taine. Dominujące jego znaczenie dla teorii literatury, dla metodyki jest minimalne.

¹⁾ Str. 218 i nast. „Roman natur.“

²⁾ Por. „Litterature contemporaine.“

Do ogarnięcia całości dzieła Brunetièrè'a jeszcze daleko, prawie niema jednej kwestyi literackiej, jemu współczesnej, którejby nie poruszył, a wszędzie starał się wpłynąć na bieg prądu, stwierdzając własnym przykładem wyrzeczone słowa, że krytyka we Francyi jest duszą literatury. Niema też wybitnego autora w całym ciągu piśmiennictwa, któremoby nie poświęcił jakiego studyum. Wszędzie tam znajdują się pęki myśli płodnych—nie rozwiązujemy ich tylko z obawy, aby się nie zatarty kontury postaci wielkiego krytyka.

BOLESŁAW ORŁOWSKI.



chłopskim eposie Konopnickiej.

„Zachód w puszczy,” to obszerne studyum malarskie. Namażawszy w pierwszej strofie niebo żagwią barwną („w szerokich liniach paliła się zorza“), oznacza poetka stanowisko widzów-bohaterów, do ściany leśnej odwróconych plecami („za nami puszczy głębokie bezdroża“), wpatrzonych w ściemniały krąg przestrzeni („wskróś sinego ginący obłoku“).

Chwilę stał naród, bo wszystkim się zdało,
Że jakieś głosy biją ku nam z borów.
Więc ten, to owy obróci się mało,
Zalśnie od onych jarzących kolorów,
Którymi nízkie słońce pnie dierzgało
Piniów, bananów, palmów, sykomorów,
Czyniąc z nich przez swą sprawę i robotę,
Na czarnej harfie puszczy—struny złote.¹⁾

Nacisk przykrego dla ócz światła i szmer, z puszczy wabiący—oto, co kazało chłopu odwrócić głowę. Podmiotowe zabarwienie tego światła i szmeru („one jarzące kolory“—„jakieś głosy biją“) działa w obrazie silnie. Kanwa lasu, obrzuconego tu i tam lśniącą nicią słońca („nízkie słońce pnie dierzgało“) pozwala wyróżnić wydarte z ogólnej ciemności linie pojedynczych drzew („piniów, bananów, palmów, sykomorów“). Głęboko zwarte porównanie puszczy do harfy, pni, słońcem złożonych, do strun, zamyka część obrazu czysto malarską. Strofa czwarta zlewa wrażenia wzrokowe ze słuchowemi.

¹⁾ B. W. 1900. IV, str. 57 et sq.

A choć tam wkoło cichość była głucha,
 Wyrażniem słyssał, jak na struny one
 Kładą się ręce wichrowego ducha,
 Co ma złociste szaty i czerwone.
 Trącił i oto pieśń puszczy wybucha
 W jakąś strzelistych głosów antyfonę.
 Drzewa dostają skrzydeł, chwieją pióry
 I stoją w ogniach, jak Serafów chóry.¹⁾

Wiatr zamienia się w pysznej personifikacji we widmo („ręce wichrowego ducha“), które z kolorów słońca wysnuło swą odzież („co ma złociste szaty i czerwone“) i uderza w ostrunione drzewa. Eufonię drzew, których kształty rozmaite tłómaczą się rozmaitymi głosami, uwydatnia obraz pod dyrektywą muzyczną składany. Żeby podkreślić lotność wichru, daje poetka drzewom skrzydła („drzewa dostają skrzydeł“), żeby umotywować ciągłość brzmień, wprawia ten lotny aparat w ruch („chwieją pióry“), żeby wreszcie logicznie ugruntować wartość muzyki, ucieka się do nowej personifikacji, tym razem unyślnie przejętej ze sfery religijnej („jak Serafów chóry“). Nawiasowa informacja, dotycząca rozszerzania się światła wśród drzew („stoją w ogniu“), posuwa zreżcznie dalej proces samego zachodu.

Z piątej, przeładowanej refleksyą, strofy, wydobywają się błado, bo bez epitetów, dwa porównania, tajemniczość puszczy mające ilustrować: („tak się rozwarła... jako skarbcza wieko“), („tak kusiła... jak dziwożona“).

Szczęśliwszy natomiast po malarsku szczegół zawiera strofa następna, wznawiająca akcyę uciętą.

...Wziął przygarść ziemi, co pod zorze owe
 Tak czerwieniła, jakby ruda miedzi,
 I pierś zakłęśłą wzdąwszy, by dech złapać,
 Ścisnął. Przez palce krew zdała się kapać²⁾.

Oto ziemia pod działaniem ostatnich promieni słonecznych obleka się kolorem czerwonym („tak czerwieniła, jakby ruda miedzi“), a garść jej, w rękę chwycona, dochodzi do tonu jeszcze ciemniejszego („przez palce krew zdała się kapać“).

Wyraźne stopniowanie kolorystyczne ukazuje zachód w trzech stadyach: w monotonii *złota* („złote struny“), w pomieszaniu *złota*

1) Ibid.

2) Ibid.

i *czerwieni* („sząty złote i czerwone“), wreszcie w zwycięskiej przewadze *czerwieni* („czerwieniła, jakby ruda miedzi“).

Zywiół fantastyczny z figur poetyckich (wichrowy duch — dziwożona — serafy — skarbiec — harfa — gromnica“) przeszedł w sam obraz nasiąkły w każdym calu subiektywną przyprawą.

„Zachód w stepie“ to tylko tło ciemne i obszerne („w szerokich krwawicach“) wśród którego Balcer maluje wzlot ptaków o złotych piórach. Natężenie światła, słabnące z każdą chwilą, oddaje poetka subtelnym zwrotem („na ostatniej mdlejących łun krasie“). Niemniej charakterystyczny jest moment zlewania się ledwie już widzialnych gromad ptasich z tłem nieba („wsiąknie w zorzę“). Kończy obraz przeciwstawienie mroku zapadającego i rozświetlanego zwolna stepu („Im zmierzch głębszy, zaczyna jaśniej płonąć stepu morze“). Podwójne porównanie światła stepowych do „srebrnych blaszek na krakowskim pasie“ i „świeczek w żydowskiej komorze,“ zwłaszcza wśród przestrzeni, ciemnością podszytej, to tryumf malarstwa i poezji razem. Tryumf, który ukazuje po za sobą oczy chłopa, zdumieniem rozwarłe i z niedowierzaniem chłonące nowe obrazy.

„Zachód w górach“—związły ale potężny, ponurym układem przyniata widza.

A w tem jak zajrzeć przed nami tu staną
 Skaliska czubem utopione w niebie,
 Nieprzesiężoną, a tak bystrą ścianą,
 Że ani krokiem nie dawa do siebie.
 Patrzą — turnicą, piorunem skrzęsana,
 Cień leżącego orla się kolebie...
 A wyżej słońce czerwone się toczy.
 A jeszcze wyżej śmierć. Zamknąłem oczy ¹⁾.

Powierzchnia nieba zwięziona odrzyna się wyraźnie od skalistego obwodu szczytów („czubem utopione w niebie“). Odległość nieba mierzy ptak, umyślnie zamazany w locie („cień leżącego orła“). Dźwignięte energicznym zwrotem („a wyżej“) słońce ogrom swój wpija w oczy barwą, ściśle podaną („czerwone“), co wobec mglistego konturu niżej umieszczonego ptaka tem potężniej działa. Zwrot końcowy, który ponad słońce wznosi oko widza („a jeszcze wyżej śmierć“), nieświadomie z duszy opisującego wypadły, musiał wywołać zwarcie powiek („zamknąłem oczy“). Mo-

¹⁾ B. W. 1900, IV, str. 343.

tyw psychologicznie jasny, ze stanowiska malarskiego zręczny, bo chroni przed opisywaniem tego, co nie ma konkretnych wymiarów, a nadto zgodnie ze znanem prawem wzrokowym powtarza pod zaciśniętymi powiekami obraz dopiero co oglądany.

Rozsiane w poemacie gęsto obrazy „nocy“ odznaczają się na ogół większą ekspresją realistyczną. Jedne z nich ciemne, rzadsze i krótsze, napełniają strachem człowieka. Inne świetlne, częste i ściślej opracowane, otuchą sycą bohaterów.

Z pierwszych wyliczyć należy „noc na morzu“ ¹⁾ szybko zapadłą („zciemniały nagle wody“), osnuwającą wody nieprzepuszczalną tkaniną mroku („mroki duże... rozwlokły się, jak chusta“) i przeniesioną konsekwentnie w sferę dźwięków („chlusta się — „uderzy o toki okrętu“ — „warknie“), które ilustrują ruchy morza, silnie personifikowanego („unosi się w chmurze“ — „rude“ — „jak zły pies“ — „kły wyszczerzy“).

Niemniej ciekawa „noc w boru“ ²⁾ ócz nie puszcza w głąb masy drzewnej („knieje nie jawią się do dna“), potrzask stu głosów zastawia na ucho („słysz! coś się czai... — słysz! cości się śmieje!“) i wprawnie rozstawionymi domyślnikami („gardziel ryknie“ — „paszcz ziewnie głodna“ — „śmierć z trzaskiem rozwarła wierzeje“) potęguje okropne wrażenie.

Wśród obrazów świetlnych podnieść trzeba „noc w boru“ ³⁾. Pozbawiona dźwięku knieja („co stała cicha“) nasycy się nagle bujnym światłem („blasków ulewa sączyć się jeła strumieniami“). Źródłem światła jest wysoko nad obrazem wzniesiony księżyc („rozwidniona żrenica miesiąca“). Srebrny kolor nocy kojarzy się silnie z tęsknotą, jaka serca chłopskie nastraja.

Inaczej przedstawia się „noc w stepie.“

A już nad one rozłogi stepowe
Czerwony księżyc, jakoby latarnia
Pożarna, wznosił swą ognistą głowę.
Zaczem wlatuje wyżej, mrok rozgarnia,
Jaśnieje, draży niebieską posowę,
Jak kula, którą uleje puzkarnia,
Z szczerego złota, aż coraz się mniejszy,
Coraz świetlitszy czyni i srebrniejszy ⁴⁾.

1) B. W. 1892, III, str. 473.

2) „ „ 1897, IV, „ 301.

3) „ „ 1897, IV, „ 303.

4) „ „ 1900, IV, „ 337.

Rozmiary księżycy, uwydatnione ostrem porównaniem („księżyc, jakoby latarnia pożarna“) nadają obrazowi potencję grozy. Stopniowe przemiany, jakim księżyc ulega, z przedmiotową dokładnością uwidocznione („wznosił głowę“ — „wzlatuje wyżej“ — „coraz się mniejszy czyni“) zalecają się doskonałą obserwacją. Stosunek księżycy do ziemi („mrok rozgarnia“) i do nieba („draży niebieską posowę, jak kula, którą uleje puszkarnia“) odbiera mu znaczenie martwego, sztucznie przyklepionego do tarczy niebieskiej, a wzniesionego nad płaszczyznę ziemską ornamentu. Ewolucya barw („czerwony księżyc“ — „z szczerego złota“ — „coraz srebrniejszy“), podobnie jak odwrotna proporcya między natężeniem światła a wzrostem powierzchni („coraz mniejszy — coraz świetlistszy“) godne są pędzla pierwszorzędnego kolorysty.

Nastrój akcyi panuje i nad całą resztą zjawisk atmosferycznych. Bójce między chłopstwem a załogą odpowiada „burza morską,“ rozerwana niezbyt szczęśliwie w połowie obrazu wspomnieniem burz polskich, stojąca dzięki potężnym figurom poetyckim, które trą się w ciągłych assocyacyach o życie polskie, tuż koło wzoru mickiewiczowskiego, więc ponad wszelkim rozbiorem ¹⁾. Chłopów ze schroniska emigranckiego wypuszcza „burza borowa,“ zepsuta przenośniami, monotownie i sztucznie koło jednego obrazu — bitwy — zgrupowanemi ²⁾. Mroczne usposobienie chłopów karczujących ilustruje „słota“ — ciekawa jako wytwór poetyckiego malarstwa. Ze śmiercią wisielca łączy się „wichura,“ bez udziału pędzla i oka odtwarzana, wspaniała, jako całość muzyczna ³⁾. Melodramatowi Szczęśniakowej odpowiadają „krwawe obłoki“ na niebie, wzmiankowane tylko, co prawda ⁴⁾. Chorobliwym nadziejom chłopów, w mistyce uwięzłych, czynią zadość „widzenia na niebie“ („okrętu, Chrystusa, Jasieńka, wojska“) ⁵⁾.

Chcąc wykreślić linie zależności literackich „Balcera,“ nie trzeba sięgać zbyt daleko. Epika nasza zna dwa kierunki, o dokument genialnych dzieł oparte, mieszczące w sobie syntezę poezyi polskiej. Jeden dośrodkowy, o pierwiatkach plastycznych, po helleńsku zwarty, pełen tęgiech, soczystych inspiracyj, rozmiłowany w średniej, zdrowej skali życia narodowego. Drugi odśrodko-

¹⁾ B. W. 1892, III, str. 503—7.

²⁾ „ „ 1897, IV, „ 102—4.

³⁾ „ „ 1897, IV, „ 440.

⁴⁾ „ „ 1892, IV, „ 447, 450.

⁵⁾ „ „ 1901, III, „ 533.

wy, muzyką nabrany, raz z prostracyi, raz z napięcia nerwów tryskający, po indyjsku roztopiony w mistyce, zajęty fenomenami chorobliwymi, wyrostłymi po nad szablon obserwacyi. Pozorna rozbieżność obu kierunków, które przecież zesumowane dają organiczną całość, wskazuje pióro współczesnego krytyka. „Zwyczaj i obyczaj narodowy, mieniący się wszystkimi blaskami uczuć przyrodzonych i przyrody uczuciowej, sielskiej, spoczął w majestacie niespożytych piękności Pana Tadeusza. Historyczność legendarna, przetkana wszystkimi czarami fantazyi gminnej, roztoczyła cały swój przepych w Królu Duchu¹⁾. Ten trochę ciasny, dociągnięty do rozmiarów jednej rubryki, sąd, ważny jest przecież jako rozwinięcie krytycznych przesłanek Krasińskiego, którego konkluzya, retoryką zabarwiona, trafiała przed sześćdziesięciolety w samo sedno problemu, we właściwe łożyska wlewając różnoimienne prądy twórczości Mickiewicza i Słowackiego. Prądy te wcześniej czy później musiały wytworzyć sferę przyciągania, której ulegał w miarę potrzeb temperamentu nawet najodporniejszy epigon. Rzecz prosta nie w tem znaczeniu, żeby dało się dziś wskazać utwór bezwzględnie zależny od wzoru i wyznaczyć w nim ściśle pozycyę zależności. Przecież historia naszych poetów, stale czy przygodnie zaprzątniętych epiką, wykazuje ustawiczne, najczęściej nierozumne nawet powinowactwa z jednym lub drugim wzorem — w zestosunkowaniu władz twórczych czy technice, w nastroju czy obrazowaniu, w tematach czy stylu.

Nie będę kwestyi ujmował w pęta chronologii, ani podsuwał pod nią tabeli z bibliograficznymi wyciągami, bo to rzecz przyszęłego historyka polskiego romantyzmu. Notuję tylko, że wśród naszych utworów o mniej czy więcej wyraźnym stemplu epickim niepodobna nie dostrzedz dwóch składowych, odmiennych, choć czasem nakrywających się nawzajem.

Poł i Kondratowicz, Wolski i Romanowski, Zieliński i Wysocki, Wierzbicki i Komorowski z jednej strony, a z drugiej Olizarowski i Zmorski, Berwiński i Sowiński, Deotyma i Dzieduszycki, Buława i Aspis — oto nazwiska, same układające się w wymowną regułę.

W Konopnickiej grunt pod dopiero co wskazane wpływy przygotowywała ewolucya dotychczasowej jej twórczości. Słowacki działał na nią bezpośrednio od pierwszych poruszeń piórem,

¹⁾ Ateneum. 1900. Kazimierz Włostowski: „Poezya polska o świecie XX-go stulecia.“

w wiersz oryginalny wsnuwając jaskrawe reminiscencye z poematów: „W Szwajcaryi,“ „Beniowskiego“ i „Testamentu.“ Mickiewiczowską poezycę brała w piersi haust po hauście w latach późniejszych, serdecznymi komentarzami, przypisami czulej a rozumnej duszy zdobiąc genialne karty „Wallenroda,“ „Dziadów,“ „Tadeusza.“ Kiedy wreszcie odważyła się na epickie przedsięwzięcie, nieunikniony był kontakt z obu mistrzami: i Mickiewiczem i Słowackim.

Pierwszy zostawił w końcowej księdze swojej epopei lud, klasycznie sztywny mimo teatralnych wiwatów, jakie wznosi, pod świeżą hypnozą uwłaszczenia stojący ¹⁾. Ale lud w „Panu Tadeuszu“ jest tylko epizodem. Mowa o nim, to emancypacyjne hasło, rzucone przeciw szlacheckiemu centrum poematu. Sześćdziesięcioletni obrót wypadków posunął ewolucycę sprawy ludowej naprzód. Konopnicka, chłopą obierając bohaterem swojego eposu, odejmuje klasyczny hamulec rydwanowi, w którym toczy się natchnienie. Ona uwłaszcza nie ciała, ale dusze, hypnozę chwilową zdejmując z nich, w naturalnym trybie rozwijając ich życie.

A przecież podobieństw tyle nastęrcza przegład obu poematów!

Zaczyna się snuć nić tych podobieństw od samej dyspozycji, nad pierwszą pieśnią położonej. Bliska jest mickiewiczowskiego wzoru forma tej dyspozycji bezpretensjonalna („Przytuła poskramia łyczka“ — „Występ Magiera“ — „Rekin“), pół żartobliwa („O dwóch sennikach: prawym i fałszywym“ — „Święty Wincenty czy Święta Helena?“), pozornie patetyczna i przez to właśnie komizmem zaprawna („Horodziej o żywiołach naucza“ — „Knowania Opacza i rebelia Zatraty“), często zbliżona żywością stylistyczną do odpowiedniego ustępu treści („Ziemia!“ — „Marsz!“ ²⁾).

I podobieństwo zachodzi głębiej! Nostalgia, która, gniotąc poetę, ze wspomnień wydmuchała poetyczny świat szlachecki w Panu Tadeuszu ³⁾, przeniesiona z poety na bohaterów, daje w Panu Balcerze klucz do pełnego zrozumienia dusz chłopskich.

¹⁾ „Pan Tadeusz.“ (Poezye A. Mickiewicza. III. Wydanie Chmielowskiego. Warszawa, 188.) str. 336—7.

²⁾ P. T., str. 7, 40, 69, 97, 132, 164, 185, 204, 232. 259, 316, 349.

³⁾ cf. Brückner: „Dzieje literatury polskiej,“ II, str. 107. cf. Kallenbach: „A Mickiewicz,“ II, str. 128. cf. Gostomski: „Arcydzieło poezji polskiej — Pan Tadeusz,“ str. 46—7. cf. Biegeleisen: „Pan Tadeusz“ str. VIII, XI, XXVII, XXXIV.

O utęsknienie, o ty duszny głodzie,
Którego cudzym nie utłumisz chlebem! ¹⁾

W eposie Konopnickiej tęsknią wszyscy: bohater główny, i postacie drugoplanowe, i tłum chłopski cały. Balcer, wsiadając na okręt, ma w oczach łzy ²⁾. Zaraz w pierwszą noc śni mu się kuznia ³⁾. Wół okrętowy wiąże jego pamięć z Podolem ⁴⁾. Po wyładowaniu rozumuje, że miejsca rodzinnego nie godzi się rzucać ⁵⁾. W czasie febry tęskni za ojczystym pogrzebem ⁶⁾. Wobec piękna puszczy myśli o podlaskich niwach ⁷⁾. W stepie wspomina cudowne noce polskie ⁸⁾. Sierotę z Radzyna uczy tęsknić do kraju ⁹⁾. Nie wliczan tu, rozumie się, co strofa rzucanych porównań, zestawień, paralelizmów, wzmianek, natrąceń bliższych i dalszych, zawsze i wszędzie zaczepiających o kraj.

A za Balcerem w ślad idą inni. Ostańczuk buduje chatę według ojczystego modelu ¹⁰⁾, Horodziej chce budować według niego wieś ¹¹⁾. Koźbiał nie odżałuje nigdy gleby mazurskiej ¹²⁾, Hnat ługu ukraińskiego ¹³⁾. Lisowi uśmiecha się wspomnienie paszy wioskowej ¹⁴⁾, Zagajnemu — wspomnienie lasu ¹⁵⁾. Celem westchnień Dudka jest porzucona Wólka ¹⁶⁾, Bugajową do westchnień pobudza myśl o sprzedanej Kwiatosze ¹⁷⁾. Przytułą tęsknota skazuje na śmierć ¹⁸⁾, Dudkową nowem natchnie życiem ¹⁹⁾. Kos od mili do mili będzie szedł według marsza tęsknoty, którego ma

-
- 1) B. W. 1900, VI, str. 151.
 2) " " 1892, III, " 469.
 3) Ibid. 475.
 4) B. W. 1892, IV, str. 456—7.
 5) " " 1897, IV, " 83.
 6) " " 1897, IV, " 97—8.
 7) " " 1897, IV, " 297.
 8) " " 1900, VI, " 164.
 9) " " 1900, VI, " 172.
 10) " " 1897, IV, " 310—11.
 11) " " 1897, IV, " 303—4.
 12) " " 1897, IV, " 302.
 13) " " 1897, IV, " 302.
 14) " " 1900, VI, " 164.
 15) " " 1897, IV, " 434.
 16) " " 1897, IV, " 312.
 17) " " 1900, VI, " 165.
 18) " " 1897, IV, " 309—10.
 19) " " 1900, VI, " 347—50.

uszy pełne ¹⁾, Zatrata bić się każe, kiedy po drodze zwątpi w świętość celu ²⁾.

Wszyscy wreszcie snią o ziemi po nocach na okręcie ³⁾, myślą o niej przy ognisku w puszczy ⁴⁾, umierając, w jej stronę wypuszczają ducha ⁵⁾, żyjąc, natężają w sobie co sił wiarę w powrót do niej ⁶⁾. Ci, którzy stracili ojczyznę, dowiadują się, ile ją trzeba cenić!

Tęsknota Mickiewicza za krajem związała go i z ludźmi, w kraju pozostawionymi, ciepło lejąc w każdą postać, przez niego nie opisywaną, ale raczej odczuwaną prądem sympatii plemiennej, tej, którą w dzieciństwie wspólny dach nad głową wytwarza ⁷⁾. W eposie Konopnickiej, w formę opowiadania ujętym, temperatura uczuciowa podnosi się jeszcze wyżej, bo opowiadającego i tych, o których opowiada, łączy stosunek swojaków, rozdzielonych miedzą, krwią zlanych.

Ktoby mi dał to, iżbym tę gromadę
Mógł wymalować ku ludzkiej pamięci!
— Idą... Dech świszczy... Zczerniałe i blade
Twarze... Pod węzełkami idą zgięci,
Stopy ich broczą krwią... Tu więc ja kładę
Ręce na onych krwawników pieczęci,
Żeby nabrała koloru tej męki,
Choć wiem, że nigdy już nie zmyję ręki ⁸⁾.

Oto i tajemnica tego interesu ze strun plemiennej wspólności wydobytego, który od pierwszej strofy udziela się czytelnikowi, a w miarę rozwoju akcji coraz silniej spokrewnia go z każdą z występujących osób. Niewiele warci są moralnie Magiery, Żdźarscy i Zagajni, Czopy, Przytuły i Opacze. Poetka nie dekorowała ich namiętności, nie idealizowała głupoty. Odlani realną miarą, stoją w poemacie prawdziwi, choć prawda każe nieraz pokazać instynkt nieczysty, czyn mętny. Przecież uzdrawiające światło miłości musiało zrobić swoje. Pyszałek, pieniacz czy

¹⁾ B. W. 1897, IV, str. 446.

²⁾ „ „ 1900, VI, „ 349.

³⁾ „ „ 1892, III, „ 474—5.

⁴⁾ „ „ 1897, IV, „ 304.

⁵⁾ „ „ 1900, VI, „ 346—7.

⁶⁾ „ „ 1897, IV, „ 307—8.

⁷⁾ cf. Kallenbach: „Adam Mickiewicz,“ II, str. 141.

⁸⁾ B. W. 1901, III, str. 551.

łgarz, intrygant, lekkoduch czy nawet oszust - wypięknieli w niem, potracili znamiona brzydoty moralnej.

Środkiem, łagodzącym przywary był podobnie, jak u Mickiewicza, humor ¹⁾. Głęboko w strunie wiersza utajony, ile razy ta struna silniej drgnęła bólem, odzywa się jak pogłos, uspokajając czytelnika, do równowagi doprowadzając wywichniętego chwilo-wo aojda.

Opacz cygaro ćmił, ujęty w boki
 „Cóż tam za morze!“ mówił i pluł ślinę —
 „Niech mi położy kto ze dwa sroki
 Rubli, to het je, precz w poprzek przepłyń!“
 — „Dla Boga!“ — wrzasną baby, gdyby sroki —
 „Przez tyłą wodę? Przez tyłą głębinę?“
 A on: „Nie takie ja widział w Odesie.“
 A baby: „Reta!“ — A on: „Nie bójcie się!“ ²⁾

Żądła moralizatorskiego pozbawiony, nie szkodzi humor Konopnickiej ludziom ani rzeczom. Naiwne wyobrażenie i krotoczwilna sytuacja — oto materyał, jakim operuje poetka, żeby tem bliżej zbratać się ze swoim bohaterem i jego życiowymi interesami.

Częściej bywa jej humor ekstraktem wyobrażeń, jakie wyległy się w ciemnych głowach (geografia Brazyli ³⁾) — historia Sennika Egipskiego ⁴⁾ — znaczenie równika ⁵⁾ — słonina, jako źródło zrzeczności majtka ⁶⁾ — katolicyzm królowej angielskiej ⁷⁾ — żale nad flagą brazylską ⁸⁾ — chrzest okrętów ⁹⁾ — majestat ks. Balcerskiego ¹⁰⁾ — mleczna droga ¹¹⁾ — urodzaje amerykańskie ¹²⁾.

¹⁾ cf. Gostomski: „Arc. poez. pol. P. T.“ str. 213—229. cf. Biegeleisen: „Pan Tadeusz“ Mickiewicza, str. 104—9. cf. Kallenbach: „A. Mickiewicz,“ II, str. 159—162.

²⁾ B. W. 1892, III, str. 482.

³⁾ „ „ 1897, IV, „ 84.

⁴⁾ „ „ 1892, IV, „ 450—1.

⁵⁾ „ „ 1892, IV, „ 451—2.

⁶⁾ „ „ 1892, III, „ 479.

⁷⁾ „ „ 1892, IV, „ 465.

⁸⁾ „ „ 1892, IV, „ 462.

⁹⁾ „ „ 1892, III, „ 476.

¹⁰⁾ „ „ 1892, IV, „ 452.

¹¹⁾ „ „ 1892, IV, „ 452.

¹²⁾ „ „ 1892, III, „ 484.

Rzadziej wywiązuje się humor ze sytuacji, zrecznie wyreżyserowanej (babi napad na komisję¹⁾ — żółw mustrowany przez Łucia²⁾ — rada nad wyborem posła³⁾ — rozmowa na temat szlachectwa między Magierem a Żdzarskim⁴⁾ — Ostańczuk, brany za nieboszczyka⁵⁾ — baba, wobec ogólnych protestów nie dopuszczona do głosu w sprawie Niemców⁶⁾ — chłop, który dla braku miejsca nie może się powiesić⁷⁾.

Obok humoru, często w jego zakres wchodzące policzyć należy również na karb wpływu „P. Tadeusza” — gadki⁸⁾, które zasiewają strofy anegdotycznym żywiołem.

Bo tu na gadkę, jak kot na pierogi
Łakomy każdy z tej długiej tęsknicy⁹⁾

Łakomego karmi poetka, jak umie, co krok sypiąc historye różnej treści i różnej wartości, więc o „rybaku i rekinie,” o „głupich artylerzystach,” o „Świętym, co pięćdziesiąt lat patrzył naokoło siebie, myśląc, że patrzy minutę,” o „czterech żywiołach,” o „Żydzie, co sfałszował sennik i musiał stawać za to przed rabinem,” o „zaściankowej szlachcie łukowskiej, co, kiedy groch i pszenica nie obrodzi, nie ma wiechci do butów,” o „proroku, co usnął pod figowem drzewem,” o „zubrzu, co się przed Panem Bogiem schował w puszczy białowieskiej podczas potopu.“

Często wysnuwa poetka z tego żywiołu anegdotycznego głębsze refleksye, odlewane następnie w formie sentencji, na trzeźwym rozsądku opartej, po za płoty doświadczenia wiejskiego nie sięgającej. Oto przykłady:

Bo u nas naród, jak słomę zamieci:
Ogień o chwilę — i zaraz opada¹⁰⁾.

¹⁾ B. W. 1897, IV, str. 445.

²⁾ „ „ 1897, IV, „ 311.

³⁾ „ „ 1892, IV, „ 465—6.

⁴⁾ „ „ 1892, IV, „ 453—4.

⁵⁾ „ „ 1897, IV, „ 98—9.

⁶⁾ „ „ 1892, III, „ 484.

⁷⁾ „ „ 1892, III, „ 487—8.

⁸⁾ cf. Gostomski: „Arc. poez. pol. P. Tad.,” str. 136—7.

⁹⁾ B. W. 1892, III, str. 497.

¹⁰⁾ „ „ 1892, III, „ 484.

Albo:

Westchnął, a za nim insi. Chłop rad wzdycha
Tam, gdzie się drugi w milczeniu rozszerza ¹⁾.

Albo znowu:

Bo w czeku blisko od brzucha do ducha,
Taka w nim nizkość jest i żądza podła ²⁾.

Rzuca te refleksje bądź opowiadający bohater sam, bądź też którakolwiek z dalszorzędnych postaci w czasie rozmów, często gromadę łączących. Dyalog ³⁾, czynnik w epopei ważny, u Konopnickiej, za przykładem Mickiewicza, skrócony, więc dostosowany do ustroju nowożytnego człowieka, który odbiegł od monotonna wlokących akcję rozpraw homeryckich. Język ludowy, jakim bohaterowie przemawiają, różniczkowany prowincjonalnym zacięciem, u każdej partyi odmiennem, pozwolił na emancypację stylu w kierunku charakterystycznym. Konwencyonalnej, blaszanymi frazesami klasyków dzwoniącej, ścieg za ściegiem równomiernie odlewanej rozmowy nie spotka się. Rozmach słowa ma w sobie jeszcze krew, która go spowodowała, brzmi wewnętrznie melodyjnie duszy podnieconej, skrętnie, a prawdziwie oddaje stany, chwilą każdą ograniczone, brzydotę uczuć, kał myśli oblewając promieniem szczerości. Że taka rozmowa całego człowieka wydobywa z wiersza na wierzch, że zapala mu wzrok, nadaje rysy, w ruch wprawia ciało i duszę, rozkrywa bez pruderyi w jej najindywidualniejszym składzie, nie trzeba dowodzić. Próbkę stylu coraz odmiennego, zawsze opartego na układzie indywidualności mówcy, będą najlepszym dowodem.

HORODZIEJ: „A ja już słyszę pukanie to Boże,
Cichuchne, ano huczniejsze od gromu,
Toćże zaszczepki nie przywrę w komorze,
Gdy mnie Pan Jezus zawoła do promu...“ ⁴⁾

OPACZ: „...Ej głupi ty chłopie!
Chcesz, to się wieszaj! Wot tobie na szyję
Powróż... Taż mówią: Dla durnia konopie.

1) B. W. 1892, III, str. 485.

2) „ „ 1892, III, „ 488.

3) cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza,“ str 283 — 298. cf. Gostomski : „Arc. p. p. P. T.,“ str. 246—98.

4) B. W. 1900, VI, str. 352.

Co robić?... Świata — mówią — nie przeżyje,
A ziemi brat mój — mówią — nie przekopie
I nie przerobi — też mówią — roboty!
Tak, cóż?... Żal, co ty nie znał naszej floty!¹⁾

ZATRATA: „A rajce!... a zdrajce!...
To wy nas tutaj sprzedali w niewolę?
To my w pańszczyznę tu?... To na odrobki?...
To tak?... (W garść plunął.) A dalej parobki!²⁾”

OSTAŃCZUK: „...Każy Hryć, jak w sądzie stały
My Łohiszynice?
— A tutże każy, jak z sądu wracały?...“³⁾

DUDKOWA: „...A czy Pan Jezus przez cię?... Próg obmyję
Łzami... Kwiatuśzków nasadzę... Wybielę
Komin het... Krzyżem co święto... w kościele...“

MAGIER: „...Ja ci... Ja tu... tobie...“⁴⁾
Pokażę! Ja ci pokażę... granicę!
Jeszcze twe próchno przewróci się w grobie,
Jak ja sądową zapalę ci świcę!...“⁵⁾

ŻUK: „...A pstryka
Niezgorzej! Z dziada mam ją nieboszczyka.
Ojciec mój takóž strzelał z niej. Już z rodu
Kochamy się tak w łowietwie my Żuki.
Co lisów natłukił, co wilków za młodu
Tą kozią nogą... Myślałem, że wnuki...
Nieprawda! Poszła z mojego ogrodu
Na bożą grzędę dziewczka. Dziś my kruki
Samotne z matką...“⁶⁾

PRZYTUŁA: „...Laboga! laboga!
Jaka tu żałość okrutna w tym lesie!
Jaki ból!.. Jaka tu jest tęskność sroga!...
A któż mą duszę, jak ptaka, zaniesie
Do dom, do gniazda?... A gdzież tu mi droga
Do mego rodu?... (Tu zdusi ryk, wzdycha)
— Tak pamiętajcie... Za duszę... msza cicha!...“⁷⁾

1) B. W. 1897, IV, str. 102.

2) „ „ 1897, IV, „ 442.

3) „ „ 1897, IV, „ 311.

4) „ „ 1897, IV, „ 312.

5) „ „ 1892, IV, „ 454.

6) „ „ 1897, IV, „ 435—6.

7) „ „ 1897, IV, „ 309.

Chcąc dłużej przytaczać, trzeba by przepisywać w całości rozmowy, jakie toczą między sobą bohaterowie Konopnickiej. Że te rozmowy najczęściej przechodzą w kłótnię, nie powinno nikogo dziwić. Energia, tkwiąca w zdrowych organizmach, wywiązuje w życiu ludzi Konopnickiej ciągły ruch. O ile polem tego ruchu jest rozmowa, przychodzi do utarczek słownych, nie hamowanych konwenansem, odbitych brutalnem echem od epickiego wiązania strofy.

Porwał się Magier, zrzucił kapelusza :
 — „Ja cham? Ja... chamskie?... Poczekajże trupie!
 Ja ci ten kaptur ściągnę! Aż ci dusza
 W pięty ucieknie! Ty.. ty... ty biskupie!...“
 Wtem Żdźarski — „Tfu, do parasusza!
 Falszerz!“ Więc Magier oczy nań wylupie,
 I skoczy, by ryś, gdy się zapamięta,
 Belkocąc tylko: Doku... doku... menta!“¹⁾

Wzorem musiał być „Pan Tadeusz“ z bohaterami, powleczo-
 nymi cienką warstwą cywilizacji, o namiętnościach, nie uchwyco-
 nych na smycz, kłótnią, jak toporem, wyrabujących w poemacie
 twarde łożysko akcji²⁾. Jak w „Tadeuszu“, tak i w „Balcerze“—
 kłóca się ustawicznie bądź osoby pojedyncze między sobą, bądź
 wszyscy ze wszystkimi: o szlachectwo³⁾, czy o pańszczyznę⁴⁾,
 o urządzenie gminy⁵⁾, czy wybór posła⁶⁾, o rodzaje polowania⁷⁾,
 czy gatunki gleby⁸⁾. Niezdolni nadać wymianie zdań łagodnej
 formy, pozwalają wybuchać co moment wulkanom serc, niezgodą,
 jak lawą, zasypując każdą pieśń po kolei.

A od kłótni słownej niedaleko — znowu jak u Mickiewicza—
 do bójkii zażartej, krwawej nieraz, ruch do najwyższego wymiaru
 doprowadzającej⁹⁾.

Zbladł chłop, jak wapno, skamieniał aż prawie.
 Jakże mu potem krew w lico nie lunie,

1) B. W. 1892, IV, str. 453.

2) cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza“, str. 43—4.

3) B. W. 1892, IV, str. 453—4.

4) „ „ 1897, IV, „ 441—5.

5) „ „ 1897, IV, „ 303.

6) „ „ 1892, IV, „ 465—7.

7) „ „ 1897, IV, „ 435.

8) „ „ 1897, IV, „ 302.

9) cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza“, str. 62—5.

Jakże nie skoczy, nie zaklnie plugawie,
 Jakże na łyżka piorunem nie runie,
 O ziem i po nim!... ¹⁾

Obok bójek, pojedynkiem toczonych: Przytuły z łyżkiem, Balcera, a potem Stacha z majątkiem, i znowu Balcera z murzynem—odbywają się walki gromadne: między chłopstwem a Włochami, między babami a kolonistami niemieckimi i raz jeszcze między babami a komisją pańszczyźnianą.

Ten niespokojny, ruchliwy nastrój masy ludzkiej dzieli często, jak w „Panu Tadeuszu,“ przyroda, ilustrująca swojemi zjawiskami jaskrawo tekst akcji ²⁾. Więc burza morska schodzi się z burzą ludzką, chłopów przeciw załodze zbrojącą ³⁾. Wichura borowa targa gałęzią, na której zawisł zawiedziony chłop ⁴⁾. Morze pieni się łakomie, paszczę wilgotną po trupy chłopskie otwierając ⁵⁾.

Wszelako ruch, akcyę popychający, staje się niemniej środkiem technicznym do odciskania w wierszu życia wewnętrznego bohaterów ⁶⁾. Unikając wizerunków psychologicznych, w eposie niebezpiecznych, na koło ruchu nawleka poetka każde uczucie czy myśl bohatera i puszczając je następnie w odpowiednim tempie, uwidocznia przy pomocy ekspresyi zewnętrznej byt wewnętrzny człowieka.

Nagle — stój! Co to? — Rzucili się plackiem
 O ziem. Słuchają co ziemia powiada...
 Sza... cicho!.. Dwóch ich popelzło omaekiem
 W traw głębie piersią naga, jak u gada.
 Znow cicho... Naraz z wejrzeniem junackiem
 Porwą się, pomkną, zoczyli już stada...
 Pędzą, znow stają... Nagle się rozskoczą
 Wszyscy i we dwa półkola zatoczą. ⁷⁾

Takie opisy, plastyką okute, podciągają zręcznie esencję życia wewnętrznego pod kontrolę zmysłów. Dzięki nim zapoznaje nas poetka tem skuteczniej zarówno z wyodrębnionem indywidu-

¹⁾ B. W. 1892, III, str. 492.

²⁾ cf. Gostomski: „Arc. poez. pol. P. Tad.,” str. 199.

³⁾ B. W. 1892, III, str. 502—7.

⁴⁾ „ „ 1897, IV, „ 436—7.

⁵⁾ „ „ 1892, III, „ 496.

⁶⁾ cf. Gostomski: „Arcydz. poez. pol. P. Tad.” str. 239.

⁷⁾ B. W. 1900, VI, str. 167.

un, jak i z całą gęstwą chłopską. W drugim wypadku, że trudności nadarzają się większe, chwytą się wypróbowanego sposobu mickiewiczowskiego: ustawia tłum za dowolnie obranym bohaterem, jak chór za protagonistą, poczem w ruch wprawia usta bohatera i w szereg gestów jego ciało, a stojącej za nim gromadzie każe bądź niewolniczo co kilka wierszy powtarzać te słowa i gesty, bądź wysnuwać z nich nowe, sensem zawsze zbliżone do tamtych ¹⁾.

„... My pod pańszczyznę nie damy tu karku,
I nie będziemy odrabiać szarwarku!“
— „Dobra! Nie będziem!“ — Hukną chłopcy chórem.
Tupnęli, łbami wyrzucają jak tryki.
Tak stąpię krokiem znów (ci za mną chórem).
— „Co my tu mamy?“ — krzyknę — „Jak te dziki
Siedzim w tej kniei! Łatwo skrobać piórem,
Ale żyć trudno!“ — Tak za mną znów krzyki:
— „Nijak żyć!... Dobrze Pan Balcer powiada!
Jak on, tak za nim i my też gromada!“ ²⁾

Tryb ten, stale powtarzany, sprawia łądzące wrażenie całej masy, jednolitym nastrojem złanej, przynosi jej mowę, pełną burzliwych akcentów, duszę, w tysiąc skier namiętności rozsypaną.

Nie mniej cennym, a równie Mickiewiczowi znanym środkiem wywoływania na ekranie epickim obrazu masy — jest grad nazwisk, z olśniewającą szybkością sypanych w wiersz, nazwisk, których puste wartości, tracone echem ostatniej, wrytej w pamięć sceny, wypełnią się, rozedrgają, rozkrzyczą, będą żyć, tłum prezentując wybornie ³⁾.

Tak poszedł Tatar Marcin, tęga głowa!
Tak Czop, ów z Miedznej ucieszny braciszek...
Poszedł Muzyka Bartek, co od słowa
Z baranich umiał głosu dostać kiszek...
Poszedł Sołoda, poszedł Kacper Sowa,
Karbowiak Michał i Wójcik Franciszek... ⁴⁾

Do uwydatnienia rysunku, tak jednostek, jak masy, służy Konopnickiej, w ślad za Mickiewiczem idącej, żywioł obcy, dzięki

¹⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.“ str. 74—8.

²⁾ B. W. 1897, IV, str. 443.

³⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza“ str. 78.

⁴⁾ B. W. 1897, IV, str. 99.

warunkom akcji bogato importowany do poematu ¹⁾. Przez jaskrawy filtr kontrastów przepuszcza poetka żywioł polski tem czyściej.

Zwyczajnie lutry takie i kalwiny,
 Jak te, co u nas po Olendrach siedzą:
 Fajczyisko w zębach, raz wraz plują śliny,
 A kawę z miski w trzy raz o dzień jedzą.
 I oni się też od pierwszej godziny
 Tak odgrodzili od nas jakby miedzą.
 Rzekniesz: „Pochwalon!“, a ten ci niecnota
 Zamiast: „Na wieki“ rzec, „Guttag“ mamrota ²⁾.

Dalszym, Mickiewiczowi nie obcym, środkiem są kostiumy, nie beznyślnie, z krawiecką wiernością dla kolorytu miejscowego nakładane na bohatera, ale jako wykwit jego kultury, przetwórcy owoców domowych, efekt jego smaku, wreszcie węzeł materyalny, od opuszczonej ziemi nie puszczający chłopa ³⁾.

Ale na boku, od inszych odbita
 Stała nie duża gromadka narodu.
 Na grzbietach sina sukmana a świta,
 Pięknie czarnemi taśmami od przodu,
 I po kieszeniach, po plecach wyszyta.
 Twarze surowe, śniade, jakby z głodu
 Długiego, albo z przedawnej żałości... ⁴⁾

Na tak skonstruowaną i wyposażoną masę puszcza Konopnicka prąd akcji według wzorów, jakie Mickiewicz zostawił w „Panu Tadeuszu.“ W pierwszym rzędzie znamienne jest dla poematu ucinanie obrazu niedokończonego, w momencie intrygującym najwięcej, a wprowadzanie na jego miejsce innego, który każe na nowo dzierzgać nić uwagi ⁵⁾. W ten sposób spór między Żdżarą a Magierem przerywa chrzest dziecka nowonarodzonego ⁶⁾, kłótnię między Magierem a Zatrąą anegdota Opacza ⁷⁾, rozprawę na temat polowania historia strzelby Żuka ⁸⁾, radę nad przyszłym

¹⁾ cf. Gostomski: „Arc. p. pol. P. T.“ str. 161—2.

²⁾ B. W. 1897, IV, str. 89.

³⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.“ str. 153—6.

⁴⁾ B. W. 1892, III, str. 486.

⁵⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.“ str. 46—9.

⁶⁾ B. W. 1892, IV, str. 454.

⁷⁾ „ „ 1892, III, „ 482—3.

⁸⁾ „ „ 1897, IV, „ 435.

pośłem wiadomość o samobójstwie Przytuły ¹⁾, pogadankę przy ognisku wśród wietrznej nocy śmierć nagła Jaśka ²⁾.

Żeby obraz ten trwalszą zyskał podstawę epicką, odbija go poetka, jak w momentalnym zwierciadle, w „dziwieniu“ bohaterów, wyzyskując naiwny poziom ich życia duchowego ³⁾. Wobec majtka, spinającego się po linie, „otwarły chłopcy gęby, jako wrota“ ⁴⁾; połowowi rekina „dziwią się baby“ ⁵⁾; urządzeniom okrętowym „dziwuje się“ Balcer ⁶⁾; na widok zabitego tygrysa „dziw“ chwytą chłopów ⁷⁾; wobec wojska, otaczającego lud po wylądowaniu, „cofa się zdumiały lud“ ⁸⁾; port nazywa Balcer „dziwem“ ⁹⁾; widząc mrowie przeciągające, chłopci „otwarli gęby“ ¹⁰⁾.

Czasem zaostrza uwagę czytelnika umyślna tajemniczość, w skali półokreśleń utrzymując obrazy, z których powoli dopiero wynurza się kontur logiczny ¹¹⁾. Tak przedstawiona jest rebelia, wybuchła na okręcie ¹²⁾, śmierć dziecka Szczęśniaków ¹³⁾, walka Ostańczuka z febrą ¹⁴⁾, cmentarz polskiej kolonii w borach ¹⁵⁾, spotkanie z bawołem ¹⁶⁾, mrowie, wreszcie, toczące gaj ¹⁷⁾.

Oprócz tych pierwszorzędných analogij, które dopiero głębsze wnikięcie w rzecz pozwoli uwydatnić, narzuca się szereg zewnętrznych, oderwanych, jednopunktowych podobieństw — tak ludzi, jak rzeczy dotyczących.

Śmierć Proskurata, wyciętego wiernie z ostatnich kart „Pana Tadeusza,“ wychwyconego z pośród biwaków soplicowskiego wojska, przypomina dziwnie inną śmierć, zdołającą żołniersko-zie-

¹⁾ B. W. 1897, IV, str. 430—1.

²⁾ „ „ 1897, IV, „ 437.

³⁾ cf. Biegeleiten: „P. T. M.“ str. 122—3.

⁴⁾ B. W. 1892, III, str. 478.

⁵⁾ „ „ 1892, III, „ 499.

⁶⁾ „ „ 1892, III, „ 476.

⁷⁾ „ „ 1897, IV, „ 434.

⁸⁾ „ „ 1892, IV, „ 468.

⁹⁾ „ „ 1892, IV, „ 465.

¹⁰⁾ „ „ 1901, III, „ 549.

¹¹⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza,“ str. 106—8.

¹²⁾ B. W. 1892, IV, str. 447.

¹³⁾ „ „ 1892, IV, „ 448—50.

¹⁴⁾ „ „ 1897, IV, „ 98—9.

¹⁵⁾ „ „ 1900, VI, „ 154—7.

¹⁶⁾ „ „ 1900, VI, „ 165.

¹⁷⁾ „ „ 1901, III, „ 549—50.

miański epos Mickiewicza ¹⁾. Zdżara i Magier, Dobrzyńcem zresztą w geście i elokwencji przeszli, w kłótni swojej z plastyką komedyjopisarską ukazywani, każą myśleć o kłótni Asesora i Rejenta, dotąd uśmiech budzących w pieśni Mickiewicza ²⁾. Horodziej, gromiąc przeciwników organizacji gminnej, wpada w ferwor, zacięciem stylistycznym dziwnie podobny do oracyi dobrzyńskiej starego Macieja ³⁾. Stach i Zosia wreszcie — w swoich bezbarwnie epizodycznych, dekoratywnych na wskrós rolach pojęci, jako znaki kolorowe, pod którymi zdrzży kiedyś życie, w załączku dopiero złożone — mimo wszystkich różnic przypominają frontowe, choć najmniej charakterystyczne w eposie Mickiewicza figury, Tadeusza i Zosi ⁴⁾.

Czasem drobny szczegół, wśród świetnych strof Konopnickiej rzucony, połyśnie reminiscencyą za jasną, żeby jej niewprawne nawet oko nie dojrzało. Tak wzmianka o „ostatnim karbowym“ wywodzi się niezawodnie od żałosnego epitetu, który Mickiewicz wbijał, jak gwóźdź, w trumny swoich bohaterów, marząc o „ostatnim Woźnym Trybunału,“ „ostatnim Kluczniku,“ „ostatnim Horeszce,“ „ostatnim Wojewodzie Nowogrodzkim,“ czy „ostatnim, co tak poloneza wodzi“ ⁵⁾. Parokrotnie wracający ustęp o bracie Balcera, księdzu w Krakowie, dla wywołania komizmu użyty, przypomnieć musi takie same powtarzanie wierszy u Mickiewicza, zawsze do mało znaczących skierowane okoliczności, sól humoru mieszczące w sobie ⁶⁾. W równie prostym celu skupiane assonacye, doskonale przystające do półpoważnej treści, w ustach Zatrąty czy Czopa schodzą się z maksymami Kropiciela, wygłoszonymi na Radzie, czy z rubaszną metafizyką Robaka, Bakę parafrazującego w czasie Zajazdu („Rajce — zdrajce“ — „Zeszlachty — konszachty“ — „Horodziej — nie dobrodziej“ ⁷⁾). Koniec anegdoty „o głupich artylerzystach“ („mówią, że o tem w gazetach pisało“) przypomina petersburską anegdotę Telimeny

¹⁾ „Pan Tadeusz“ (Poez. Mick. — wyd. Chmiel. t. III), str. 302. cf. B. W.

²⁾ Ibid. str. 121—2. cf. B. W. 1892, IV, str. 453—4.

³⁾ Ibid. str. 202.

⁴⁾ Ibid. str. 10—12, 101—2, 139—40, 269—70, 306—8, 333—4. (Spasowicz: „Dzieje Literatury polskiej,“ str. 334). cf. B. W. 1892, IV, str. 454—5.

⁵⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.,“ str. 11. Kallenbach: „A Mickiewicz,“ II, str. 151—2. Brückner: „Dzieje literatury polskiej w zarysie,“ II, str. 107.

⁶⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.,“ str. 303—8.; B. W. 1892, III, str. 452.

⁷⁾ „Pan Tadeusz“ (P. M. Chmiel. III), str. 188, 191, 192, 201, 240; cf. B. W., 1892, IV, str. 466.

„o Bonończyku i psach czynownika“ („sam cesarz śmiał się“) ¹⁾. Nawet Mickiewicza podniesienie „bigosu“ i „gdańskiej wódki“ jako znamiennych potraw i napojów szlacheckich, ma u Konopnickiej zręczne pendant w apostrofie do „bochna razowego chleba“ i „czarki siwuchy,“ potrawy i napoju — charakterystycznych dla chłopu ²⁾. Dwukrotna, gorąca wzmianka o Napoleonie, raz wpleciona w opis śmierci Proskurata, raz malowidło armii mrówczej zdołająca — to też jedno z tych zbliżeń nieumyślnych, które przecież sferę przyciągania zdradzają ³⁾.

Ale mimo głębszych czy płytszych, stałych czy doraźnych, świadomych czy przypadkowych zbliżeń do epepei mickiewiczowskiej — „Pan Balcer“ różni się od niej nieskończenie. Do wywołania różnic przyczynić się musiał decydująco równoczesny wpływ drugiego mistrza, inaczej epickim mieczem władającego — Słowackiego.

Wpływu tego nie da się zamknąć w ścisłe reguły, choćby dlatego, że brak poematu o analogicznych, nakrywających się z „Balcerem“ kształtach. Darmoby ktoś myślał o „Królu Duchu“! Potężna „monoepopeja“ Słowackiego, wtłaczająca w legendę historyczną geniusz jasnowidztwa, zbyt wysoko wzleciała nad kram realnej obserwacji, nad zbiorowisko faktów jednodniowych, żeby się do niej dało dopasować jakikolwiek utwór cudzego pióra. Sfery twórcze Słowackiego i Konopnickiej w obu poematach działały zbyt rozbieżnie. Pierwszy ze zjawisk przeszłości wykruszał swoją górną syntezę. Druga operowała grubym materiałem terażniejszości. Stąd też Słowacki w „Królu Duchu,“ ku „celowi finalnemu“ skierowany, działa sprężynami wizyi, na wewnątrz sprowadza akcję, polewą subiektywną zdobi słowa, skojarzenia codzienne rozбивa, podkłada pod obrazy perspektywę wieczności. Konopnicka natomiast w „Panu Balcerze“ pamięta o zmysłach, akcji nie unika bezwzględnie, zabarwia całe stronicie przedmiotowo, asocjacyj szuka łatwych, w obrazach dba o względy lokalne. Kusić się wobec tego trudno o wykazanie potrażeń szczegółowych, podobieństw wypukłych, zależności namacalnych, takich, któreby można oprzeć o cytaty i uświęcić odsyłaczem. Przecież wyszedł-

¹⁾ „Pan Tadeusz“ (Pis. Mick. Chmiel. III), str. 60—2.; cf. B. W. 1902, III, str. 483.

²⁾ „Pan Tadeusz“ (P. M. Chmiel. III), str. 124—5.

³⁾ „Pan Tadeusz“ (P. M. Chmiel. III), str. 23—4, 36—7, 107—12, 186—8, 194—5, 197, 292—5, 301, 329, 345.

szy z kółka filologicznych formuł, trudno nie zauważyć potrażeń, podobieństw i zależności natury ogólniejszej, stwierdzonych już przez krytykę przygodnie ¹⁾. Prawda, że stwierdzonych ogólnikami.

Chcąc zestawić rzeczowo paralelizmy, jakie się tylko nastreca, zaczęę od pozycyi najuchwytniejszej, od oktawy, która była w zakresie strofiki „jedną z dwóch kochanek“ ²⁾ Słowackiego, a której w swoim poemacie — nie po raz pierwszy zresztą — użyła także Konopnicka.

Jać tylko oto przygrywam piosenkę,
 Za wyprzednika jestem i za posła.
 Zaś przyjdą, którzy mają lekszą rękę,
 Niż od twardego moja jest rzemiosła.
 Ci śpiewać będą pracę tę i mękę
 I będzie światem ogromna pieśń rosła.
 Z której ten naród polny, te prostaki.
 Wylecą w słońce, jak podniebne ptaki. ³⁾

Przypomina Słowackiego za bardzo ta oktawa, w osiem miedzianych strun dzwoniąca, wyćwiczona tak, że najmniejszej reszty uczuć czy myśli nie pozostawia za sobą, stosownie do zawartości wewnętrznej naprężana potężnie, lub luzowana ze smętkiem. Rolą, jaką odegrała oktawa w ewolucyi twórczej Słowackiego, nie zajnowano się dotąd zupełnie. Prawda, że do niedawna jeszcze, pomni na klasyczną podziałkę poetyki, rozróżnialiśmy subtelnie między „treścią“ a „formą“ utworu, każdą z nich wsuwając do specjalnej rubryki. Najświeższe dopiero badania estopsychologiczne — tak za granicą, jak i u nas — rozszerzyły zakres wpływów „formy“, zwracając uwagę na jej organiczny związek z „treścią.“ Niestety na margines te badania nie zeszły, do wniosków pozytywnych nie zstąpiły, choć o wnioski nie było już trudno. Zwłaszcza tam, gdzie idzie o oktawę. Tak jest — oktawę! Z chwilą, kiedy się jej jał Słowacki, wzrastać u niego zaczyna zmysł plastyki, w epickie kryształły ścinający rozlewne elementy muzyczne. I wzrastać ten zmysł odtąd będzie z niebywałą chyżością, póki nie doprowadzi do ostatecznego napięcia w organizacyi twórczej, której wykładnikiem miały być według popularnego komentarza Krasiń-

¹⁾ Aleksander Brückner: „Dzieje liter. polsk. w zarysie“, II, str. 368.

²⁾ Józef Tretiak: „Nieznane fragmenty i warianty Beniowskiego.“ B. War. 1902, III, str. 211.

³⁾ B. War. 1897, IV, str. 313.

skiego „farby Correggia i Rafaela, niesione Beethovena tonami.“¹⁾ Co dziwne, że dzisiejszy krytyk, wskazując w obrazach Słowackiego bez naciagań, przy pomocy jedynie przedmiotowej analizy rysunek i ruch — i to rysunek giętki, ruch sprawny²⁾, nie objaśnia przecież tego splastycznienia, stwardnienia obrazów genetycznie, choć pomocną tu niemało mogła mu być oktawa. Bo jej planowa konstrukcja, która z ośmiowiersza stwarza artystyczną całość, narzucać musiała i tak o kunszt dbałemu poecie potrzebę ładu — już najzewnętrzniejszym, w grafice objawiającym się zarysem prostokąta, doskonale zamkniętego. Co więcej, rymika przestawna, parzyste wiersze rozgradzająca nieparzystymi, uczyła go porządku z góry określonego, w ryzy ujmowała najkapryśniejszą fantazję. Nadto końcowy dwuwiersz, zderzając nagle rymy wzajemne, zwierzał strofę twardo, zgniatał jej zawartość i zmuszał w ten sposób poetę do retrospektywnego rzutu oka na całość obrazu, pomieszczonego w głębi wiersza. Stałe wreszcie następstwo strof, prawidłowo formowanych, w ciągu dłuższego użycia dawało Słowackiemu klucz geometryczny, pomocny do rozwiązywania choćby najrzykowniejszych problemów, jakie zna poetyka. A tak zmysłowa pobudliwość twórcy, ujęta w ścieśnione rany tworzenia, pociągała za sobą zrozumienie celowości w sztuce, która różnemi drogami do tej samej absolutnej zdąża harmonii. Naiwnego wyznania Słowackiego, że go „oktawa pieści“³⁾, nie można pod żadnym warunkiem uważać za poziomy tylko objaw samochwalstwa. Rzecz inna, że zapisując je, mógł poeta niedocenić należycie następstw dalszego procesu rozwojowego swojej twórczości. W „Beniowskim“ istotnie pierwiastek plastyczny nie doszedł jeszcze do swojego późniejszego uprawnienia, gra owszem rolę podrzędną wobec wszechwładnej instrumentacji wiersza. Mijają strofy całe, pozbawione wskaźników barwnych, o rysunku, zaledwie widocznym wśród pysznych rymów, o ruchu, raczej z rytniki wynikłym. Dopiero w „Królu Duchu“ przychodzi do równowagi między obu pierwiastkami, równowagi, która nigdy poety na działanie jednego z nich tylko nie zdaje, ale obu każę działać współrzędnie. Wiadomo zaś, że dopiero „kiedy Słowacki zużytkuje swoje zdolności plastyczne nie samoistnie, lecz w połączeniu z mu-

¹⁾ „Killka słów o Juliuszu Słowackim“ („O krytyce w ogólności“). Pisma Zyg. Krasieńskiego, wyd. Pinięgo. Lwów, 1904. Tom II, str. 204.

²⁾ cf. Matuszewski: „Słowacki i Nowa Sztuka,“ str. 163—167.

³⁾ „Beniowski“ (Pis. Jul. Słowackiego. Wyd. lipskie, 1861. T. IV), str. 29.

zyczno-lirycznymi, osiąga najoryginalniejsze i najpotężniejsze rezultaty.“¹⁾

Podobną kolej rozwojową przechodziła Konopnicka. W jej dawniejszej produkcji lirycznej uderzał układ wybitnie eufoniczny obok absolutnego braku plastyki. Praca nad „Imaginą“ oznacza przeobrażenie, rękę zaprawiając do oktawy i równocześnie podnosząc jasność widzenia poetyckiego. Przecież względna plastyka obrazów stoi jeszcze w „Imaginie“ w tyle poza ruchliwością muzyczną wiersza, zdążającego do swobody bezwzględnej. Wyjazd za granicę, zetknięcie się z targowiskiem parnasyjskiem: z Leconte de Lisle i Banvillem z jednej strony, z Carduccim i d'Annunziem z drugiej — prowadziły proces przeobrażenia dalej. Wy równa akceje obu czynników, plastycznego i muzycznego, dopiero „Balcer“, w którym „farby Correggia i Rafaela“ stapiają się podobnie, jak u Słowackiego, z „Beethowena tonami.“

Podobnie, ale nie tak samo. Oto dwie, na chybił trafił wybrane strofy, z których wyłamać będzie łatwo różnice między organizacjami twórczymi Słowackiego i Konopnickiej:

I dziś od ogniów boskich w dół zepchnięty,
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię — lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów;
I płynie, jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie —
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.²⁾

Dziś jeszcze ... jeszcze teraz ucho słyszy
Muzykę siekier i toporów ową ...
I teraz jeszcze mam za towarzyszy
Te echa, co mi grają pod posową
Samotnej izby, kiedy siądę w ciszy,
I widzę, jak te bory chwieją głową
Z wielkiego dziwu i jak słońce trzęsie
Blask w knieje, tęcze niszając na rzęsie.³⁾

1) Matuszewski: „Słowacki i nowa sztuka,“ str. 177—8.

2) „Beniowski“ (P. Jul. Słow., t. IV, edycja lipska, 1861), str. 73.

3) B. W. 1897. T. IV, str. 308.

Komentarz chyba zbyt czyny. Ruchliwy temperament Słowackiego elektryzuje strofę za strofą, zróżniczkowaną duszę poety przesuwając przed czytelnikiem wśród ustawicznego falowania próżności i grozy, smętku i ironii, wzniosłości i dzieciństwa. Jednolita bryła natchnień Konopnickiej, dociosana do kształtu oktawy, nie przedstawia tego odśrodkowego parcia, które tkwić musi w specyficznym układzie temperamentu twórcy. Pozornie przeczy podobnemu twierdzeniu „Imagina.“ która przecież jest tylko bezindywidualną kopią „Beniowskiego.“ Jej odśrodkowość tedy, zależną w prostej linii od wzoru, należy położyć na karb filiacji ze Słowackim, pamiętając, że praca nad techniką pochłaniała poetkę w czasie tworzenia bezwzględnie, że więc pozbawiona udziału w tworzeniu indywidualność nie mogła obronić poematu przed naporem cudzego nastroju. Dopiero kiedy poetka opanowała w całym znaczeniu słowa technikę, zaczyna się indywidualność upominać o swoje prawa. I wtedy sztywnieje schemat wiersza, traci falistość wzoru, godzi się z równowagą duszy, która materiał epicki wydobywa ze stanów, dobrze przetrawionych, perspektywicznie odsuniętych.

W dalszym ciągu zbliża się Konopnicka do Słowackiego, łącząc w swoim poemacie sferę bezwzględnej podmiotowości ze sferą stwardłego, groteskiem zalatującego realizmu. „W umyśle Słowackiego — jak chce jego psychograf — powoli zatarła się różnica między poezją a rzeczywistością, wyrażając się ściślej, poezja wchłonęła w siebie rzeczywistość.“¹⁾ Udział obu czynników w twórczości genialnego romantyka określić łatwo, choćby tylko powierzchownym oględzinom poddając jego utwory. Więc podmiotowość rzuca w jego styl metafizyczne ziarno, dynamizuje zdanie do rozmiarów nieskończonych, obraz podszywa istotną wartością, poemat każdy przemienia nawet mimo jego fragmentarycznego kroju w absolutnie piękną całość. Realizm natomiast czyni w ostatniej chwili metafizykę poezją, pozwala zeszywnieć w symbol, chwyta zmysłowo rozmach słów, upojonych tajemniczą zawartością, poemat nalewa substancją organiczną.

Rzecz prosta, że odmienne warunki, wśród jakich tworzyła uczennica, musiały tu zmodyfikować bezwzględną jej zależność od mistrza.

Formy, która w epice uprawnia tryb podmiotowy, która z każdego swojego obrazu czyni rzut absolutu, mógł być Ko-

1) Matuszewski: „Słowacki i nowa sztuka,“ str. 309.

popnickiej dostarczyć jeden tylko Słowacki. Raz mętne, raz jasne losy jego Popiela—Mieczysława—Bolesława rozwijają się w opowiadaniu, jak u niej, luźnem, regułami nietkniętem, włózione w usta bohatera, z którym „poeta identyfikuje się widocznie.“¹⁾ Przyjąwszy przecież niewątpliwie analogie między formą „Króla Ducha“ a formą „Balcera,“ nie powinniśmy zapominać o różnicach, równie niewątpliwych. Nie powinniśmy zapominać, że Słowacki, zlany w jedno z bohaterem, stworzył w sposób naturalny sferę życia nieograniczoną, w której mieszcza się bez pogwałcenia logiki nawet najpotężniejsze wybuchy jego indywidualności. Konopnickiej natomiast cięży w biegu akcji psychika opowiadającego bohatera, z którym niepodobna się było utożsamić bezwzględnie. Prosta przeto konsekwencya sprawiła, że poetka od czasu do czasu wprowadza pomiędzy prymitywne, gwarażalające wyznania element lotniejszy, wyższą inspiracją zaprawny, i że wskutek tego niszczy jednolitość wyrazu poetyckiego. Nie mogło być inaczej. Chłopska, ledwie wyciosana dusza, nie dźwignęłaby się sama tak szparko nad koło codziennych kłesk. Więc gawędzającemu dobrodusznie kowalowi pożyczca poetka, ile razy zdarzenia targną nią silniej, własnego języka, własnej krwi, własnego natchnienia.

Czyś Ty nas widział tam, o Chryste Panie,
 Straconych w onej okrutnej gęstwinie,
 Gdzie żaden ludzki głos, ani wołanie
 Cmy nie przebije i stłoczony ginie?
 Czyś Ty nas słyszał wieczorem i ranie,
 Obwołujących Ciebie przez pustynie,
 Które za nami zamknęły się ścianą,
 Z mroków niezbytych na głucho kowaną? *)

Te strzeliste, wysoko adresowane apostrofy Balcera rysują w liczne skazy sklepienie epickie poematu, trzęsą każdą strofą, jak kolumną, ale nie mniej stanowią szczyt ekspresyi, kondensując w sobie najsilniejszy rozmach potencji twórczej.

Podmiotowa strona twórczości Słowackiego bliższa czy dalsza współczesnych zagadnień okultystycznych, wprowadza do ostatniego cyklu jego utworów doktrynę oryginalną, na monizmie opar-

¹⁾ Małecki: „Juliusz Słowacki,“ III, str. 128.

^{*)} Bibl. Warsz. 1897, IV, 306-7.

ta, dotąd przedmiotem żmudnych dociekań będąca. Mimo kolejnych wydań Małeckiego, Biegeleisena, Rychtera, oraz opartego na nich rzeczowego studium Matuszewskiego, zdołano w tej doktrynie wykazać zaledwie względne, nie wyczerpujące całości wpływy Saint-Martina i Kabały, Saint-Simona i Hoene-Wrońskiego, Schellinga i Hegla, Cieszkowskiego i Trentowskiego.¹⁾ Pełnego kąta analogii dostarczyła dopiero twórczość nowej generacji poetów, dla których świat otaczający to także „dywanik, na wyrwót widziany, gdzie różne nitki wylazą i giną znów, niby bez celu i potrzeby... z tamtej strony są kwiaty i rysunek.“ Rzecz prosta, że Konopnicka, stwarzając zbiorowisko ludzkie o zacieśnionem korycie psychiki, z przewagą mięśni nad nerwami i co więcej pieśń zamieniając na opowiadanie bohatera, nie mogła przemycać w strofie zdań, trącających doktryną. Mimo to wszakże stosunek duszy do ciała w jej poemacie stoi na wysokości wymagań Słowackiego: pogniębieniu ciała odpowiada konsekwentnie tryumf duszy: nie tak jak w dualistycznym na wskrós, zmysłowo-epickim, różano-marmurowym „Tadeuszu.“ Dlatego kluczem użytecznym przy odczytywaniu „Balcera“ mógłby się może stać wiersz, zapisany bez szczegółowej daty w raptularzu Słowackiego z lat 47-9:

O tym człowieku, że duchowny mów,
Który chory, chrony, po stracone zdrowie
Pełnie do obrazu Panny w Częstochowie
I wraca zdrów!²⁾

Ten wiersz chropowaty, jak żaden inny, ale też jak żaden piękny wewnątrznie, nieocenionym się staje dokumentem do oznaczenia i rozpoznania bliższego dusz ludzkich w „Balcerze.“ Po dowody wystarczy sięgnąć do szeregu sytuacji, w których człowiek Konopnickiej żyje i działa. Prawda, że żyje i działa nie jednako. Mistyczny, połyskujący, jak światło miesięczne, wpływ Słowackiego sprawił, że z gromady chłopskiej najpotężniej wybudowali bohaterowie wyduchowieni, świętość promieniujący z siebie w słowie i czynie, między mężczyznami Horodziej, między kobietami Bugaja. Ale na starczej parze emigrantów nie zatrzymał się ten wpływ, dotykając swoim promieniem kolejno Szczęśniakowej,

1) Matuszewski: „Mistyka Słowackiego“ („Swoi i obcy“), str. 196—228.

2) Juliusz Słowacki: „Poezye, utwory dramatyczne i proza.“ Wydanie pierwsze z pośmiertnych rękopisów, J. H. Rychtera. (Kraków, 1889.) „Dodatek“, str. 19.

kiedy szuka tropu dziecka na wodach¹⁾ i Dudkowej, kiedy cuci bezwładny obóz chłopski²⁾—Bugaja, kiedy żąda sądu bożego między ziemią brazylijską a polskimi wychodźcami³⁾ i Zatraty, kiedy bierze na barki małego znajdę⁴⁾—Przytuły, kiedy go woła przeciżym głosem opuszczona ziemia⁵⁾ i Balcera, kiedy w ogień ciska zwłoki Jaśkowe.⁶⁾ Za jednostkami stoi wreszcie tłum, technieniem Słowackiego owiany we wszystkich wielkich momentach. Czy w pierwszej pieśni, kiedy ciska się na kolana z pieśnią wobec gwiazdy, wysoko rozetlałej⁷⁾ lub wita z entuzjazmem ziemię, rzucając grosze w nadstawioną mykę żydowską.⁸⁾ Czy kiedy w pieśni drugiej słuca pół żywy melodyi wichury⁹⁾ lub u ogniska zebrany, wybiega myślą ku swoim Wołom i Wólkom.¹⁰⁾ Czy kiedy w trzeciej woła śmierci, strzałem rozpaczy rażony w serce,¹¹⁾ lub w egzaltacyi zapomina o ziemi, niebieskiemi widmami zasnuwszy głowy.¹²⁾

Stąd też, tak jak u Słowackiego, nie znajdzie się w poemacie Konopnickiej zjawiska, trywialnie pojętego, dobrego przewodnika fabuły, ogniwem zacepionego sprytnie o drugie, podobniuisienkie do siebie. Mało dbała o materyalne funkcyje swoich bohaterów, zdejmuje poetka chwilami ze strof piętno rodzajowe, sycąc je natomiast z wewnątrz ważną, jak dźwignia, ideą. Dlatego ten Krejc, który wiezie emigrantów i ci Balcerzy na nim, Zatraty, Opacze i Przytuły—to nie zwykły okręt i charakterystyczne tylko postacie, ale nawa potężna, w której przewozi się cały zbiedzony, głupi, nieraz nawet zły lud polski. Ci ludzie nie do Brazylii jada, ani do żadnego miejsca na ziemi. Ster ich jest z innego świata. Cierpienie, naturalistycznie przedstawione, ma ich poprawić i zmienić gruntownie.

Nacisk, z jakim poetka podnosi oczyszczający pierwiastek w cierpieniu, nasuwa znowu analogię z ultraromantycznym wzo-

¹⁾ B. W. 1892. IV, str. 450.

²⁾ " " 1900. VI, " 347-8.

³⁾ " " 1900. VI, " 159-60.

⁴⁾ " " 1900. VI, " 172.

⁵⁾ " " 1897. IV, " 309.

⁶⁾ " " 1897. IV, " 438.

⁷⁾ " " 1892. III, " 473.

⁸⁾ " " 1892. IV, " 460.

⁹⁾ " " 1897. IV, " 436-7.

¹⁰⁾ " " 1897. IV, " 304.

¹¹⁾ " " 1900. VI, " 346-7.

¹²⁾ " " 1901. III, " 553-5.

rem. Ścisła rewizya utworów Słowackiego przekona, że żywiołem, którym poeta operuje najchętniej i najumiejtniej, było cierpienie. Ewolucya tego cierpienia, włamując się w coraz doskonalszą dziedzinę, sięga od studenckiej „Godziny myśli“ do dojrzałego „Króla Duch. 1) W „Godzynie myśli“ cierpi poeta sam, cierpi epidermą zaledwie, zatruty literackim karmelem, drażniony jaszuńską sielanką: gotowy materyał na malkontenta. Pociąg do cierpienia po swoim młodziutkim twórcy odziedziczyli pierworodni bohaterowie jego poematów, psychologicznie skrojeni według ostatniej londyńskiej mody: więc Żmija i Bielecki, Hugo i Mnich, Arab i Mindowe, Botwel i Lambro. Rychło przecież podnosi się sfera cierpienia. Książkową reminiscencyę wypiera z niej motyw, z życia płynący, indywidualizowany silnie. Stąd na postumencie prawdziwej już wielkości stoją nowe kreacye Słowackiego, przedewszystkiem męskie: kapłan krwawej ofiary Kordyan i bezkrwawy ofiarnik Anhel-li, klasycznie pojęty Ojciec Zadzumionych i romantyczny w każdym calu bohater „W Szwajcaryi,“ tajemniczy Wachaw i piekielny Dantyszek, Don Juan—Beniowski i Hamlet—Szczęsny, płochy Mazepa i spiżowy Wallenrod, kochanek Sparty Agis i Polskę w sercu piastujący Zawisza. A za mężczyznami, pogrążonymi w cierpieniu, nie zostały w tyle kobiety Słowackiego. Więc cierpią—każda po swojemu — czarna Balladyna i biała Lilla, cierpi płomieniami gadająca Judyta i słodka Salomea, cierpi w dune, jak w zbroję, zakuta Aniela i uparta szlachcianeczka Gnusia, cierpi mimo wiecznej pozy Idalia i mimo koturnów Beatrix, cierpi twarda w zemście Aksena i najsmętniejsza z bohatererek, jakie zna nasza poezya — Mieczysławska. W ostatniem stadyum twórczości Słowackiego—cierpienie rozszerza swój obwód, z indywidualum przechodzi na masę, żeby ją odrodzić. „Król Duch,“ horyzontalnie najszerszy ze wszystkich dzieł, daje przekrój mąk całego narodu, który twardnie w ponurej szkole historii, pod ciosami losu staje się nieugięty, „na ból skała.“

Analogiczny tryb rozwojowy wskazać można i w twórczości Konopnickiej. Cierpienie podmiotowe, w jej początkowej liryce zawarte, rozszczepia się na pęk cierpień o różnych wykładnikach w „Obrazkach.“ Te znowu cierpienia zabarwia—wzrosły od ludowych bohaterów dwóch pierwszych seryj — Lucy w „Imaginie“ pierwiastkiem narodowym, krwawiącym równocześnie „Fragmenty“

1) Rzecz prosta „Godzinę myśli“ wysuwam tu na front bez względu na chronologię, jedynie jako materyał biograficzny.

trzeciej seryi. Rodzajowy wiersz „Do granicy“ jest jakby szkicowym prologiem do wielkiego obrazu epickiego. Męki ludu i męki narodu wiążą się w nim w całość, która kiedyś miała wydać „Balcera.“ Bodziec do wykucia w wierszu tych mąk dawały bezsprzecznie strofy „Króla Ducha.“

Bez „skrwawionego wiosła“ Słowackiego nie dowiozłaby Konopnicka chłopa tam, dokąd go chce dowieźć. Między jej bohaterami niema takiego, któryby czegoś nie utracił, za czems nie tęsknił, na coś się nie skarżył. Obuch losu warczy nad nimi wciąż. Słabsi padają pod nim, silniejsi dźwigają się ze zdwojoną odpornością. I co więcej dźwigają się lepsi, z zapartym gdzieś w piersiach egoizmem, z wykłuwającym się instynktem poświęceń. Cierpienie, ze znawstwem odtwarzane przez poetkę, nie tylko powinno ich było odrodzić, ale odrodzić musiało. Przesłanki etyki zeszyły się z przesłankami psychologii. Konkluzję dają ostatnie karty tego smętnego poematu, w którym wędruje chłop ku swojej Golgotcie, obrzucony refleksem mistyki Słowackiego, może ostatnim. Ze ta wędrownka miała sięgnąć poza krąg doczesności, że z płomienia męczeńskiego trzeba było tknąć glorię nad głowę, rozumiała poetka, zabierając się niegdyś do swojego poematu, rozumiała i później, rozprowadzając w wierszu jego luźne ogniwa. Niedarmino rzuca tuż po opisie najcięższych przepraw chłopskich snop takiego cennego światła:

Lud się sprostował, drzemiący obwisłe.
Tak go naciągła śmierć, jak rzemień w procy
I duch wyświetniał z tej klęski i burzy,
Jak błyskawica, pogodę co wróży.¹⁾

Ale wpływ Słowackiego nie ograniczył się do kształtowania samego tylko nastroju podmiotowego, płynącego z podobnych założeń twórczych. Markowany w stylu Konopnickiej realizm sięga niemniej stanowczo w poemat, załamując się, co prawda w osobliwy, Słowackiemu tylko dostępny sposób. Na nieszczęście analogię tu wikła opinia, kwestyonująca dotąd pojmowanie Słowackiego, jako realisty. Na stanowisku dość niejasnem stoi, omawiając stosunek Słowackiego do rzeczywistości, nawet Matuszewski. Jego twierdzenie, jakoby „szczery realizm był dla Słowackiego krainą niedostępną,²⁾ należy czytać, rozszerzając epitet „szczery“ do

¹⁾ B. W. 1897. IV, str. 100.

²⁾ Matuszewski: „Słowacki a Shelley.“ („Swoi i obcy,“ str. 182.)

rozmiarów, jakie chciał mu nadać francuski naturalista. W przeciwnym razie regułę, postawioną przez krytyka, obaliłby cytowany przez niego samego wyjątek: „Złota Czaszka.“ Stawianie w sztuce reguł, mających przeciw sobie takie wyjątki, bywa zawsze niebezpieczne. Zresztą poza „Złotą Czaszką“ stoją ustępy z „Horsztyńskiego“ i „Niepoprawnych,“ „Jana Kazimierza“ i „Wallenroda,“ z „Beniowskiego“ i „Podróży na Wschód,“ pełne dowodów, że organu, wyczuwającego rzeczywistość, zdolnego odtwarzać grubą skorupę zjawisk, nie brakowało Słowackiemu. Bo co innego jest pogarda dla obserwacji, ucieczka przed doczesnymi, ze zmysłem związanymi środkami, a co innego brak potencji realistycznej, której nie zastąpią czcze abstrakcyje czy wodne farby retoryki. A w obrazach Słowackiego nietrudno wskazać natężenie fizjologiczne prawdy takie, jakie im do życia w sztuce wystarcza. Rzecz inna, że rzeczywistości Słowackiego nie da się sprowadzić do tych linii prostych, które zanykają pole widzenia Mickiewicza. Pióro naszego najekscentryczniejszego romantyka nie chwyta zjawiska z bezwzględnością kliszy, nie przenosi go na papier, prawie że nieświadomie. Stąd zjawisko, choćby najmniej złożone, w jego wierszu nabiera cech nadzwyczajnych, fascynujących. Żeby nie gubić wątku dowodzenia, przypomnę choćby nocleg w Vostyzy z „Podróży na Wschód“ albo drogę do pasieki z „Beniowskiego,“ metamorfozy Ślaza z „Lilli,“ albo konferencyę między Sforką i Garnoszem z „Horsztyńskiego,“ idyllę książęcej rodziny z „Wallenroda,“ albo rachunki Harmidra i Szewczychy z „Jana Kazimierza,“ porwanie Rzecznickiej z „Niepoprawnych,“ albo dialogi Leliwy i Doliwy z „Krakusa.“ Przykłady możnaby mnożyć, stwierdzając tylko coraz wymowniej, że Słowacki, największy *artifex* w naszej poezyi, we wszystkich swoich dziełach, tak tych, w których „tworzył,“ jak i tych, w których „przypominał,“ bierze rzeczywistość pod szkła, stylizuje ją wedle własnej recepty, doprowadza każdy jej motyw do odrębnego, specyficznego układu. Uważnego czytelnika nie oszuka pozorna prostota, z jaką się można czasem spotkać u Słowackiego. Nawet do punktu sprowadzone, ewangelicznie ubogie obrazy „Złotej Czaszki“ noszą na sobie cechę wyrachowania artystycznego, które z naiwnego elementu wspomnień, odpowiednio tylko przykrojonych i zredukowanych, wydobywa styl piękna osobny. Dla tem pełniejszego wyczerpania kwestyi zapiszę tu, że Mickiewicz, wedle chóralnej opinii tak krytyki, jak masy, największy polski *vates*, trzymał się w stosunku do rzeczywistości taktyki wręcz przeciwnej: jej odłamy rzucał w wiersz niedbale, bez rozmyślnego przetwarzania, obraz za obrazem przerysowując z pierwszych wrażeń,

jak z notat. Dlatego też strofa Mickiewicza uchodzi słusznie za zwierciadło życia naturalne, odbijające bez pochlebstwa czy przygany wszystko, cokolwiek się dostanie w sferę jego wpływów. Strofa Słowackiego natomiast stać się musiała zwierciadłem wklęsłym, takim, które kształty życia zewnętrznego nagina do karykatury, rozumie się stylowej zawsze i poetycznej nad wyraz.

Że Konopnicka, odtwarzając to, co widzi, stawała na stanowisku Słowackiego, nie tak skrajnym tylko może, dowiedzie każdy jej obraz, ściślejszej analizie poddany. Bo idzie w „Balcerze“ już nie o równoległy bieg opowiadania i zdarzenia, idealnie przystających do siebie, ale o kunsztowną transpozycję tego zdarzenia na artykuł sztuki dotykalny, barwny, głośny.

Kucharczyk jeden w krochmalnym berecie
Osiadł go (rekina), jakby kulbakę, okrakiem,
Omoka, że niby na końskim to grzbiecie;
Nuż piętą w boki, nuż po łbie kulakiem
A w tem się porwie rekin i pomiecie...
Chłop z niego! Błady, jak chusta, czworakiem
Klapnął o ziemię, by żaba rozbita...
A ten dopieroż raz chrapnął i kwita! ¹⁾

Wyrabia się zmysłowa predylekcyja dla epizmu, pod której wpływem poeta piłuje nieraz po parnasyjsku najdrobniejszy szczegół, brnąc z opisu w opis, choć akcyja rwie się naprzód. Estetyczny wzgląd na formę staje w poprzek naturalnemu rozwojowi treści. Taki tryb twórczy musiał w poetce podobnie, jak w Słowackim, sparaliżować zdolność narracyjną, bez której nie można złożyć wielkiej epopei.

Co prawda epice Słowackiego nie pozwalał się normalnie rozwijać czynnik nierównie ważniejszy. Oto nie umiał poeta zamknąć się w dziele bez reszty, nie umiał w niem skondensować całego natchnienia. I tak w pierwszej, literackiej epoce twórczości wyobrażnia „narcyzowego franta,“ parta do ciągłego rozmachu, wikłała wiersz w coraz dalsze skojarzenia, w których świetniała, ale i barokizowała się forma. W epoce drugiej, mistycznej, „ponury skald,“ rozgorzały doktryną, depreczający szatana zmysłów, uciekał niemniej z sideł praktycznego życia, wichrowi bożemu dawał się nastrajać, wezbranem lirycznie natchnieniem mącił i niszczył najkompletniej akcyję. Stąd zdarzenie jest u Słowackiego co naj-

¹⁾ Bibl. Warsz. 1892. III, str. 499.

wyżej złem koniecznem: punktem wyjścia do przydługiej tyrazy, albo miejscem odpoczynku dla ducha, padającego po walce na dziurawy sztandar. Epice Konopnickiej nie z tej strony zagrażało niebezpieczeństwo. Owszem! Jej zrównoważona, zbytnich wychyleń nie znająca organizacya pozwoliła się sformować w „Balcerze“ ustępom pierwszorzędnej wagi epickiej. Ustępom, ale nie całości! Całości zaszkodzić musiał estetyzm, punkt ciężkości przenoszący na opisy, nieznanne dawniej smaki i upodobania wznecający w zdrowej naturze poetki. Pod jego naporem Konopnicka, nominalnie gotowa uznać supremacyę treści nad formą, faktycznie nie sili się nawet na stworzenie intrygi jakiegokolwiek, stawiając po sobie najczęściej luźne, genetycznie nie spojone epizody.

Na wzajemnym stosunku tych epizodów odcisnął się znowu wpływ Słowackiego. Nerwy wielkiego poety, wiecznie napięte, drażnione wierszem muzycznie świetnym, wypukłym dzięki obrazowaniu, w ostre, rozkładowe barwy zdobnym—walczyły z ładem kompozytorskim, który rozróżnia między pierwszym polem widzenia a polami dalszemi i wedle szkolnego ceremoniału rozmieszcza w nich materyały, do fabuły należące. Jeżeli po kilkakrotnem, sumiennem odczytaniu „Króla Ducha“ trudno zdać sobie sprawę z jego epickiej zawartości, zszeregować wypadki, związać je w jedną linię rozwojową i oznaczyć ich bezpośrednio następstwo, winna w tem kto wie czy nie owego stempla, który zaciężył nad strofami w jakąś pyszną, ale nieperspektywiczną monotonię zlewając sceny przełomowe z momentami drobniejszej wagi. Konopnicka podobnie, w układzie epizodów, z których powstawał jej poemat, wiedziona względami estetyki krótkowidzącej, zbyt blizkiej obrazów, nie odróżnia współrzędności od podrzędności, przez co psuje co krok i tak nikłą kompozycyę poematu. Rewizya okrętowa,¹⁾ wjazd do portu,²⁾ wywoły o równiku,³⁾ pochód armii mrówczej,⁴⁾ oracya Balcera do komisji⁵⁾ — oto szereg szczegółów, ze szkoda całości wydłużonych, uwagę powyższą żywo stwierdzających.

Zamknąć chcę rubrykę podobieństw między Słowackim a Konopnicką notatą, która odnosi się po części tylko do realistycznego trybu przedstawienia, a mianowicie do motywu wywołującego jego najostrzejsze, nieraz aż przykre dla czytelnika objawy. Myślę

¹⁾ B. W. 1892. IV, str. 447-9.

²⁾ „ „ 1892. IV, „ 460-8.

³⁾ „ „ 1892. IV, „ 451-3.

⁴⁾ „ „ 1901. III, „ 549-50.

⁵⁾ „ „ 1897. IV, „ 442-5.

o tragiczności nastroju, który, rzecz jasna, musiał stworzyć dla siebie odpowiedni wyraz na zewnątrz w technice poetyckiej. Najgłębszy komentator Słowackiego, odmawiając mu praw do ordynarnego realizmu, czyni go nie bezzasadnie „królem tęczowo-krwawego państwa fantazyi.“¹⁾ Określenie „krwawego“ należy w tym wypadku podkreślić. Specyjalna sekcya utworów wielkiego dramaturga, urodzonego po to, żeby nie napisał ani jednego wielkiego dramatu, dałaby dowodów dość na stwierdzenie powyższego sądu. Nie było chyba u nas poety, któryby się tak, jak Słowacki, kochał w tragicznych sytuacjach, czasem aż o perwersyę potracających, stylizowanych z chorobliwym smakiem. Łuna na prawdę „krwawa“ stoi nad obrazami „Srebrnego Snu“ i „Księdza Marka,“ „Poematu Dantyszka“ i „Beatrix Cenci,“ „Mokryny“ i „Horsztyńskiego,“ „Z dziejów W. Nowgorodu“ i „Króla Ducha.“ Innowodny talent Mickiewicza, przedstawiając scenę tragiczną, sycił ją w drodze bezpośrednich skojarzeń współczuciem podmiotowem, oświadczał się po stronie słabszego, etycznie klasyfikował popędy i uczynki bohaterów. Trómaczyć nie trzeba, że w ten sposób łagodniało natężenie tragiczności. Słowacki nie staje nigdy wprost w roli współnika obwinionych i cierpiących. On dyssekuje gorączkowo duszę, do maximum doprowadza jej stany, odrazę mając do skali średniej, do taniej harmoniki światła i cieni, dbały jedynie o przenikliwą potencję grozy, o estetycznie zwarty wyraz z jednej strony okrucieństwa, z drugiej bólu. Na dnie jego utworów pulsuje jakiś nieokreślony, w stany patologiczne zachodzący popęd, który mu każe jednych bohaterów zamuroвывать, innych zakopywać żywcem pod ziemię, jednym wykapywać oczy świecą, innym wydierać je poprostu, tych pławić we wodzie, tamtych, oblanych smołą, podpalać, tych wlec na tortury, tamtych oddawać w ręce kata i znowu zarażać dżumą lub wieszać, dusić albo kłuć sztyltem. Może to ta ściana twórczości, która wedle orzeczeń popularnych teoretyków sztuki, graniczy z psychopatyą.

Mimowoli przychodzi na myśl Salvator Rosa w stylowym kostymie bandyty, napadający na trakcie leśnym przejeźdnego, żeby z jego twarzy zdjąć maskę strachu, żeby ułoić pierwszy, cenny jak dokumenty, ruch pomieszczenia, a potem jedno i drugie przekazać płótnu. Ten pociąg do „straszego,“ którego odwrotną, widzialną stroną były krwawym realizmem zaszłe obrazy, u Słowackiego zagnieżdżony w temperamentie, przeschczepiany, często

¹⁾ Matuszewski: „Słowacki a Shelley“ („Swoi i obcy“) str. 183.

bezmądrze, w obce organizacje, potworzył całe szeregi dziwactw w naszej literaturze. U Konopnickiej da on się przynajmniej uzasadnić niezwykłymi warunkami akcyi, której mimo to w znaczeniu epickim szkodzi. Bo wyrzeźbione sprawnie epizody, z których składa się jej poemat, przygnieść musiał do reszty nieepicki w założeniu tragizim nastroju, z każdej prawie sytuacji buchający. Z burzy i pożaru, z głodu i moru, ze skwaru i ulewy uplotła poetka bicze, którymi pędzi emigrancki hufiec. Górą nieprzekroczoną, morzem zatapiającem, puszcza w chaos drzewny skamieniałą i stepem bezdrożnym prowadzi go. Za wycinanym bezlitośnie sypie co staje mogiły, rozkopywane potem szponem ptasim, czy kłębem zwierzęcym. Ten złowrogi koloryt, od Słowackiego przejęty, wydobywa poemat Konopnickiej ostro z eurytmicznego koła epiki, wieczny ład śpiewającej.

Ale wpływ najdonioślejszy wyszedł nie od kunsztownego poety i nie z pośród pysznych, jak symfonie brzmiących, strof poematu. Lud, któremu pieśń była poświęcona, musiał ją nasycić swojemi barwami, wydartemi z wiecznej kopalni życia.

Dopieroż tu się zapalą te oczy,
 Dopieroż staną te lica w kolorze!
 Ten z czapą jedzie w tył, ten ją w bok tłoczy,
 Ten jak lny biały, tamten jak dąb w korze.
 Lud związły w sobie, żyłasty, roboczy,
 Łeb prosto nosi, jest twardy w honorze,
 A choć po równiach polistych rad siedzi,
 Górny jest, jakby dziś był u spowiedzi.¹⁾

Odpadło rusztowanie intuicyi. Zdumionym oczom objawił się lud, ciosany w granicę prawdy, klasyczny dzięki swojej naiwności, odarty z pawich piór optymizmu. Z Kolbergiem w rękę można się do niego zbliżać, ze wszystkich stron wglądać krytycznie w jego popędy, śledzić nałogi, chwycić śmieszności, podpatrywać cnoty, po to, żeby nakoniec odejść w podziwie. Bo najdrobniejsza rubryka tu oparta na rzeczywistości, szczegół każdy przepisany z teki genialnej obserwatorce. Twarz i gest, ubiór i pożywienie, mowa i temperament, moralność i oświata, zajęcia i urzędzenia—to wszystko, co chłopca robi chłopcem, z natury zdjęte, jak najwierniejsza klisza, tylko wyretuszowane z poetyckim zamachem, podniesione do potęgi wizyi, rozgrzane prądem twórczego współ-

¹⁾ B. W. 92. III, str. 481.

czucia. Czy się bohater Konopnickiej pochyla nad łanem, czy wznosi zrab przyszłej chałupy, czy dzwoni obcasami wśród hucznych ober-tasów, czy okiem płonącym i skamieniałą pięścią grozi przeciwnikowi, czy rozściela się w pokorze krzyżem, czy wśród siarczystych klątw podnosi rokosz, czy wodą święconą oblewa grzeszne ciało noworodka, czy wióry wtyka pod zdrewniałą głowę trupa—zawsze jest ten sam, życiu wykradziony, o organizacyi ulepionej potężnie, każdy atak krytyki zdolny odeprzeć.

Pierwotny spłot warunków życiowych zamknął chłopa w widnokręgu epickim w całym tego słowa znaczeniu. Ten widnokrag, prześwietlający rzeczywistością¹⁾, rozproszająca Konopnicka świetnie dokoła poematu. Wdawać się w szczegóły, dotyczące życia codziennego, niepodobna, gdyż stronnica zamieniłaby się w suchy inwentarz. Wystarczy powiedzieć, że fachowe badanie nie wykryje błędu w masie drobiazgów, bez chęci popisywania się zdobyczami obserwacyi, rzucanych przez poetkę, charakterystycznych zawsze. I im głębiej w sferę wewnętrzną, tem ściślej okazuje się obserwacya. Bania fantazyi, rozbita nad głową chłopa, spłynęła do poematu Konopnickiej w całej zawartości, tak osnowę samą, jak i świat figur poetyckich napajając swoim przebogatym kor-dyałem.

Stąd przedewszystkiem biorą się w Balcerze kreacye fanta-styczne: „anioł“ i „czart,“ „upiór“ i „zmora,“ „skarbnik“ i „dziwo-żona,“ „czarodziej“ i „wiedźma.“

„Anioł“ wyposażony w te same atrybuty, jakie mu przyznaje mitologia ludowa, skrzydlaty,²⁾ odziany w białe lny,³⁾ raz wyjątko-wo w czerwonych szatach,⁴⁾ gra w niebie na gęślikach,⁵⁾ otwiera grób człowiekowi w dzień sądu ostatecznego,⁶⁾ walczy w czasie burzy z szatanem.⁷⁾ Kieruje chórem anielskim Michał Archanioł, najznakomitszy mieszkaniec raj.⁸⁾

Podobnie czytamy u Kolberga: „Anioły wyobraża sobie lud jako duchy, w postaci młodzieńców skrzydlatych, ubrane w szaty

1) Cf. Stanisław Maykowski: „Lud w poezyi M. Konopnickiej.“ *Lud*, Tom XII, zeszyty II i III.

2) B. W. 1900. VI, str. 158.

3) „ „ 1900. VI, „ 354.

4) „ „ 1892. III, „ 505.

5) „ „ 1897. IV, „ 100, B. W. 1900. VI, str. 347.

6) „ „ 1897. IV, „ 98, „ „ 1900. VI, „ 354.

7) „ „ 1892. III, „ 505.

8) „ „ 1892. III, „ 505.

białe lub błękitne...“¹⁾ „W rajskim ogrodzie anioły przechadzały się, przygrywając Stwórcy na rozmaitych instrumentach...“²⁾ „Straszna była wojna niebieska, światło walczyło z cieniami nocy, miecze aniołów ścierały się z sobą...“³⁾ „Nad aniołami z prawej strony Bóg światła dał najstarszego z aniołów, nazwawszy go Archaniołem Michałem...“⁴⁾

Z punktem widzenia ludowego nie godzi się tylko czułośćkość u aniołów Konopnickiej

... To tam musiały ustać w tej godzinie
Wszystkie muzyki rajske, wszystkie chwały,
A te anioły—to na głos płakały! ⁵⁾

Wymyka się ten ustęp z pod kontroli folklorysty, który notuje, że „aniołowie przechadzają się z duszyczkami zbawionemi i uczują w raju, procesyę odbywają, gdzie śliczne ogrody, pachnidła wonne, kwiaty, muzyka i rozmowy różne, że sto lat przechodzi jak jedna minuta i w rozkoszach, w zgodzie, w zabawie czasu nie można przeliczyć.“⁶⁾

„Dyabeł“ chłopski Konopnickiej uczy pewnych rzemiosł,⁷⁾ wstępuje w ofiary jako „złe,“⁸⁾ oniemia ludzi,⁹⁾ kryje się czasem w skórze zwierza,¹⁰⁾ ma konszachty z wiatrem,¹¹⁾ wchodzi w związki małżeńskie z wiedźmą.¹²⁾ A oto analogiczne wyciągi z Kolberga: „W duszę człowieka opętanego dyabeł wejść może różnemi

1) Kolberg: Lud. XVII, str. 80.

2) „ „ VII, str. 4.

3) Ibidem, str. 5.

4) Ib., str. 3.

5) B. W. 1900. VI, str. 347. Cf. pouczającą notatkę profesora Kallenbacha, do Anioła-Stróża z „Dziadów“ odniesioną: „Z punktu widzenia teologicznego możnaby tylko Aniołowi-Stróżowi zarzucić zbytnią wrażliwość („Nateneczas gorzko płakałem, oblicze tuląc w me dłonie“). Św. Tomasz z Akwino zastanawia się nad kwestyą, czy Aniołowie boleją nad złymi postępami tych, których strzegą; dochodzi do wniosku, że Aniołowie nie płaczą nad grzesznikami, jako istoty doskonałe i zupełnej szczęśliwości zażywające...“ (A. Mickiewicz, II, str. 63).

6) Kolberg: Lud, VII, str. 22.

7) B. W. 1892. III, str. 478.

8) „ „ 1892. III, „ 492.

9) „ „ VI, str. 166.

10) „ „ 1897. IV, str. 433.

11) „ „ 1897. IV, „ 437.

12) „ „ 1892. III, „ 500.

drogami, czy to nosem, czy oczami, uszami, ustami, wreszcie każdym innym otworem, jaki sobie na ten cel upodoba.“¹⁾ „Taki człowiek, który za życia nosi w sobie dyabła, bywa bystry, przenikliwy, chytry...“²⁾ „Czasem, chcąc ludzi przestraszyć, przybiera dyabeł postać zwierzęcą. Św. Antoniemu pustelnikowi pokazywał się drapieżnym zwierzęciem lub ptakiem, św. Romualdowi jeleniem, Hilaryonowi liszką... Że wśród czarownic w postaci czarnego kozła ucztuje, to wiadomo...“³⁾ „Jeżeli dyabeł miejscowy przybiera kształty zwierzęce: psa, wołu (czarnego), ptaka i t. d. wówczas nosi ogólną nazwę Mamony...“⁴⁾ Wieśniacy w krakowskim, sandomierskim i innych województwach, gdy wiatr zamiecie piasku w górę wznosi, uważają: „że tak dyabeł kręci“ i nazywają to „dyabli taniec.“ Mazury wiatr gwałtowny Pochwiscielem zowią (wyraz „gwizdać“, właściwie mazowiecki, po naszymu „świstać“—od Pogwizda zdaje się wyraźny brać początek). W lubelskim dotąd trwa przesąd, że zły duch postać wiatru przybiera, dlatego z trudnością zaledwie wieśniaków namówić można do otwierania okien w chatach. W Podlasiu, w ruskich osadach, sielanie, gdy gwałtowne zawiewy wiatru kręcącego i wznoszącego w górę piasek i ziemię obacza, podobnie uważają w tem sprawę dyabła i z niskim pokłonem żegnają się...⁵⁾ „Kiedy burza z wiatrem i śniegiem silnie trwa czas długi, mówią wtenczas, że się dyabli żenia.“⁶⁾ W przysłowiu: Milczy jak zaklęty, dochował się ślad potęgi zaklęć dawnymi czasy, kiedy nawet głosu pozbawiał ludzi.“⁷⁾

„Upiór“ Konopnickiej—to pośmiertne wcielenie człowieka, po nocy błądzące,⁸⁾ o sile nadludzkiej,⁹⁾ tęsknotą ku drogim miejscom przeszłości kierowane.¹⁰⁾ U ludu „upiór jest to człowiek umarły, który skazany po swojej śmierci na wieczne potępienie, w samą tylko północ ma wolność wracać niby do życia, błądzić po ziemi...“¹¹⁾ „Upioru postać, skoro wyjdzie z ziemi, jest daleko większa, jak za życia i siłę posiada nadludzką.“¹²⁾ „bieży on

¹⁾ Kolberg: Lud, VII, str. 52-3.

²⁾ Ibid. str. 55.

³⁾ Kolberg: Lud, XV, str. 199—200.

⁴⁾ „ „ „ VII, „ 40-1.

⁵⁾ „ „ „ XV, „ 184.

⁶⁾ „ „ „ XVII, str. 76.

⁷⁾ „ „ „ XV, „ 55.

⁸⁾ ⁹⁾ i ¹⁰⁾ Bibl. Warsz.

¹¹⁾ Kolberg: Lud, XVII, str. 94.

¹²⁾ Ibidem, str. 95.

w tę stronę, gdzie ma szczególny pociąg przyjaźni lub miłego pokrewieństwa za życia.¹⁾ Epitet „upiorny,” dany przez poetkę księżycowi,²⁾ także ma uzasadnienie w wyobrażeniach ludowych: „Zwykle upiór pokazuje się tylko na nowiu księżyca w noc ciemną, a szczególnie w noc wietrzną, lub przy księżycu w noc pochnurną.“³⁾

„Zmora“ w „Balcerze,” to złośliwy gość, nocami tłoczący pierś chłopa.⁴⁾ Według określenia ludowego, „zmora jest to sąsiad lub sąsiadka zaprzyjaźniona, która skoro północ, przychodzi w kształcie ćmy lub komara, przeciska się przez szczeliny okna i szuka swego ulubionego przedmiotu; włązi do nóg, powoli się na niego rozciąga i aż do piersi ciśnie.“⁵⁾

„Skarbnika“ przedstawia Konopnicka jako opiekuna mitycznych, pod ziemią ukrytych skarbów.⁶⁾ „Sandomierscy górnicy“—wyjaśnia rzecz podanie ludowe—„mówią, iż Skarbnik jest opiekunem wszystkich kruszców w ziemi polskiej... Najmilszem mieszkaniem skarbnika są góry jakieś na Szląsku.“⁷⁾ Bohater imiego podania, zaszedłszy do siedliska Skarbnika, „ujrzał w każdym z czterech kątów skarby: tu kupę dyamentów, tam złota, tam srebra, tam miedzi, których jednak pochwycić nie zdołał, gdyż siła jakaś niepojęta odpychała jego ręce...“⁸⁾

„Dziwożonie“ znowu, najprawdopodobniej pomieszanej z Rusalką, każe poetka kusić przechodnia niebezpieczną, zmysły porywającą urodą.⁹⁾ Nie godzi się z takim sposobem przedstawienia obraz Goszczyńskiego, wiernie z podań tatrzańskich zdejnowany:

Czapki na głowach, w nieladzie włos długi,
Rozwiana odzież, okopciałe lice;
U czapek sterczą bezkwitne paprocie,
A oczy świecą, jak w ciemnościach kocie.¹⁰⁾

Bliższy już jest chyba lotny obrazek Zaleskiego, barwami ludu ukraińskiego malowany.

¹⁾ Ibid., str. 96.

²⁾ B. W. 1900. VI, str. 342.

³⁾ Kolberg: Lud, XVII, str. 96.

⁴⁾ B. W. 1897. IV, str. 91.

⁵⁾ Kolberg: Lud, XVII, str. 99.

⁶⁾ B. W. 1897. IV, str. 296-7.

⁷⁾ Kolberg: Lud, V, str. 42 (przepisane z „Podań“ Siemińskiego i „Powieści Wielkopolskich“ Berwińskiego).

⁸⁾ Ibid., str. 42.

⁹⁾ B. W. 1900. VI, str. 159.

¹⁰⁾ Dzieła Seweryna Goszczyńskiego. Wyd. Brockhousa, 1870, II, str. 15.

Uśmiech... usta... lecz zasłona
 Z rubinowych iskr jutrzeńki
 Skrywa, tłumi boskie wdzięki
 I owiewa białe łona.

„Czarodziej,“ także czarownikiem zwany w poemacie, ma klucze od najwyższych tajemnic bytu.¹⁾ U ludu to „mężczyzna, który prócz przepowiedni i rzucania zaklęć wyższego zakroju zapomocą księgi i nauki o Czarnej Magii dochrapał się czynienia nielegalnych cudów.“²⁾

„Wiedźma“ wreszcie czyli „czarownica“ Konopnickiej warzy w kotle tajemnicze ingrediencye i nie rozstaje się z legendową miotłą.³⁾ Nadto w blizkich stosunkach pozostaje z dyabłem.⁴⁾ Według podania czarownicy „warzą w czasie swoich schadzek w kotłach różne ingrediencye i zioła i przypominają owe gockie „sudnautar,“ przy ofiarach obrzędujące... Miejscami opowiadano sobie, że przy schadzkach zarzynały one do uczyt dzieci, krew ich w mąkę lub popiół zaczynały, a pogasiwszy światła, rozpuście się między sobą oddawały.“⁵⁾ „Główną jest rzeczą aby w pewnych dniach dyabeł je zaprowadził na nocne uroczystości... Wysmarowawszy sobie maścią nogi i pachy i opasawszy się przepaską, dosiadają one kije, grabie, miotły, kądziele, szufle, warząchwie lub ożogi, czmychają przez komin, mrucząc formułkę, ponad górami i dolinami przez powietrze. Maść ta (unguentum pharelis) z ziół, zwykle jednak z tłuszczu zamordowanych niechrzczonych dzieci bywa sporządzaną... Jazda z powrotem podobną jest do podróży poprzedzającej, a małżonek śpiąc obok włożonej tymczasem do łóżka laski, ani się domyśla, co się z żoną dzieje.“⁶⁾ „Z połączenia czarownic z dyabłem nie powstaje żadna ludzka postać, jeno istoty elbiczne, zwane—*dinger, elb* i *holden* w postaci baka, motyla, osy, gąsienicy, robaka, lub owada tajemniczego...“⁷⁾

I pod szkliwem przesądów, powlekającym wszystkie wyobrażenia chłopa, przetapia się najprostsze zjawisko na element cudo-

¹⁾ B. W. 1900, VI, str. 162.

²⁾ Kolberg: Lud, XV, str. 81.

³⁾ B. W. 1900, VI, str. 164.

⁴⁾ „ „ 1892, III, „ 500.

⁵⁾ Kolberg: Lud, VII, str. 228 (według Grimma „Deutsche Mythologie,“ str. 998).

⁶⁾ Ibid. str. 225-6 (wedł. Grimma „D. Myth.,“ str. 1023).

⁷⁾ Ibid. str. 222 (wedł. Grimma „D. Myth.,“ str. 1025).

wności. Element to najczęściej znany z podań ludowych, prowincye i powiaty osnuwających swoją mroczną przędzą.

I tak ścieranie się żywiołów powietrznych tłómaczy sobie chłop Konopnickiej jako zapasy, przez górne wojska staczane. Raz nawet wprost dopatruje się w tym fenomenie walki czystych potęg z nieczystymi, a Michałowi Archaniłowi każe naiwnie nabijać armaty.¹⁾ Co ciekawsze—opisuje Balcer wojnę napowietrzną, w czasie pogody toczoną. Rozumie się terenem jej jest halucynacyja widzów.

... To raz bitwa sroga
Z dwóch stron się nieba nagle zapaliła...
Leciały pułki, lance, chorągiewki,
Przysięgłbyś, słyhać tententy i śpiewki.²⁾

A oto źródło ludowe tego czterowiersza: „Słyszano nieraz zaprawdę mówiących włościan, jak widzieli na powietrzu zapalczą wojnę dwóch nieznanych narodów i tych wojen okropne skutki, rozlew krwi, mnóstwo trupów, a nawet w oddaleniu spadające trupy z obłoków, które jednak za nadejściem ludzi żyjących niknęły i pokrywały się grubą nocą powłoką. Dodają przytem jeszcze, że słyszeli nawet rzenie koni, chrzęst i szelest zbroi, a nawet głosy rycerzy i odgłosy muzyki wojennej.“³⁾

Wichurę, chwytającą bór w wietrzne szpony, wiąże chłopski bohater poematu ze śmiercią wisielca, którego padło ziemia subtelnie wyróżnia.

Wtem Roch:—Toć nieco, tylko tu się dusza
Pokutująca po tym tłucze borze...
A Kos:—Ha, któżby? Nieborak Przytuła,
Wichr setny! Ziemia wisielca zaczuła! ⁴⁾

Ciekawe tu będzie zestawienie z notatą Grimma: „*Hraesvelgr* (skandyn.) znaczy pożeracz trupów, mięsojad; sanskryc. *kravijada* ptak drapieżny, ścierwem żyjący, lubo pojęcie jego ściągać się może i do wiatrów i burz, czyszczących powietrze, unoszących z sobą szkodliwy wyziew niegrzebanych trupów. Czyżby z mnie- mania tego powstała wiara, że gdy się kto powiesi, wówczas pod-

1) B. W. 1892. III, str. 565. B. W. 1897. IV, str. 102-3.

2) B. W. 1892. IV, str. 447.

3) Kolberg: Lud, VII, str. 74.

4) B. W. 1897. IV, str. 437.

nosi się wicher i nawzajem, że wiatr mocny wskazuje wisielca-samobójcę?...“¹⁾

Dzieło śmierci, w tragicznych warunkach na obcym terytorium ścinającej głowy, przypisuje się w „Balcerze“ ziemi wygłodniałej, która pożera ofiary z istic legendarnym apetytem.

Sam Bóg rachował tylko one głowy
Chłopskie, co po śmierć ciągnęły za morze!
W płytkie je rzędem składali my rowy
Pod wapno żywe; po malej więc porze
Kłęsnęła ziemia, pożarłszy te ciała,
I znów głodnemi usty ku nam ziała.*)

Według podania ludowego, „kiedyś smuciła się ziemia nad tem, że ludzie tyle korzyści ciągną z jej płodów, a ona niema się czem pożywić, tylko im wszystko musi oddawać. Zaczęła więc prosić Pana Jezusa, że skoro się każdy trudni przemysłem, aby i jej wolno było zysk jakiś mieć dla siebie. A Pan Jezus powiedział jej tak: „Ty będziesz ludzi rodziła i będziesz ich pożerała: co sama urodzisz, to sama zjesz, bo to twoje.“ Odtąd ludzie stali się jej własnością i dlatego każdy z nas musi po śmierci do ziemi się wrócić i w niej być pochowanym.“³⁾

Uosabiając śmierć samą, nadaje jej chłop kościstą strukturę, suchość podkreśla, tradycyjalną kosę kładzie w ręce.

Idziesz a czujesz, jak śmierć dycha na cię,
Dokładająca pilno swego stoga,
I jak te trawy, których noc nie rosi
Łżą zmiłowania, kosi... kosi... kosi...⁴⁾

Tysiąca bajek i podań, zbliżonych obrazowo, wskazywać nie trzeba!

Z psem, wyjąłym na widok księżyca, łączy chłop Konopnickiej zapowiedź nieszczęścia.

... Wył, jak pies, kiedy na chałupy dachu
Upiorny księżyc wyjdzie z poza chmury
I stanie, albo gdy zaczuwszy w gnachu

¹⁾ Z Grimma „Deutsche Mythologie“ (str. 1025) przepisał Kolberg. Lud. VII, str. 222.

²⁾ B. W. 1897. IV, str. 99.

³⁾ Kolberg: Lud, XIX, str. 198.

⁴⁾ B. W. 1900. VI, str. 338.

Śmierć, ogon stuli pod siebie i wyje,
Jak surmę, długą wyciągnawszy szyję.¹⁾

Analogię następuje notatka Kolberga: „Widziano psa, który się odwracał ku księżycowi, mocno się ku niemu unosił i z całej siły szczekał; mówili, że widzi jakiegoś ducha...“²⁾ Według Grimma „psy dostrzedz mogą widma i duchy; w mitologii skandynawskiej widzą one boginię Hel, w greckiej widzą wraz z Odysseusem zbliżającą się Minierwę (!)“³⁾

Po ziemi rozsiewa fantazya chłopa skarby, gorejące w pewne tylko noce, a strzeżone przez wyższe potęgi.

Już tam jak w skarbcu zaklętym migota,
Już biją tęcze wielkie i grające,
Już kwiatów rajskich woń, już wieją chmury
Ptactwa, w jutrzence maczanemi pióry,
A wszystko nowe, dziwne, jak przysnione
W noc świętojańską, gdy kwitną paprocie.⁴⁾

O komentarz ludowy nie trudno: „Pieniądze lub skarby w ziemi przez łakomców bez niczyjej wiedzy schowane, zostają z woli Bożej oddane pod moc dyabłu...“⁵⁾ Gdzieindziej czytamy: „W dzień św. Jana Chrzciciela kwitnie każdego roku przez godzinę o północy kwiat paproci... Zerwany daje temu, kto go posiada, własność poznania naraz wnętrza ziemi ze skarbami, w niej ukrytymi...“⁶⁾

Niezwykłe powodzenie pewnej jednostki objaśnia bohater „Balcera“ inkluzem, przechowywanym w ukryciu.

Alić z Opaczem pokumał się pędem
Jakiś to łyczek wędrowny po świecie.
Zalatywało od niego złym śwędem:
Cygan nie Cygan, Żyd nie Żyd, at—śmiecie...
Toż to się chłopcy teraz zgrywać rzędem!
Co który pomknie, to płótno w kalecie.
Niewiem, inkluzą miał, czyli wężową
Skórkę, czy tak już nadrabiał sam głową...⁷⁾

¹⁾ B. W. 1900. VI, str. 342.

²⁾ Kolberg: Lud, XVII, str. 130.

³⁾ „ „ VII, str. 234 (Grimm: „Deut. Myth.“ str. 632).

⁴⁾ B. W. 1897. IV, str. 86.

⁵⁾ Kolberg: Lud, VII, str. 61.

⁶⁾ „ „ VII, str. 123.

⁷⁾ B. W. 1892. III, str. 491.

Według podania „takie pieniądze każdy od dyabła może mieć, gdy mu duszę zaprzeda; nazywają je zaś *inkluzy*, to jest: że w nich dyabeł zawarty i są jego własnością; dopóty zaś służy taki pieniądz zaprzedanemu, póki termin porwania jego duszy według umowy nie nadejdzie.“¹⁾

Brama piekieł otwiera się w „Balcerze“ o północy; zaludniając świat złymi duchami.

Siedzim tak, milcząc. Ciężka jakaś głusza
Obeszła serce nam, jak wielkie morze...
Wtem Roch:—Toć nieco, tylko się tu dusza
Pokutująca po tym tłucze borze...
Więc wszystkich nas to niemile zarusza,
Iż źle wspominać rzecz taką w tej porze.²⁾

Podanie wyjaśnia niepokój chłopów: „Czas duchów i demonów, kuszących w nocy, zaczyna się od północy, skoro kur zapieje, a kończy się znów z pianiem kura o godzinie trzeciej.“³⁾

Z respektem wspomina wychodźca polski o czarokwitach, moc nieczystą w sobie mających.

Z traw bucha ogień i w trawy znów nurka
A coraz suchy trzask, jakby kto tknął kurka.
...A to tak dziwne one czarokwiaty,
Po nocy z trzaskiem otwierają kwiaty.⁴⁾

Zieleń to otacza lud istotnie tajemniczą czcią. „Czartowik, czarokwit — wedle Syreniusza (735) dlatego po polsku tak, a po łacinie Cyrce nazwany—że go ta sławna czarownica zażywać miała do swych czarów.“⁵⁾

Znajomość arkanów życiowych najgłębszych, dawką grubego mistycyzmu zaprawnych, ciągnie Balcer z jedynych literackich źródeł, które otacza kultem: sennika i kalendarza.

I. ...Szkoda, że nie miał ze sobą *Sennika*
„Józephowego,“ który był spisany
W Egipcie, a zaś w Łukowie wydany.
Tam wszystkie stoją planety i dziwy,
Co człeku pomódz mogą albo szkodzić...⁶⁾

1) Kolberg: Lud, XVII, str. 107.

2) B. W. 1897. IV, str. 437.

3) Kolberg: Lud, VII, str. 41.

4) B. W. 1900. VI, str. 163.

5) Kolberg: Lud, XV, str. 179.

6) B. W. 1892. IV, str. 450-1.

- II. ... A gdyby każdą rzecz nazwał, to z gęby
 Miałby październik, boć obcy lud klei
 Te miana, plwając je tak, jak otręby.
 A że katolik nie jest, więc je stwarza
 Sam z siebie, zamiast brać to z *kalendarza*.¹⁾

U ludu senniki i kalendarze nie mniejsze mają znaczenie. „Nazwa planet, równie jak ich działanie i wpływy, przeszły na lud z kalendarza.“²⁾ „Bardzo szkodliwy wpływ na lud łatwowierny wywierająca i gorszącej treści jest tak zwana książeczka Romanusa, przetłómaczona ok. 1850 r. z niemieckiego na język polski. Lud, będąc tego przekonania, że co drukowane, musi zawierać czystą prawdę, święcie wierzy wszelkiemu w teźże książce zawartemu głupstwu...“³⁾ „Sny, a stąd wróżby i we śnie przywidzenia, są zażytkiem z najodleglejszej starożytności, wiadome są bowiem sny Józefa w Egipcie, które nie bez sprawdzenia tłómaczonemi były.“⁴⁾

Za najdzielniejszy środek przeciw urokom uważa chłop Konopnickiej węgle rozpalone. Źródłem uroków jest dla niego rozumie się złe spojrzenie...

... Cheiały jej tam baby stare
 Urok odczyniać węglami na wrzątku.⁵⁾

... A kuma kumie na ucho powiada:
 „Jeszcze uroczy... Tfu!... Jeszcze co zada!...“⁶⁾

A oto odnośne wyobrażenia ludu: „Uroku są dwa rodzaje. Albo pochodzi on od człowieka, który ma „złe oczy“ i który na kogo tylko spojrzy, biedy go lub słabości nabawi. Albo od ciot, które go na kogo chcą rzucają przez zamówienia, zaklęcia i inne szatańskie praktyki.“⁷⁾ „Chleb, sól i węgiel chronią od czarów...“⁸⁾

Czasem nad wyobrażeniami chłopu zaważy się cień historyczny, słabego związku z przeszłością dowodzący.

¹⁾ B. W. 1892. III, str. 479.

²⁾ Kolberg: Lud, XVII, str. 180.

³⁾ „ „ XV, str. 120.

⁴⁾ „ „ XVII, str. 119.

⁵⁾ B. W. 1897. IV, str. 448.

⁶⁾ „ „ 1900. VI, „ 172.

⁷⁾ Kolberg: Lud, XV, str. 115.

⁸⁾ „ „ VII, „ 224.

Raz to będzie bliżki, od pól polskich zwycięstw padły, cień Łokietka, śpiącego w Ojcowskich górach:

To ci tak we łbie zakrąży, zamroczy,
 Jakby skarb nagle otwarły ci duchy,
 Co go w Ojcowskich górach skarbnik strzeże,
 Aż przecknie Łoktek ze snu i rycerze.¹⁾

Kiedyindziej dalszy, nadziejami polskiego oręża przywołany na nieszczęsną ziemię cień Napoleona, szykującego miedziane pułki, z gromem armat i błyskawicami sztandarów maszerującego na północ:

Żeby armaty jeszcze, błyski lontu,
 Orły i sztywne, zamarzniete trupy,
 To mógłbyś przysiądz na krzyża ramiona,
 Że to wielkiego armia Napoljona.²⁾

Podanie o śpiących rycerzach krąży u nas w licznych wersjach, odniesione do różnych miejscowości. Podanie, Łokietka dotyczące, ma za sobą głęboki wzgląd historyczny. „Wśród skał (ojcowskich) mnóstwo znajduje się jam i pieczar, z których najdośćniejysz(a) i najwspanialsz(a) (jest) grota królewska, gdzie się miał ukrywać Władysław Łokietek, podczas gdy król czeski na tron jego zasiadał.“³⁾

Pamięć Napoleona przetrwała dotąd w wielu naszych dzielnicach. Tak np. w Poznańskim „pamięta lud, kiedy Francuzi ci, jako przyjaciele nasi (mimo, że własności naszej uszanować nie umieli) ogłosili i naszemu także ludowi wolność i jak ojciec jeden wziął syna wówczas z sobą poraz pierwszy bez opowiedzenia się panu do Poznania, aby tam wspaniale przystrojone wojsko owych Francuzów dobrodziejów mógł oglądać i podziwiać.“⁴⁾

Walniejszą rolę wśród wyobrażeń chłopa Konopnickiej odgrywa żywioł religijny. Naiwny przepych tronu Bożego⁵⁾ i płomieniste Serafy,⁶⁾ Marya w ucieczce do Egiptu⁷⁾ i Chrystus, szu-

¹⁾ B. W. 1897. IV, str. 296-7.

²⁾ „ „ 1901. III, „ 549-50.

³⁾ Kolberg: Lud, V, str. 34.

⁴⁾ „ „ IX, str. 56.

⁵⁾ B. W. 1892. III, str. 494.

⁶⁾ „ „ 1900. VI, „ 158.

⁷⁾ „ „ 1900. VI, „ 350.

kający zbłąkanej owcy,¹⁾ Adam wypędzony z próżniaczego raję na życiowe ratajstwo²⁾ i Łazarz, zawodzący nad bytem,³⁾ prorok z pod figowego drzewa⁴⁾ i święci w różne funkcyę doczesne wprzęgnięci⁵⁾ — oto natrącane co karta obrazy i postacie, chyba dostatecznie wymowne. Że z ludowo-religijnych źródeł poetka korzysta i to w dosłownem znaczeniu, przekonać może choćby scena śmierci Jantosia, odcyfrowana przy końcu z drobnymi zmianami z podania o św. Krzysztofie.

Lecz chłop szedł jeszcze i ona stężała
 Pasyjkę dalej niósł w świat wielki, złoty,
 Aż nagle począł *drzeć!*... Tak go przewiało
 Dmuchięcie ono, co gasi żywoty.
 Zaczem się *zgarbił, twarz podniósł* zczerniałą
 Ku martwej głowie nędznego sieroty,
 I patrząc się w nią, zaszeptał zdumiały:
 „*Dziecko! Jakże ty ciężkie!*... *Jak świat cały!*...“⁶⁾

A oto tekst podania:

„... a Oferus *zgiął się* pod dziecięciem, jak pałag i pierwszy raz uczuł strach i *drzenie*. *Podniósł więc głowę* i rzekł: „*Dziecię, dziecię!* dlaczegoś *ty* tak *ciężkie!* Mnie się zdaje, że *świat cały* dźwigam na moich plecach!“⁷⁾

Zależności chyba wykazywać nie trzeba!

Wiara z podań ustnych i pisanych czerpana, do grubego antropomorfizmu wiodąca, nie szaszkodziła poematowi w znaczeniu epickiem. Chrystyanizm, gdzieindziej herold kosmopolityzmu i mistrz podmiotowego życia, a przez to samo wróg eposu,⁸⁾ u nas dzięki naszemu kresowemu położeniu wszedł niegdyś w układ z narodowością, że zaś potrzebował jej jako przedmurza, więc zrastał się z nią, nabierając przez to i sam wyjątkowego znaczenia—i pozwolił w ognistej „Wojnie Chocimskiej“ i genialnym „Tadeuszu“ zakwitnąć narodowej przeszczerej epice. Do poematów szlacheckich umiał się dostroić i poemat chłopski, żywiołu religijnego nie nadu-

¹⁾ B. W. 1900. VI, str. 161.

²⁾ „ „ 1901. III, „ 555.

³⁾ „ „ 1897. IV, „ 437.

⁴⁾ „ „ 1897. IV, „ 440-1.

⁵⁾ „ „ 1892. III, „ 492-3.

⁶⁾ „ „ 1900. VI, „ 343.

⁷⁾ Kolberg: Lud, XIV, str. 159.

⁸⁾ Gostomski: „Arc. poez. pol. Pan Tad.“ str. 53-4.

zywając z własną szkodą, owszem w ramach życia zewnętrznego go utrzymując.

Wskazałem zaledwie najwięcej rzucające się w oczy punkty zależności poematu pisanego Konopnickiej od żywego poematu wyobrażeń chłopskich. Na wyczerpanie ustawicznej filiacyi z ludem trzebaby łamów osobnego studjum. Zbliżając w poemacie oba bieguny: przedmiotowości i podmiotowości, sycąc każdą postać życiem, a całą akcyę prawdą, zacierając ostre wpływy literackie—ma filiacya z ludem znaczenie ogromne w Balcerze.

Czas kończyć uwagi o eposie, któremu historyk literatury przyznaje „podniosłość, nieznaną w poezyi całego czterdziestolecia prawie.“¹⁾ I istotnie buchalterya literacka nie poszła w sędzie o poemacie za daleko. Saldo, przeniesione do dalszych rachunków, musi się przedstawiać poważnie. Rosnąca z roku na rok poezya Konopnickiej uciekła z pośród zszarzałego, w cztery ściany kultury zamkniętego środowiska. Naciągnięta silnymi popędami ciała, zdrowym prądem dusz owiana, nabrzmięwa potęcną po brzegi strof. Wpychając zaś zbiorowego, ulepionego z tych ciał i dusz bohatera na stos doświadczeń codziennych, oczyszczalnych, dźwiga się sama moralnie.

Wcisnąć Balcera w jakąkolwiek istniejącą kategorię literacką byłoby bezcelowem, choćby z tego względu, że każdy wielki poemat stwarza dla siebie własną, jedynie uprawnioną kategorię. Nie pomogą mu ani nie zaszkodzą okulary krytyka, który szuka w eposie po dawnemu inwokacyi, sekcyi statystycznej poddaje dyalog, mierzy epizody. Przystające do siebie jak trójkąty i jak trójkąty proste dusze ludzi homeryckich ustąpiły dzisiejszej wielobocznej psychologii, modyfikowanej działaniem chwili i dlatego zawilej niesłychanie. To też w monumentalnej manierze homeryckiej nie mógł się pomieścić swobodnie poeta, szarpány nerwami, przyciśnięty potrzebą negacyi. Kanon przedmiotowości wietrzył z dnia na dzień, póki wprawiony w wielki ołtarz literatury, okadzony przez teoretyka dymem adoracyi, nie zaczął budzić czci platonicznej czysto. Chcąc nie chcąc, nowożytny epik musiał sprzeniewierzać się poetyce. Bo inaczej nie wchłonałby w siebie dziś z przetwórczą siłą życia, które trzeba wyśpiewać jutro bez bohaterskich stóp i cezur, zamieniających poezycę w gramofon.

Zresztą nie o etykietę idzie! Etykietę odnieść można do form literackiej przeszłości, nie do fenomenów literatury bieżącej. Idzie

¹⁾ Grabowski: „Poezya polska po roku 63-im,“ str. 212.

o rzecz samą! Dzięki wypukłej swadzie, zadzierzystem gestom i narratorskiemu animuszowi—święci w poemacie Konopnickiej tryumfy epika pierwszej wody. Dzięki nastrojowi wybitnie podmiotowemu, dzięki mistycznemu zabarwieniu ekranu powieściowego, dzięki wreszcie fermentowi uczuć, rozrywających duszę ludzką na sztuki — zdobywa sobie miejsce w poemacie liryka, także pierwszorzędna.

Więc epopeja liryczna, jeżeli się kto godzi na taką nazwę!

Epopeja, bo jędrnie a szeroko, bezpośrednio a potoczyscie, naiwnie a podniośle kreśli kampanię brazylijską. Liryczna zaś, bo bandę chłopską wrzaskliwą, w drelichu chodzącą, pełną ciemnych instynktów, prowadzi przez ogień wielkich zdarzeń, w którym rozgrzane dusze upominają się po raz pierwszy o swoje prawa.

Czyż więcej można wymagać?

STANISŁAW MAYKOWSKI.

Sztuka we Francyi.

Miasto Grasse w Prowancyi, ojczyzna sławnego malarza szkoły francuskiej XVIII wieku, Honoryusza Fragonarda, postanowiło w roku bieżącym wznieść mu pomnik. Ta okoliczność skierowała uwagę zwolenników, oraz historyków i krytyków sztuki na twórczość artystyczną tego okresu. Pan Piotr de Nollhac, konserwator muzeum w Wersalu, pp. Hallays, Michel, de Fourcaud, Dayot i inni zajęli się tym przedmiotem, podając o dziełach Fragonarda spostrzeżenia nowe, lub powtarzając wyrażone dawniej w pismach braci Goncourtów, barona Portalis, F. Naqueta i t. p. W Nizy urządzono z wiosną wystawę Fragonarda, która była wstępem do takiejże, ale nieco więcej uzupełnionej wystawy w Paryżu, którą otwarto w połowie czerwca.

Jednocześnie przypominano sobie innego malarza tego okresu, który, acz mało ma wspólności z Fragonardem, to jednak jest wraz z nim najwybitniejszym przedstawicielem ówczesnej sztuki.

Tym drugim jest Jan-Chrzeciel-Szymon Chardin, którego dzieła wystawione zostały obok obrazów Fragonarda, w Galeryi Georges Petit.

Wystawa Chardin — Fragonard przedstawia wyjątkową sposobność poznania niemal całości dzieła tych dwu artystów, obrazy bowiem, które tam widzieć można, należą w dużej części do kolekcji prywatnych, w zwykłych warunkach dla ogółu niedostępnych.

Przybyły one tutaj na miesiąc z różnych stron świata. Oprócz muzeów Luwru, Szkoły Politechnicznej, Biblioteki Arsenалу i miasta Besançon, użyczyli swych zbiorów Wilhelm II, książę Lichtenstein, Pierpont-Morgan i wielu innych miłośników sztuki, a przede wszystkim Rotschildowie, którzy, ze względu na ilość wystawionych przez nich obrazów, zajmują tu pierwsze miejsce.

Zdawało nam się tedy nie od rzeczy scharakteryzować też w krótkich słowach twórczość Chardin'a i Fragonarda i przypomnieć znaczenie ich w dziejach rozwoju sztuki, a zwłaszcza w tej *epoce* wytwornego zbytku i zepsucia, w której gust wyszukany, ale niezdrowy, nadawał ton, piękne maniery pokrywały brak podstaw moralnych, moda wzniosła się do znaczenia stylu, a sztuka spadła do poziomu mody.

W takim czasie i warunkach sumienna, uczciwa i pełna prostoty sztuka Chardin'a jest zjawiskiem wyjątkowem.

Obok obowiązującej wówczas w sztuce konwencyonalności, prawda życiowa jego obrazów jest szczególnie uderzającą. Od teatralnych pasterek Bouchera, lub mdło-sentymentalnych dzieł wiejskich Greuze'a, jakże silnie odbijają typy Chardina kobiet z ludu, oddających się właściwym sobie zajęciom kuchennym, lub gospodarskim, jak owa „*Récureuse*,” „*Pourvoyeuse*“ i t. p.?

W jaki sposób mógł się on uchronić od przemożnych wpływów ducha czasu i od arbitralnie obowiązujących malarza przepisów, dotyczących się przedmiotu obrazu, jego kompozycyi i traktowania—jestto prawdziwą zagadką. Tłómaczyć to sobie można jedynie siłą jego indywidualności w połączeniu ze szczerem i naiwnem odczuwaniem natury, ale także zapewne i niejakim brakiem wyobraźni, który go zmuszał do odtwarzania przedmiotów i scen otaczających. Według ówczesnych przekonań, artysta powinien był stworzyć wszystko z siebie—wszelkie odwoływanie się wprost do natury, naśladowanie wzorów, które ona przedstawia, uważano dlań za ujmę. Stąd ta powszechna sztuczność u malarzy XVIII w. i w wyborze przedmiotu i w samym sposobie jego traktowania i odczuwania. Zdaje się więc, że temu to właśnie brakowi zdolności, raczej literackich, zawdzięcza Chardin rozwinięcie w sobie zalet czysto malarskich, które mu były wrodzone; gdyby bowiem był w stanie wysnuwać, na podobieństwo swych towarzyszy w sztuce, całą treść swej twórczości z własnej wyobraźni, minąłby się był ze sposobnością tak doskonałego wczucia się w naturę, które stanowi całą jego wartość i byłby zapewne uległ tym samym, co i oni, prądom. Współcześni oczywiście nie potrafili dostatecznie ocenić tej wartości jego dzieła. Malarze wyższych, w pojęciu ówczesnem, rodzajów, nazywali go pogardliwie „*peintre de saucissons et de langues fourrées*,” a krytycy, jak Mariette, ¹⁾ znajdują w jego obrazach wyraz zmęczenia i trudu, dotknię-

1) Abecedario.

cie pędzla ciężkie i neurozmaicone, widzą w jego malowaniu niezdecydowanie, które je czyni zimnem; Diderot zaś, chociaż gorący jego zwolennik, nazywa je szorstkiem i niespojonem, a przedmiot jego obrazów — płaskim i pospolitym. Pomimo to, ta wybornie odczuta prawda życiowa, stanowiąca tak rażący kontrast z konwencyonalnemi kompozycjami, do których się przyzwyczajono, pociągała swą szczerością.

Obrazy Chardin'a podobały się. Świadczy o tem anonimowy sprawozdawca z Salonu 1741 r.: „Niema kobiety z mieszczaństwa, któraby w tem nie poznawała siebie, swego domowego gospodarstwa, swych obyczajów, codziennych zajęć, swej moralności; zabawy swych dzieci, swoich sprzętów i garderoby.“¹⁾ W roku tym wystawił Chardin: „Le Négligé ou toilette du matin“ i „Le Fils de M. Lenoir s'amusant à faire des châteaux de cartes.“ Ale z lat poprzednich znane już były obrazki jego „Le Bénédicité,“ „La Mère laborieuse,“ „La Petite maitresse d'école,“ „La Rôtisseuse de navet,“ „La Pourvoyeuse,“ „Portrait d'une petite fille de M. Mahon, s'amusant avec sa poupée,“ „Portrait du fils de M. Godfroy, joaillier, appliqué à voir tourner un tôteon,“ „La Récureuse,“ „Une ouvrière qui choisit de la laine dans son panier“ i t. p.

Rzeczywiście, jak widzimy już z samych tytułów, obrazy Chardina są wiernem odbiciem życia średnio-mieszczańskiej klasy jego czasu. Nie ulega też wątpliwości, że o ile twórczość Chardina mało ma wspólnego z współczesnym mu kierunkiem sztuki francuskiej, o tyle wiąże się ona ściśle z charakterystycznym malarstwem rodzajowem szkoły flandzkiej i holenderskiej. Też same widzimy u niego sceny z życia ludzi skromnego lub niższego stanu, toż samo odczucie powietrzności wnętrza w głębokich, ciepłych tonach, spokojne stosunki światła i cieniów, ten sam szczerzy realizm widzenia. Widocznem jest jego powinowactwo z Teniersem, van Ostade, Brouverem, Mierisem, Steenem a szczególnie z Kwirynem Brekdenkam, van Heemskerckem, Gerardem Dou i t. p., z tą różnicą, że niema u niego ani śladu tego pierwiastku rozpusty i płaskiej trywialności, który tak ważne zajmuje miejsce w kompozycjach wielu z wyżej wymienionych mistrzów.

Jan-Chrzyciel-Szymon Chardin urodził się w r. 1699 w Paryżu. Ojciec jego, królewski majster stolarski, którego specjalnością była budowa i naprawa stołów bilardowych w pałacach dworskich, przeznaczał syna do tegoż rzemiosła. Ale los inaczej

¹⁾ Słowa te przytoczył p. A. Michel (Chardin—feljeton w J. des Débats).

miał nim pokierować. Jak się to stało, brak ścisłych wiadomości, dość, że Chardin w bardzo młodym jeszcze wieku znalazł się, jako uczeń, w pracowni, wziętego naówczas malarza królewskiego, Cazes. U tego to Cazes, którego zasadą było, że malarz potrzebuje natury wtedy tylko, gdy mu brak geniuszu, Chardin przebył kilka lat na pracowitej, sumiennej i mozolnej nauce rysunku i sztuki malarskiej. Według Marietta, za którym wersję tę powtórzyli Goncourtowie, malarz Coypel powierzył młodemu Chardin wymalowanie strzelby w swym portrecie strzelca i wtedy to właśnie, starając się ściśle przedmiot ten naśladować, miał się on przekonać, że cała sztuka malarska polega na wiernem odtworzeniu kształtów, wypukłości, odcieniów barw, oraz stosunków cieniów i światła i to jakoby miało wpłynąć na wybór rodzaju, któremu z początku wyłącznie się poświęcił.

W czasie owym tylko akademicy, t. j. członkowie Królewskiej Akademii malarskiej, mieli prawo wystawiania dzieł swoich na widok publiczny w kwadratowym salonie¹⁾ królewskiego Luwru. Wszyscy inni, młodzi, lub nieznanymi malarze, musieli zadowolnić się wystawą na wolnem powietrzu, urządzaną co roku w oktawę Bożego Ciała na placu Dauphine. Obrazy rozwieszano na wolnej, zapewne szczytowej ścianie domu, na której miały prawo pozostawać od rana do chwili nadejścia procesyi, a więc wszystkiego kilka godzin.

W takich to warunkach wystawił młody Chardin po raz pierwszy, w r. 1726, na placu Dauphine martwą naturę, przedstawiającą płaskorzeźbę z brązu i odrazu zyskał powodzenie. Rzecz ta tak się podobała słynnemu portreciście van Loo, że zakupił ją dla siebie, ofiarowując za nią cenę wyższą, niżeli żądał artysta. W dwa lata później wystawił Chardin w tem samem miejscu, wraz z kilkoma innymi pracami, znaną obecnie z muzeum Flądre (La Raie), oraz „Châlet des poissons,” dwa obrazki, w których okazał wielką umiejętność w odtworzeniu wrażenia natury. W tymże 1728 r. został Chardin członkiem Królewskiej Akademii, jako „peintre de fleurs, fruits et sujets à caractère.”

O okolicznościach, towarzyszących jego przyjęciu do Akademii istnieje następująca anegdota: przed postawieniem swej kandydatury, Chardin, pragnąc poznać opinię akademików, chciał pokazać im swoje prace i uciekł się przytem do małego podstępu.

¹⁾ Stąd zachowała się dotychczas tradycyjna nazwa „Salon” dla oznaczenia periodycznie powtarzających się wystaw sztuk plastycznych.

Obrazy swoje umieścił w jednej z sal, sam zaś pozostał w następnej. Wyborny malarz ówczesny i akademik de Largillière, przechodząc, zauważył te obrazy, obejrzał je i spostrzegłszy w drugiej sali Chardina, zwrócił się doń w te słowa: „Masz pan tam bardzo dobre obrazki. Muszą to być dzieła jakiegoś dobrego malarza flamandzkiego—niema lepszej szkoły pod względem koloru, niż flamandzka. A teraz pokaż pan swoje prace.“ — „Właśnie przed chwilą widział je pan“—odrzekł Chardin. — „Jako, czyżby te obrazy?...“ — „Tak jest.“

Wtedy Largillière serdecznie mu powinszował i radził, aby się przedstawił. Toż samo powtórzyło się z mistrzem jego Cazes, którego to nawet trochę ubodło, ale wybaczył jednak zaraz niewinne oszustwo swemu uczniowi i sam przedstawił jego kandydaturę. Salony, t. j. wystawy Akademii, były wtedy od r. 1704 aż do r. 1737 przerwane, Chardin więc, pomimo swej godności akademika, pozostał wiernym popularnej wystawie na placu Dauphine, gdzie w ciągu paru lat figurowały wyborne jego płótna, pośród skromnych prac bezimiennych artystów.

W ich liczbie znajdował się też obrazek, wystawiony następnie w Salonie 1737 r., „Une fille tirant de l'eau à une fontaine,“ który zalicza się obecnie do najcenniejszych arcydzieł tego malarza. Od martwej natury, w której osiągnął takiej doskonałości, przeszedł Chardin do interpretowania figury ludzkiej i zaczął od portretu. Do pierwszych jego prób w tym rodzaju, należy, znajdujący się na obecnej wystawie w Galeryi Georges Petit, portret malarza Aved, znany pod nazwą „Le souffleur,“ albo „Chimiste dans son laboratoire“ (ze zbioru p. Pawła Bureau).

Portret ten jest ciężki i nie znać w nim prawie tych wysokich zalet, któremi już odznaczyły się jego martwe natury, a które ujawnić się miały w wyższym jeszcze stopniu w tych doskonałych scenach rodzajowych. Tu wykazał Chardin całe swoje mistrzostwo. Każdy z tych obrazków jest prawdziwem arcydziełem pod względem rysunku, kompozycyi, doboru i harmonii kolorów, stosunków światłocienia, a nadewszystko — wyrazu całości. Chardin nigdy nie podróżował, nie odbył artystycznej pielgrzymki do Rzymu, gdyż nie współubiegał się o nagrodę, która dawała prawo młodym malarzom do dalszych studyów na koszt rządu w „stolicy sztuki“ (prix de Rome). Nie opuszczał zresztą prawie zakątka, w którym mieszkał, przy ulicy Princesse, w pobliżu kościoła Saint-Sulpice, wszystkie też siły jego ducha i umysłu, nie wykolejone przez różnorodne, najczęściej nieodpowiadające naturze artysty wpływy, skupiły się w obserwacyi otaczającego życia

domowego, rodzinnego, typów ulicznych i małomieszczańskich tej ubogiej i cichej części miasta, która po dziś dzień zachowała jeszcze swój staroświecko-prowincjonalny charakter. Sceny te, przedstawione, jak już zaznaczyliśmy, ze szczerą prostotą, z natury swej pospolite, geniusz artysty, polegający na głębokiem odczuciu i umiłowaniu swego przedmiotu i sztuki, mimowolnie i bezwiednie uszlachetnia i idealizuje. Te drobne, po większej części, obrazki Chardina, to dzieła, które nie tracą nigdy swego uroku, zawierają bowiem niezmiennie pierwiastki rzeczywistego życia, odkryte i oddane przy pomocy temperamentu o wyjątkowej wrażliwości. Tem też tłumaczy się ich obecne powodzenie, gdy sztuczne pasterki, któremi zachwycono się w XVIII wieku, lub bezduszne pseudoklasyczne kompozycje następnego okresu, wzbudzają w nas niesmak i nudę.

Te małe arcydzieła są licznie reprezentowane na obecnej wystawie, a wśród nich, jeśli wogóle można robić różnice, bo wszystkie są doskonałe, zwraca szczególnie uwagę należący do zbiorów ks. Lichtensteina obrazek, nazwany w katalogu „La Mère et le fils,“ a wystawiony niegdyś w Salonie 1737, czy 1739 roku, pod ściślej określającym treść jego tytułem: „Jeune écolier grondé par sa gouvernante pour avoir sali son chapeau.“ Obrazek ten odznacza się większą może jeszcze, niż inne, subtelnością harmonii, na którą składają się tony i przejścia niezmiernej delikatności, oraz charakterem sceny, którą przedstawia.

Prócz tego obrazu budzą jeszcze podziw podobnemi zaletami „La Menagère“ i „Le déjeuner préparé“ z tegoż zbioru, a także „Le Dessinateur,“ „L'enfant au tambour de basque“ i „L'ouvrière qui choisit de la laine dans son panier,“ własność pp. Rothschildów. Wogóle dzieła Chardina miały dość zwolenników za granicą. Książę Lichtenstein, będący wówczas ambasadorem w Paryżu, zakupił obraz „La mère et le fils“ za życia Chardina od bankiera Despuechs, dla którego był wykonanym. Między innymi także szwedzki następca tronu obstałował dwa obrazki: „Une gouvernante qui fait réciter l'Evangile à une petite fille“ i „Etude de dessein.“

We Francji zresztą, choć nie trwało to długo, powodzenie jego było znacznem. „Bénédicté“ i „La Mère laborieuse“ król Ludwik XV zapragnął mieć w swoim gabinecie, a sztychy z obrazów Chardina stały się modne narówni ze sztychami Teniersa, Vouvermana i Lancreta. Wszystkie obrazy swoje wykonywał Chardin ściśle z natury, co w oczach krytyków jego było niższością. Mariette przypisuje to niedostatecznej znajomości rysunku, która

miała być według niego powodem, iż od pierwszego szkicu do ostatniego pociągnięcia pędzlem, Chardin musiał mieć naśladowany przedmiot przed oczyma. Faktem jest rzeczywiście, że Chardin żadnych przygotowawczych szkiców do swych kompozycji nie robił, a rysunków pozostawił wogóle bardzo mało, stąd jednak wypadnie wyciągnąć wniosek inny, niż to uczynił Mariette. Chardin, będąc przedewszystkiem malarzem, pojmował rysunek ściśle po malarsku, t. j. w masach i plamach, i dla tego był on dla niego nierozdzielny od malowania, inaczej też niż pędzlem i kolorem traktować rysunku nie potrzebował, czego niejedni mógłby mu pozazdrościć.

Ale i w portrecie okazał Chardin niemiejsze mistrzostwo. Oprócz portretu Aveda, o którym mówiliśmy, wykonał on cały szereg portretów, nadając im najczęściej formę rodzajową przez przedstawienie portretowanych osób wśród właściwych im czynności i otoczenia, jak to widzimy w „Le château de cartes,“ w którym młody Lenoir zabawia się stawianiem pałaców z kart; w „Le tôton,“ w którym znowu syn jubilera Godefroy przypatruje się z zajęciem kręcącemu się na stole bąkowi. W ten sam sposób pojęte są portrety „młodego skrzypka“ (te dwa ostatnie zakupiono obecnie do muzeum Luwru), pani Lenoir w „Instant de la méditation,“ córki p. Mahon w „Inclination de l'âge“ i wiele innych. Powszechnie znane są jego portrety własne, w których bez wszelkiej pretensyi przedstawia siebie dziwacznie ubranym, w rodzaju czepca na głowie z niebieską wstążką, z chustką na szyi i wielkimi, okrągłymi okularami na nosie, co wszystko razem nadaje mu wygląd starej baby. Te jego portrety własne,¹⁾ oraz portret żony jego, Małgorzaty Pougel, są wyjątkowo wykonane pastelami.

Materyałem tym Chardin zwyczajnie nie posługiwał się wcale, pasteli więc jego jest zaledwie kilka sztuk małego formatu główek, a wziął się do tej roboty chwilowo pod wpływem zniechęcenia, wywołanego niesłuszną, wskutek braku pojęcia, krytyką jego dotychczasowego dzieła. Te portrety pastelowe, równie jak inne, odznaczają się doskonałym charakterem, ale pochwały Goncourtów, którzy chcą w nim widzieć nadzwyczajnego mistrza pasteli, wydają się jednak nieco przesadne. Temperamentowi jego niewątpliwie lepiej odpowiadała technika olejna, z której tak subtelne potrafił wydobyc efekty.

¹⁾ Jest ich trzy, z których dwa są własnością muzeum Luwru, trzeci zaś należy do zbioru p. Levy.

Jak już wspomnieliśmy powyżej, Chardin rozpoczął swą karierę malarską od martwej natury i w tym dziale też stworzył arcydzieła niemniejszej wartości. Skromny ten przedmiot swych obrazów potrafił on ożywić, uczynić go interesującym nietyle przez dokładne naśladowanie wzorów, ile przez wyrażenie w nim własnej wrażliwości, która daje się odczuć patrzącym; przez układ, kompozycję, oświetlenie, dobór i kombinację barw i tonów, w których uwidocznia się cząstka piękna przyrody. Te to właściwości sprawiają, że można znaleźć równe zadowolenie estetyczne w takim np. obrazku, jak „Table servie,“ przedstawiającym kawałek kiełbasy na cynowym półmisku, bochenek chleba i kieliszek wina, co we wspaniałej kompozycji Lionarda, lub Rafaela. Takich martwych natur malował Chardin bardzo wiele, a służyły mu za wzór bez różnicy sprzęty domowego użytku, instrumenty muzyczne, przedmioty spożywcze, jako to: jarzyny, owoce, ryby, ostrygi, zabity zając i t. p.

Sceny z życia spokojnego, uczciwego, pozbawionego gwałtowniejszych wzruszeń, a więc nieco monotennie szczęśliwego, w których lubował się Chardin, zdawałyby się być odbiciem jego własnej egzystencji. Stąd też wogóle przypuszczano, że życie jego upłynęło wśród takiego spokojnego szczęścia. Tymczasem w rzeczywistości bynajmniej tak nie było. Przedewszystkiem całe życie walczył on z biedą i niedostatkiem. Sztuka przynosiła mu zyski bardzo drobne, gdy za najlepsze obrazki płacono mu np. 45 liwrów, pod starość też sprzedano za długi dom jego, z którego ciągnął główne dochody. Pierwszą żonę, do której był bardzo przywiązany, stracił młodo, wszystkie dzieci mu poumierły, a jedyny syn, w którym pokładał całą nadzieję, zrozpaczony, iż nie znajdował w sobie talentu, pojechał do Wenecyi i tam zginął, prawdopodobnie samobójczą śmiercią.

Poznawszy te szczegóły, przekonywamy się raczej, że spokojne mury domu przy rue Princesse ukrywały cały szereg smutnych tragedji, a przeto sądzić nam wypadnie, że ciche szczęście, przejawiające się w obrazach biednego mistrza, było dlań niedoścignionym ideałem, do którego wdychał i dla tego to może właśnie włożył w nie tyle uczucia. Co więcej, w samej sztuce nie znajdował Chardin takiego zadowolenia, jakby to można było przypuszczać. Tworzenie nie było dla niego tylko potrzebą i rozkoszą, ale także i prawdziwą męką. Te napozór proste, naiwne i łatwe obrazki, są to w rzeczywistości zadania nader skomplikowane, których rozwiązanie wymaga, oprócz daru wrodzonego, jakim jest czucie artysty, jeszcze głębokiej wiedzy technicznej, su-

miennego, nieustannego i inteligentnego studyowania natury, moliwej pracy. To też Chardin bardzo od siebie wymagający, dla tego samego, że widział i odczuwał głęboko subtelności tej natury, rzadko ze swego dzieła czuł się zadowolonym, a wysokie rezultaty, które otrzymywał, zawdzięczał długiej wytrwałości w walce z materyalnemi trudnościami, żelaznej siły woli dla przeciężenia zniechęcenia i rozczarowań, z którymi co krok w swej pracy spotykać się musiał.

Ze talent jego nie objawił się nagle i samoistnie, lecz rozwijał się stopniowo na podkładzie długich i poważnych studyów, świadczą najlepiej własne jego słowa, podane przez Diderota: „W wieku lat siedmiu, lub ośmiu dają nam do ręki ołówek. Zaczynamy rysować oczy, usta, uszy, nogi i ręce. Długo już zginaliśmy grzbiet nad teką, gdy zasadzają nas przed Herkulesem, lub Torsem i niema nikt pojęcia, kto nie był tego świadkiem, ile łez wycisnął ten Gładyator... Trzeba zaprawić oko do widzenia natury, a iluż to jej nigdy nie widziało i nigdy widzieć nie będzie!... Talent nie rozstrzyga się w jednej chwili.“ Słowa te są zaprzeczeniem dla tych, którzy, sądząc z prostoty jego obrazków, chcieliby się dopatrzeć w nim talentu opatrznosciowego, proroczego geniuszu, który bez wszelkiego przygotowania i nauki tworzy arcydzieła.

Chardin zmarł w Paryżu r. 1779, dożył więc poważnego wieku lat osiemdziesięciu, obejmując swem życiem niespełna cały wiek XVIII.

*

*

*

Fragonard jest z wielu względów przeciwieństwem Chardina. Równie jak i ten ostatni, jest on prawdziwym przedstawicielem swej epoki, ale przedstawia ją z innej strony. O ile Chardin charakteryzuje życie średnich i niższych warstw miejskich w tem, co jest jego treścią, chlebem powszednim, o tyle u Fragonarda znajdujemy charakterystykę życia lekkomyślnego, płochego, powierzchownego, zbyt kownego, świąt i zabaw, od których rozbrzmiewała Francya XVIII-go wieku i w których dwór i możni, zatopiwszy sunienie i samowiedzę własną, pograżyli przyszłość monarchii. Nic też dziwnego, że w kompozycjach Frago-

narda to, co się nazywa „la note galante“ zajmuje miejsce dominujące.

Twórczość jego jest wynikiem rozlicznych wpływów, ale wybitny talent i silny temperament indywidualny uchronił go od popadnięcia w naśladownictwo i konwencyonalizm, chociaż dzieło jego ze względu na przedmiot, który traktuje, nie może być zupełnie pozbawionem sztuczności.

Jak już powiedzieliśmy na wstępie, Fragonard urodził się w mieście Grasse w Prowancyi, r. 1732, jest więc o jedno pokolenie młodszym od Chardina.

Ojciec jego był rękawicznikiem w temże mieście, ale straciwszy mienie w przegranym procesie, przeniósł się wraz z rodziną, dla szukania zarobku do Paryża. Młody Honorusz, liczący wówczas lat czternaście, oddanym został do notaryusza, gdzie go używano na posyłki. Podczas swych obowiązkowych przechadzek po mieście nieomieszkał on wrażliwem swem okiem i usposobieniem obserwować otaczające go życie uliczne. Mając do czynienia w bogatej części miasta, miał on często sposobność spotykać ludzi ze sfer wyższych, uderzało go bogactwo strojów pięknych dam i kawalerów, świetność pojazdów, cały blask i przepych, któremi otaczała się wówczas arystokracja i możni.

Te pierwsze wrażenia wieku młodocianego odbiły się następnie w całej jego działalności artystycznej.

Obrazy w kościołach, dzieła mistrzów włoskiego Odrodzenia w ówczesnej galerii „Palais Royal,“ a szczególnie historia Maryi Medycejskiej w świetnych kompozycjach Rubensa, znajdujących się wtenczas w pałacu Luksemburskim (obecnie w specjalnej sali nowego Luwru), pociągały go nadzwyczajnie.

Pod wpływem takich wrażeń skłonność młodego Fragonarda do malarstwa rozwinęła się. Nie mając jeszcze najmniejszego pojęcia o sztuce, której się chciał oddać, udał się on w towarzystwie matki do pracowni Bouchera.

Ale Boucher, nie życząc sobie mieć ucznia, który, nic nie umiejąc, nie mógł mu być pożytecznym, odesłał go do Chardina, aby nauczył się u niego pierwszych początków rysunku. W skromnej pracowni Chardina nie pozostał on wszakże zbyt długo. Pociągnięty błyskotliwą sławą Bouchera, powrócił do niego Fragonard po kilku miesiącach i u niego już pozostał. Zdolny, zręczny i pracowity, przyswoił sobie bardzo szybko manierę swego mistrza i pozyskał jego względy. We dwa lata zaledwie po wstąpieniu do pracowni Bouchera zapragnął Fragonard wziąć udział w akademickim konkursie o nagrodę „prix de Rome,“ którą zdo-

był po opracowaniu kompozycyji na temat „Jeroboam składający ofiarę bożkom pogańskim.“ Wskutek otrzymania tej nagrody wyjechał młody artysta w r. 1756 do Rzymu.

Nadzwyczajny przeskok od Bouchera do Michała Anioła oszołomił go. Czas jakiś nie wiedział co robić, czuł bowiem ogrom różnicy tytanicznych dzieł kaplicy Sykstyńskiej od zepsutych wzorów, któremi się dotychczas żywił, ale czuł też zarazem, że ani zrozumieć, ani osiągnąć tych szczytów nie jest w stanie. W końcu zabrał się do pracy i powoli odnalazł odpowiednie swemu temperamentowi wzory w dziełach Baroccia, Pietro de Cartone, Tiepola i t. p., ale kopiował też częściowo przeważnie sępią grupy, lub figury z obrazów Michała Anioła, Leonarda, Andrea del Sarto, mistrzów Weneckich i Bolońskich.

W kopiach tych jednakże nie starał się wyrazić ducha oryginału, ale raczej nadawał im cechy własnego indywidualizmu. W pałacu Mancini, gdzie mieściła się podówczas Akademia Francuska, poznał się Fragonard z wykształconym i zdolnym malarzem Hubertem Robert, którego włoskie pejzaże znajdują się teraz obok dzieł pierwszego w muzeum Luwru. Obaj oni oddali się z zapałem studjom pejzażowym, których Frago (takie bowiem dano mu we Włoszech przezwisko, które mu pozostało i nadal), naszkicował bardzo wiele, najczęściej songiną, sępią, lub ołówkiem.

Dość znaczny zbiór tych zręcznych szkiców, wybornie charakteryzujących czarujące widoki włoskich will i ogrodów można było oglądać na wystawie w Galeryi Georges Petit. W Rzymie również spotkał się Fragonard z pewnym młodym księdzem, Abbé de Saint-Non, bogatym i wykwintnym amatorem sztuk pięknych. Był to ksiądz, jakich dość często spotykało się w XVIII wieku, tylko z tytułu i stroju, „abbé seulement par la soutane,“ jak sam mawiał. W rzeczy samej prowadził on życie wielkiego pana-estety o wysokiej kulturze umysłu i smaku. Godność i suknia duchowna, nie krępując go prawie w niczem, były dlań ułatwieniem w jego artystycznych podróżach po Włoszech, dawały mu bowiem wstęp wszędzie.

Ten to Abbé de Saint-Non zabrał obu młodych malarzy do willi d'Este, w której rezydował i z tamąd też pochodzi większa część szkiców pejzażowych Fragonarda. W tych warunkach tak się dobrze działo młodemu artyście, iż poprosił i uzyskał roczną zwłokę ponad przepisany czas pobytu stypendystów we Włoszech.

W końcu, po pięcioletniej nieobecności, powrócił Fragonard do Paryża w r. 1761. Czując się już zupełnie na siłach, zapragnął wejść do Akademii. W tym celu trzeba było przedstawić

kompozycję w wielkim stylu wedle wymagań akademickich, a więc na temat z historii świętej, lub świeckiej, zwłaszcza starożytnej, albo z mitologii. Rzecz taka nie bardzo odpowiadała lekkiemu jego usposobieniu, wahał się też dość długo w wyborze tematu, aż wreszcie znalazł go w librecie opery pod tytułem Callirhoé, zawierajacem historję kapłana Caresusa, który, zmuszony do zabicia na ofiarę pięknej Callirhoé, którą kocha, w chwili, gdy ma dokonać tej krwawej ofiary, przebija własną pierś nożem ofiarnym. Ten też ostatni epizod przedstawia obraz Fragonarda.¹⁾ Jestto kompozycya nawskroś konwencyonalna, wykonana ściśle według formuły, posiadająca wszelkie cechy t. zw. włoszczyzny, czyli zwyrodnienia epigonów Renesansu, a więc brak charakteru, energii—jakąś zniewieściałość w wyrazach i ruchach, sztuczność i poza w całym układzie, przy drobiazgowem, mdłem, bezdusznem wykończeniu. Może właśnie dla tych swoich wad, obraz ten nadzwyczaj się podobał i zgotował swemu twórcy tryumfalny wstęp do Akademii, która uznała w przyjęciu Fragonarda zaszczyt dla siebie.

Ale uczyniwszy zadość wymaganiom akademickich przepisów dla pozyskania potrzebnej sytuacji, porzuca Fragonard ten niewdzięczny rodzaj, w którym natura jego nie mogła się wyrazić, i bez wahania sięga po przedmiot daleko odpowiedniejszy jego temperamentowi. Obraz „L’Absence des père et mère mise à profit,“ przedstawiający młodzieńca, całującego młodą dziewczynę, rozpoczyna całą seryę scen erotycznych, z których większość przekracza zwyczajnie dozwolone granice.

Tu Fragonard jest wreszcie zupełnie sobą i znajduje prawdziwe pole do wykazania swych właściwych zalet. Pomimo śmiałości tematu nie wpada on ani w brutalność, ani nawet nie jest trywialnym. Niektóre z tych obrazków mają zresztą bardzo wiele świeżego wdzięku, jak np. „Le baiser à la dérobée“ i wiele innych. Pomimo maniery zawsze nieco sztucznej, w tych drastycznych scenkach zbliża się on do natury w jej objawach, które najbardziej odczuwa. Jest też w tem rzeczywiście wyraz i energia w ruchach, czasem nawet namiętność i siła.

Tam zwłaszcza, gdzie przedstawia nagości kobiece, uwydatniają się jego wysokie zdolności kolorysty w nader delikatnych modulacyach odcieni barw. Za przykład służyć może pod tym

¹⁾ Muzeum Luwru.

względem: „La chemise enlevée,“¹⁾ obrazek parokrotnie powtórzony, „Les baigneuse,“²⁾ „La bacchante,“ „Gimblette“ i t. p., oraz w poważniejszych kompozycjach, jak np. „La toilette de Venus,“ w których piękność i wytworność kształtów i układu przypomina mistrzów Odrodzenia. W jego sposobie malowania i pojęciu kobiecej nagości znać wpływ, prócz szkół włoskich, także w dość znacznym stopniu—Rubensa. Ten sam u niego typ kobiety pełnej, jasnowłosej, ta sama białość skóry w połączeniu z gorącymi refleksami laki, sienny i cynobru, któremi ją podkreśla. W rysunku tylko, choć zręcznym i swobodnym, nie dosięga on swych wzorów, widać w nim zastosowanie się do pojęć estetycznych epoki, a więc zbytne zaokrąglenie form, cechy chorobliwego zwyrodnienia, które zresztą występują u niego znacznie mniej rażąco, niż u większości współczesnych mu malarzy i są nagrodzone oryginalnością i śmiałością wykonania i kompozycji, oraz świetnym kolorytem.

W scenach erotycznych uprzedzili go już inni, jak Watteau, Lancret i t. p.; ale niema w nich tej naturalnej zmysłowości, która charakteryzuje Fragonarda, w ich obrazach jest więcej poetycznej fantazyi w połączeniu ze sztuczną, teatralną pozą, niż prawdziwej namiętności.

Można się domyśleć, że rodzaj taki pozyskał Fragonardowi licznych zwolenników. Ówczesni bogacze, zwłaszcza bankierzy, intendenci finansów, t. zw. „fermiers généraux,“ rozporządzający, często na własny użytek, dochodami państwa, pośpieszyli dać mu zachętę w obranym kierunku w postaci suto płatnych obstalunków. Tak więc słynny obraz „Les hasards de l'escarpolette“³⁾ wykonał Fragonard dla barona de Saint-Julien, który, jak niesie anegdota, obstalował był najpierw u malarza Doyen tę scenę, którą tak określił: „życzę sobie, abyś pan przedstawił moją metresę na huśtawce, poruszanej przez biskupa, i abyś mnie umieścił w pozycyi, w której mógłbym widzieć łydki tej pięknej dziewczeczki.“ Doyen zgorzsony odmówił. Wtedy baron udał się do Fragonarda, który obstalunek chętnie przyjął i wywiązał się z zadania w sposób tak zręczny i wytworny, iż pomimo niezmiernie drażliwego tematu, uniknął trywialności. Ale bo też „L'Escarpolette“ jest jeszcze obrazem względnie bardzo niewinnym w porównaniu

¹⁾ Muzeum Luwru i kolekcya Rothschildów.

²⁾ Tamże.

³⁾ Kolekcya p. Wallace.

do takich, jak „Le coucher des ouvrières en modes,“ „Le jet d'eau“ i wielu innych w tym rodzaju, oraz dwu rysunków: „Le verrou“ i „L'Armoire,“ ¹⁾ których oryginalność poświadcza sam autor w autografie, wystawionym wraz z niemi na obecnej wystawie. W tych ostatnich, oraz w niektórych scenach pasterskich, nuta rozwiązłości jest daleko silniej zaakcentowaną.

Do kompozycyji erotycznych, ale już w innym stylu, zaliczyć też wypadnie wszystkie wariacje na temat pocałunku. Są to bardzo ładne obrazki o charakterze sentymentalnym, choć nie pozbawionym także pewnego pieprzyku. Oprócz „Le baiser à la dérobée,“ o którym już wspominaliśmy i który jest jednym z wdzięczniejszych z tego rodzaju utworów, należą tu „Le baiser de l'amour,“ „Le baiser de l'amitié,“ „Le baiser dangereux,“ „Le serment d'amour,“ „La Fontaine d'amour.“ Dalej do tejże kategorii wchodzi też drobne, czułe scenki, jak „La jeune fille lisant une lettre,“ „La jeune fille gravant un coeur sur l'écorce d'un arbre,“ „Le sacrifice de la rose,“ „Le billet doux.“

Wielostronność talentu Fragonarda, jego rzutkość i pewność siebie pozwalała mu z równą łatwością traktować i poważniejsze tematy, począwszy od scen z życia rodzinnego i rodzajowych, jak „La mère de famille,“ „Le Contrat,“ „Les Vaches au gué“ i t. p., a skończywszy na kompozycyjach religijnych, z pośród których dwie znalazły się na tegorocznej wystawie: „La Vierge chez Elisabeth“ i „Education de la Vierge.“ W kompozycyjach tych znaczące dobre wpływy mistrzów włoskich, pierwsza zwłaszcza odznacza się prawdziwą pięknnością w wyrazie i układzie. Śliczną jest postać Maryi, skłaniającej się do stóp św. Elżbiety. Również piękną i pełną charakteru jest głowa św. Józefa, pochylona w poważnym ukłonie. Jest w tem rysunek wytworny i zdecydowany, bardzo estetyczny układ skomplikowanych fałd sukien—całość ma wyższy zakrój i połot, pomimo pewnych cech epoki.

Fragonard jest także prawdziwym mistrzem w portrecie. Jego portret Diderota jest rzeczywistym arcydziełem. Wybornie narysowany, ma on nadzwyczajny charakter i wyraz. Jest malowany z zakrojem i w tonach Rubensowskich, ale w traktowaniu szerokiem płaszczyzn, ma coś nowożytnego. Uderzające pod tym względem są też jego doskonałe studia głów męskich w Luwrze, traktowane w podobny, ale jeszcze szerszy sposób.

¹⁾ Zbiór Ed. Rothschilda.

W portretach kobiecych mniej wogóle tej energii, a więcej poddania się wpływowi gustu i mody, z wyjątkiem chyba małego portretu swej żony, którą nazywał: „la caissière,“ świetnie naszkicowanego sepją, bez wszelkiej sztucznej pozy, ale z nieporównanym wyrazem i prawdą. Wesoły i lekki artysta-libertyn cieszył się, rzecz prosta, szczególnemi względami w zakulisowym świecie teatrów, u pięknych kapłanek muz, które już wtenczas potrafiły pozyskać dla swoich wdzięków stanowisko uprzywilejowane. One to, a przeważnie tancerki Opery, dostarczyły mu ponętnych wzorów do licznych portretów, zarówno jak i do wielu obrazków erotycznych. Szczególniej portrety tancerek Colomb i Guinard, na które się rujnowali najbogatsi i najznakomitsi panowie, powtarzają się po kilkakrotnie w różnych pozach i układzie. Jednym z piękniejszych jest portret panny Guinard w białej sukni, z gitarą w ręku, na tle sztucznego pejzażu.

Milionowi finansisci ówczesni mieli zwyczaj budować sobie na przedmieściach Paryża w otoczeniu cienistych ogrodów urocze wille, na które nie żalowali sum prawdziwie bajecznych.

Stąd, jak i ze względu na życie, które w nich prowadzono, powstała dla tych podmiejskich własności nazwa „Folies,“ którą dotychczas noszą niektóre oddalone dzielnice miasta, powstałe na szczątkach wspaniałych parków. Do wymagań dobrego tonu należało ozdabiać mieszkania możnych dziełami sztuki. Ściany pokrywano dekoracyjnemi malowidłami, parki zaludniano posągami. To też wszyscy prawie malarze tego okresu oddawali się temu rodzajowi sztuki. Fragonard przyozdobił swemi pracami wiele takich will i pałaców.

W Galeryi Georges Petit wystawiono kilka jego obrazów dekoracyjnych, mianowicie znaną „Fête de Saint-Cloud,“ własność obecnie Banku Francuskiego, wykonaną niegdyś dla owego barona de Saint-Julien, wraz z „Escarpolette,“ oraz „La danseuse,“ obraz, przedstawiający znowu też samą Guinard, tancerkę Opery, w kostyumie teatralnej pasterki, wykonywującą kunsztowne posunięcia tańca, podczas gdy zaczajony amarek zmierza swą strzałę w jej pantofelek. Płótna te nie mają jednak ściśle dekoracyjnego charakteru. Są to raczej mniej lub więcej powiększone obrazy, bardziej sztuczne od innych, jako natchnione przeważnie przez błyskotliwą fikcyę feryj baletowych, ale posiadające niemniej wiele wdzięku w kompozycyi i kolorycie.

Dla protektora swego i przyjaciela, finansisty Bergeret, malował Fragonard plafony, przedstawiające grupy dzieci w obło-

kach, oraz „Allegoryę sztuk“ — cztery t. zw. trumeaux, któremi udekorowano wspianą siedzibę milionera przy ulicy du Temple. Kompozycję nader oryginalnego pomysłu polecił mu wykonać Courtin de Saint-Vincent. Są to „Les Religions du Monde“: Religia chrześcijańska, Wielkiego Lamy, mahometańska i religia Inkasów.

Pędzla jego są też cztery kompozycje, zdobiące ściany ponad drzwiami (dessus de portes) w pałacu w Louvecienne słynnej du Barry, wykonane na żądanie Ludwika XV: „Les Graces“, „L'Amour qui embrase l'univers“, „Venus et l'amour“ i „La Nuit.“

Ale arcydziełem Fragonarda w tym zakresie są obrazy, znane pod nazwą „Panneaux de Grasse“, które ostatnio wzbudziły tyle zajęcia.¹⁾ Dzieła te są może najprawdziwszym wyrazem jego talentu, składającego się z nader delikatnych odcieni, wytwornego smaku, uczuciowości niezbyt głębokiej, ale bardzo subtelnej. Jestto znowu historia miłości, temat, który charakteryzuje całą jego twórczość, pojęta stosownie do ducha czasu i przedstawiona w pięciu wielkich kompozycjach: „L'Escalade“, „La Poursuite“, „Les Confidences“, „L'amour couronné“ i „L'Abandon.“ Obrazy te wykonał Fragonard w roku 1770 z polecenia tejże du Barry, ale dla niezbadanych bliżej przyczyn pozostały one własnością artysty pomimo, iż wypłacono mu za nie 18000 liwrów. W roku 1791 sprzedał je Fragonard za 3600 liwrów krewnemu swemu nazwiskiem Maubert, zamieszkałemu w Grasse, u którego wówczas, wśród zamieszania i niepewności, które sprowadziła Rewolucya, znalazł gościńcę. Niepospolite te malowidła znajdowały się do niedawna jeszcze w domu Mauberta w Grasse, jako własność jego spadkobierców, dopiero w ostatnich czasach nabył je od nich amerykański milioner Pierpont-Morgan i wywiózł do Anglii. Teraz więc we Francyi można je widzieć tylko w reprodukcji, w postaci sztychu, lub fotografii.

Fragonard uprawiał prawie wszystkie rodzaje sztuki malarzkiej i rysowniczej.

Bardzo ciekawe są jego ilustracje do bajek La Fontaine'a, których skomponował trzy serye. Na wystawie w Nizy znajdowały się te ilustracje, rytowane przez Martiala w liczbie sztuk siedemdziesiąt pięć.

¹⁾ Pierre de Nalhac: A propos des Fragonard de Grasse.

Zbiory jego miniatur wystawiono w Galeryi Georges Petit. W robotach akwafortowych pracował on też wspólnie z księdzem de Saint-Non i Hubertem Robert przy wydaniu przez pierwszego dzieła p. t. „Fragments choisis dans les peintures et les tableaux les plus intéressants des palais et des églises de l'Italie.“

Szkice pejzażów włoskich Fragonarda zostały też odtworzone sposobem akwafortowym przez tych dwu wymienionych artystów, Abbé de Saint-Non i Huberta Robert.

Z wybuchem Rewolucyi, z przewrotem, jaki po niej nastąpił we wszystkich kierunkach, skończyło się powodzenie Fragonarda. Ze zmianą pojęć i dążeń ogółu, jego rodzaj lekki i wytworny, ściśle związany z formami, wymaganiami i duchem upadającej monarchii Ludwików, nie mógł się już podobać w okresie sztuki Davida. Fragonard umarł nagle w r. 1806 w chwili, gdy niepowodzenie i bieda zaczęły mu się dawać we znaki.

Portret jego własny, umieszczony na tej wystawie, pośród jego dzieł, choć prawdopodobnie nie przez niego samego malowany, ukazuje go właśnie w ostatnich latach życia. W wyrazie, pełnym głębokiej i melancholijnej zadumy, widać, że żyje on już tylko wspomnieniami; zmarszczone brwi, boleśnie ściągnięte rysy, złagodzone jakimś nieokreślonym, mimowolnym uśmiechem, zdradzają cierpienia artysty i człowieka, który z nowymi pojęciami i warunkami pogodzić się nie może.

Połączenie Chardina z Fragonardem na wystawie w Galeryi Georges Petit jest tylko przypadkowym i z pewnością powziętym a priori celu przeciwstawienia, lub porównania wartości tych dwu artystów nie miało. Gdy się jednak widzi dzieła ich pomieszczone obok siebie, to porównanie takie mimowolnie się nasuwa. Nie ulega wątpliwości, że wychodząc z punktu ściśle artystycznego, sąd wypadnie na korzyść Chardina, którego szczerość, przy głębokiem poczuciu sztuki w naturze i wielkiem mistrzostwie wykonania, stawia w rzędzie najpierwszych i pociąga ku niemu, gdy zręczność assymilacyjna Fragonarda, jego błyskotliwość i powierzchowność, maniera, w której często prawdę podporządkowuje gustowi chwili i modzie, szczere uczucie — afektacyi, pomimo talentu, który bądź co bądź przebija się we wszystkich jego dziełach, może, zwłaszcza na pierwszy rzut oka, sprawić wrażenie odstręczające. Trzeba jednak dodać na obronę Fragonarda, że na tej wystawie brakowało dzieł jego najlepszych i najwięcej go charakteryzujących. Zresztą, obaj oni, jako uosabiający dwie odmienne strony tej samej epoki w życiu i sztuce

ce, wzajemnie się dopełniają i zasługują z tego względu, każdy w swoim rodzaju, na jednakowe uznanie.

*

*

*

Uczyniwszy zadość wymaganiom chwili bieżącej, która niedawno, dzięki wystawie Chardin — Fragonard, żyła wrażeniami XVIII wieku, pozwoli sobie zająć uwagę czytelników „Biblioteki“ bliższymi wspomnieniami i poświęcić jej pamięci malarza, zdobywającego dopiero po śmierci należne mu w sztuce francuskiej stanowisko.

Mniej więcej rok temu rozstał się z tym światem w Paryżu niezwyklej miary artysta, którego dzieło, przez swą oryginalność i niezależność od wszelkich zarówno nowych, jak i tradycyjnych kierunków w sztuce, stanowi, pośród ogółu produkcji artystycznej naszej doby, zjawisko zupełnie odrębne. Artystą tym jest Eugénus Carrière.

Kto miał sposobność zwiedzać muzeum Luksemburskie w Paryżu, ten niewątpliwie zapamiętał mocno odróżniający się od innych, nagromadzonych tam dzieł, szczególnie suggestywną siłą sentymentu i niezwyklej sposobem jego wyrażenia, obraz Carriera „Maternité“, jego mglistą atmosferę, wśród której, podobne do widziadeł, zarysowują się zgubionemi konturami postacie matki i otaczających ją dzieci.

Ta odrębność, ta charakterystyczna mgła w obrazach Carriera uderza i zwraca uwagę każdego.

Czy jednak każdy go rozumie i odczuwa? Na to pytanie odpowiedź wypadnie przecząco.

Carrière długo pozostawał w cieniu, na uznanie czekać musiał wieku dojrzałego, pomimo, iż dzieła jego noszą niezaprzeczalne cechy geniuszu. Niezależnie od uznania, którego mu odmówić nie było można, liczył on i liczy dotąd, choć mniej śmiałych, poważnych przeciwników.

Wśród ogółu, który mimowolnie dał się pociągnąć tajemniczemu urokowi jego twórczości, nie zrozumiano go.

Czyniono mu zarzut z tego właśnie, co jest treścią jego sztuki, co stanowi jego indywidualność, przez co wyrazić chciał i wyraził o wiele potężniej, niż się to dotychczas komukolwiek udało, prawdziwą głębię uczucia, czyste stany duszy, podane wprost bez

przenośni, bez dotychczasowych konwencyonalnych allegoryj. Krytykowano tedy tę mglistość jego obrazów, nikłość rysów jego postaci, brak koloru, monotonność kompozycyj.

Jak jego dzieło, tak i on sam pozostał odosobnionym. Tylko w szczupłym, ale doborowym gronie jego przyjaciół poznano się na nim, oceniono wartość jego dzieła, zanim ją potwierdziło oficjalne uznanie, nim spadły nań zaszczyty, nim nadeszła sława.

Czemuż jednak przypisać tę niechęć, z jaką przyjęła dzieło Carrière a opinia ogółu, i duża część krytyki, i szczególniej większość samych artystów?

Przyczyny tej niechęci szukać należy przedewszystkiem w samej jego wyższości, w jego indywidualizmie, w tem, że wszystko, co przerasta miarę, co wynosi się po nad poziom, razi przeciętny ogół, ale i w tem także, że dzieło Carrière, pomimo, iż oddziaływa wprost na uczucie, posiada powagę, wymagającą skupienia, zawiera pierwiastki takie, które zmuszają patrzącego do zastanowienia, do pewnej pracy myślowej, której ogół nie lubi, przekładając nad nią błyskotliwą barwność, wdzięk, lub oryginalność układu, a nadewszystko sensacyjność tematu.

Carrière, rzecz można, prześcignął poniekąd pojęcia współczesnych i tem jedynie wytłómaczyć sobie można, iż nie został należycie zrozumianym i ocenionym, nawet przez wiele umysłów wybitniejszych. Ale nawet tam, gdzie go nie rozumiano, wywarł on pomimowoli silne wrażenie i podziw—najwięksi jego przeciwnicy nie mogli mu odmówić uznania niepospolitych zalet, któremi odznacza się jego talent.

Dla nas zrozumienie tak niezwykłego dzieła o tyle będzie łatwiejszem, o ile postaramy się poznać jego twórcę, jako człowieka i jako artystę.

Zarówno warunki, w których żył i obracał się Carrière, jak i wypowiedziane przezeń niejednokrotnie myśli i poglądy na sztukę i jej zadanie, stanowiąc będą dla nas cenne wskazówki.

Powołanie artystyczne Carrière nie objawiło się odrazu. Przyszło ono powoli, stopniowo, trafiając na przeszkody materialnej natury, aż dopiero z większem uświadomieniem młodego umysłu pod wpływem doznanych artystycznych wrażeń, okazało się w całej pełni i zafundowało nim ostatecznie.

Pomimo początkowych studyów w Akademii Strasburskiej, młody Carrière, znając z doświadczenia trudne warunki życiowe, nie miał poważnego zamiaru oddania się zawodowi artysty. Ojciec posłał go do Saint-Quentin na praktykę rzemieślniczą, gdzie wolne chwile spędzał w miejscowem muzeum. Licznie tam re-

prezentowane portrety La Tour'a szczególnie go pociągały i od nich też, jak to sam utrzymywał, więcej skorzystał, aniżeli ze studyów akademickich. Dopiero, gdy wkrótce potem, znalazłszy się w Paryżu, zwiedzał muzeum Luwru, uczuł wreszcie, i to szczególnie pod wrażeniem Rubensa, że sztuka jest mu przeznaczoną, że dłużej swej naturalnej i coraz silniejszej skłonności opierać się nie może. Powziąwszy tedy ostateczną decyzję, wstąpił do paryskiej szkoły Sztuk Pięknych i oddał się studjom malarskim pod kierunkiem Cabanela. Przy braku środków materialnych, te pierwsze lata studyów były dlań bardzo ciężkie. Nadszedł straszny rok 1870. Carrière podążył jako ochotnik ku obronie Ojczyzny i wraz ze swym garnizonem dostał się w Neuf-Brisach do niewoli. Internowany w Dreźnie, odzyskał wolność po zawarciu pokoju i powrócił do przerwanej pracy w Szkole Sztuk Pięknych. Po ożenieniu, w r. 1877, przebył Carrière kilka miesięcy w Londynie i tu miał sposobność zapoznać się z dziełami Turnera. W roku 1879 wystawił w salonie paryskim pierwszy swój obraz „Jeune mère allaitant son enfant.“ Lata 1884 i 1885 przynoszą mu odznaczenia i medale, ale dopiero w roku 1886 i 1889 święci Carrière pełny tryumf, gdy, otrzymawszy najwyższe odznaczenie, medal honorowy, ozdobiony krzyżem legii honorowej, staje w szeregu najpierwszych, oficjalnie uznanych, mistrzów. Odtąd sława jego jest już ustalona. Obrazy: „Maternité“ i „La famille“ dostają się do muzeum Luksemburskiego.

Carrière zyskuje entuzjastycznych wielbicieli i cemych przyjaciół, do których grona wchodzi pierwszorzędną osobistość ze świata literatury i sztuki, a w ich liczbie — słynny rzeźbiarz August Rodin.

Oryginalność twórczości artystycznej Carrièra, która jednych zachwyca, drugich zaś razi, lub jest dla nich niezrozumiała, wynika z jego zapatrywań na świat i życie i z ściśle związanego z nimi pojęcia o sztuce. Carrière jest syntetystą.

Doktryna ¹⁾ jego zasadza się na powszechności praw i stosunków, rządzących w przyrodzie, która jest syntezą wszystkiego.

Człowiek, zarówno jak zwierzę i roślina, jako cząstka przyrody ulega tym samym prawom ogólnym, które go łączą z całością wszechświata; jako typ, stanowi on zarazem skończony wy-

¹⁾ Przynieszone tu światopoglądy Carrièra są wyciągiem z wygłoszonych przezeń przy różnych okazjach mów i konferencyj, podanych przez p. Ch. Morice w studjum jego p. t. „Eugène Carrière“ i p. G. Séailles: „Eugène Carrière, l'homme et l'artiste.“

raz tej przyrody. Przyroda, jako całość wymaga łączności i zgodności elementów, z których się składa. proporcjonalności stosunków, z których wynika jej harmonia.

Jak człowiek, jako typ, jest częstką przyrody, tak też człowiek, jako indywiduum, jest częstką ludzkości, z którą go wiążą niezliczone nierozzerwalne węzły, jest jej wyrazem całkowitym.

Człowiek przeto nie może być oderwanym od społeczności ludzkiej, równie jak gałąź od pnia rodzinnego, bez narażenia na zagładę.

Stąd to wypływa potrzeba ludzkiej solidarności, która jest i była zawsze ideałem wszystkich czasów, jedyną podstawą wszystkich religij i filozofij. Dla tego to ideału ludzkość poniosła nieskończoną ilość ofiar w zwycięskiej walce przeciw barbarzyństwu. Prawdziwość jego znajduje stwierdzenie w pierwszym geście każdego nowego stworzenia, w nieograniczonym zaufaniu dziecka, któremu możliwość gwałtu i zła nie jest jeszcze świadoma; w szczerej, nieskażonej wierze młodzieńczej, która pozwala dokonywać z entuzjazmem najskuteczniejszych wysiłków, aż do chwili, gdy fałszywe doświadczenie przekona nas, że to zaufanie, ta wiara, to tylko złudzenie. Wszystko zresztą dowodzi nam, że solidarność jest bezsprzecznie rzeczywistym i ostatecznym celem ludzkiego przeznaczenia. Z niej to wzięły początek rządzące ludzkością prawa moralne, które w harmonii z prawami fizycznymi i estetycznymi w przyrodzie, są warunkiem jedności wszechświata.

W pojęciach piękna i szczęścia widzi Carrière ścisłą analogię. Oba te pojęcia zależne są od harmonii stosunków, pierwsze — w sferze zmysłów, drugie — w sferze moralnej. Szczęścia tedy nie należy szukać w tryumfach siły materialnej, w zdobyczach nauki, lub przemysłu, ani nawet w szczytnej pracy, jako w drugorzędnych warunkach bytu, przedstawiających względnie małą wartość w porównaniu do pierwiastków życia wewnętrznego, wśród których najważniejszym jest uczucie.

Cała jego doktryna mieści się w tych dwóch wyrazach, „stanowiących podwójny i jedyny cel życia,“ kochać i myśleć, z dodatkiem wiary w powszechność duszy ludzkiej i w ciągłość ludzkiego rodzaju.

Te pojęcia Carrièra, będące wynikiem jego skłonności naturalnych, odbiły się też wyraźnym piętnem na całej jego działalności, jako człowieka i jako artysty. Odnajdujemy je bez trudu w jego pościgu do życia rodzinnego, w jego predylekcyi do wieku i form dziecięcych, do wszelkich objawów miłości macierzyń-

kiej, na których apoteozę złożyło się niemal całe jego dzieło, którym poświęcił przeważnie całą swoją twórczość.

Równie jak jego poglądów, tak i jego sztuki podstawą, jest synteza, uogólnienie. Carrière w swej koncepcyi dzieła sztuki odrzuca wszystkie szczegóły drugorzędne, wszystkie akcesorya, które mogłyby szkodzić wyrazowi jego jedności, zachowując i podnosząc do potęgi cechy główne, zasadnicze, wspólne, typowe i w tem leży cały charakter jego twórczości — jego oryginalność. Mgła, o której tyle mówiono i pisano, z powodu której czyniono tyle zarzutów artyście, jest w rzeczywistości tylko środkiem dla osiągnięcia tego rezultatu.

Ponieważ w przyrodzie człowiek, jako istota najwyższej duchowo rozwinięta, zajmuje stanowisko naczelne, przeto w ścisłej konsekwencyi ze swemi poglądami Carrière dał też w kompozycjach swoich rolę przeważną, a właściwie wyłączną, postaci ludzkiej.

Ale i w człowieku szuka on przedewszystkiem typu, a w nim tych cech ogólnych, które, stanowiąc łącznik pomiędzy nim, a jemu podobnymi, wyrażają ciągłość rodzaju.

Skąpane w tej wibrującej atmosferze, która je otacza, w której toną i giną wszystkie zbyteczne szczegóły, postaci jego robią potężne wrażenie ewokacyi. Ten człowiek, którego obraz odsłania nam geniusz artysty na tle nieskończoności, to nie jakieś pojedyncze indywiduum, to częśćka tej nieobjętej przyrody i zarazem całkowity jej wyraz, to suma nieskończonej ilości istnień, które się nań złożyły, w nim odżywają i przez nieustanne przekazywanie życia unieśmiertelniają się.

Pomimo tego uogólnienia, pomimo odrzucenia wszelkich szczegółów, a raczej właściwie wskutek tego, wydobywa Carrière z indywidualności człowieka w najwyższym stopniu to, co go zasadniczo charakteryzuje.

Ten rys jego geniuszu łatwo sprawdzić można w portretach, które przy tej samej metodzie traktowania odznaczają się tak nadzwyczajnym charakterem i podobieństwem.

Życie jest nie czem innem, jak tylko nieustannem przetwarzaniem się, to też i postaci Carrièra, którego najwyższemu usiłowaniu było odzwierciedlić życie, przedstawiają fazy tego przetwarzania.

Znajdują się one, że pozwolimy sobie użyć tego wyrażenia, „in statu nascendi,“ zdają się każdej chwili wyłaniać z głębin wieczności, aby za chwilę znowu w nich zniknąć — prawdziwy syn-

bol znikomości życia indywidualnego, a jednocześnie nieśmiertelności rodzaju.

Stąd to pochodzi ta pewna pozorna szkicowość, niedokończoność rysów i kształtów tych postaci, ich zgubione kontury. Ale rysunek jego figur ludzkich, pomimo tego pozornego niedokończenia, spoczywa w rzeczywistości na ścisłych i pewnych podstawach.

Budowa ich jest silną, gdyż opiera się na rysach zasadniczych i w tem przypomina rzeźbę, z którą wogóle sztuka Carrièra ma wiele analogii.

Podobnie, jak rzeźbiarz, który mając w ręku masę gliny, musi z konieczności nadać wprzód tej masie ogólne kształty figury, którą chce wykonać, zanim się zabierze do modelowania szczegółów, Carrière traktuje w wielkich proporcjach i masach swoje figury, których rozwój posuwa się w warunkach analogicznych do tych, w jakich się rozwija żywy organizm, przedstawiający w każdej swej fazie skończoną całość. To też może on każdej chwili rozwój ich zatrzymać bez najmniejszej obawy narażenia na szwank całości dzieła i czyni to zawsze, gdy uzyska te cechy, o których uwydatnienie głównie mu idzie.

Dzieło jego jest też w samej rzeczy doskonale skończonem, posiada bowiem w wysokim stopniu równowagę, harmonię i jedność.

Do tej doskonałości zaś doszedł Carrière przez sumienne studyowanie uniólowanej przez się natury, przez głębokie jej zrozumienie i odczucie.

Pomimo to nie jest on realista, natury nie kopiuje, lecz ucieka się do zapożyczenia u niej form i środków, których ona dostarcza po to, aby wyrazić doznane pod jej wpływem uczucia i wrażenia własne.

Tych uczuć i wrażeń własnych, przez ukazanie swego dzieła artysta nam udziela i na tem właśnie polega jego władza nad naszą wrażliwością, cały wogóle urok sztuki.

Dopiero po osiągnięciu takiego rezultatu, zostaje artysta tym „objawicielem prawd niezmiennych“ (initiateur aux vérités permanentes), według własnego określenia Carrièra. Określenie to, nieco pretensjonalnie brzmiące i samo w sobie niezbyt jasne, w zastosowaniu do tego artysty zyskuje na znaczeniu, staje się zrozumiałem. Carrière jest rzeczywiście „objawicielem“ przez to, iż wskazuje nam piękno i poezję tam, gdzie ich zazwyczaj nie dostrzegamy. Zwykła, nawet pospolita scena z codziennego życia rodziny, widziana przez pryzmat jego uczucia, nabiera niespodziewanego uroku poezyi, wydaje się szczególnie wzruszającą.

Takimi są wszystkie jego kompozycje na temat macierzyństwa. Czy mają wyrażać wesołość i radość, czy troskę i ból, lub miłość matki do dziecka, uczucia te potęgują się w nich i zarazem uogólniają, postacie ludzkie uduchowiają się do tego stopnia, iż w oczach patrzącego tracą niemal materyalne kształty, zamieniając się w czyste stany duszy.

Ta matka, składająca pocałunek na czole swojego dziecka, pomimo doskonałego podobieństwa do żony artysty, nie jest jednak panią Carrière, całującą swoje dziecko, ale siłą jego geniuszu, zamienia się w symbol wspólnego całemu rodzajowi, odwiecznego uczucia miłości macierzyńskiej.

Ten sam charakter, naturalnie-symboliczny, przedstawiają wszystkie jego dzieła bez wyjątku, czy to w kompozycjach na tle życia rodzinnego, o których powyżej wspomnieliśmy, czy też zaczerpniętych z życia publicznego, czy w pejzażach i obrazach dekoracyjnych. Symbolizm jego jest naturalnym, gdyż obywa się bez wszelkich form konwencyonalnych, w których przywykliśmy widzieć symbol.

U niego symbol wyraża się za pośrednictwem transpozycji świata materyalnego do duchowego, która jest jego tajemnicą, przyczem doskonałość formy materyalnej służy mu do osiągnięcia w wyższym stopniu wyrazu ducha.

W portrecie okazał Carrière wyjątkową przenikliwość psychologa. Zawsze wierny swej metodzie syntetycznej, chwytą główny rys, charakteryzujący duchową istotę portretowanej osoby, z pominięciem innych, wydobywa go na jaw i podnosi do potęgi, nadając mu przez to nadzwyczajną siłę wyrazu. Chce on przytem i umie wynaleźć w naturze modelu to, co w niej jest wyższem, niepospolitem, co go wyróżnia i uszlachetnia.

Prócz portretów własnych, swej żony i swej rodziny, które są prawdziwemi arcydziełami, Carrière malował wiele najwybitniejszych współczesnych sobie osobistości.

Z kolei wyszły z pod jego pędzla portrety Edmunda de Goncourt, Alfonsa Daudeta, Rodina, Gabryela Séailles z córką, Jana Dolent z córką, H. Rocheforta, Anatola France, Puvisa de Chavannes i wielu innych. Ze zbiorowych, najwięcej znanym jest portret jego własnej rodziny, znajdujący się w muzeum Luksemburskiem.

Wszystkie te portrety odznaczają się temi samemi zaletami uduchowania, ale do szczytu pod tym względem doszedł artysta w portrecie Verlaina, dając, pomimo brzydoty i nawet powierzchownej pospolitości jego rysów, zdumiewająco piękny wizerunek niezwykle subtelnej duszy poety.

Z równem mistrzostwem potrafił też oddać w portretach kobiecych właściwości skomplikowanej i wrażliwej natury niewieściej: jej wdzięk, zdolność do poświęceń, powagę i godność matki rodu.

Przy takim pojęciu portretu, jako obrazu strony duchowej człowieka, nie dziw, iż oczom przypadła w nich pierwszorzędna rola. W ich spojrzeniu widziny, odczuwamy przebłyski myśli nieśmiertelnej, która zdaje się płynąć z nieznanych głębin prabytu do niezbadanych sfer przyszłych przeznaczeń.

Ręce, które traktował ze szczególnem zaniłowaniem, mają też u niego bardzo wiele znaczenia. We wszystkich jego obrazach zauważyć można, jak skutecznie dopomagają do wyrażenia uczuć niezmiernie subtelnie odczute ich kształty i ruchy.

Zarówno z wyrażonych przezeń myśli, jak i z charakteru jego twórczości artystycznej widocznem jest, iż Carrière posiadał temperament w wysokim stopniu uczuciowy, skłaniający się do mistycyzmu.

Wskutek zapewne wychowania w nieznanomości zasad wiary, nie był on wyznawcą żadnej z istniejących religij, ale naturalna skłonność, w braku wiary w prawdy objawione, zmusiła go do stworzenia religii własnej.

Jak to już mieliśmy sposobność spostrzedz powyżej, uwielbienie Carrièra dla wszelkich objawów natury doprowadziło go do panteistycznej koncepcji bóstwa przyrody. Ale sam kult przyrody nie wystarczał mu. Wiedziony instynktem swej uczuciowości znalazł dopełnienie jego braków w chrześcijańskim ideale miłości bliźniego. Poświęcenie, jako wynik tej bezinteresownej miłości, jej forma heroiczna, musiało wywierać szczególny urok na jego wrażliwą wyobraźnię.

Pod wpływem takiego nastroju podjął Carrière temat najwyższej Ofiary na szczycie Golgoty.

Jedyny jego obraz tej treści znajduje się obecnie w muzeum Luksemburskiem.

Kompozycya tego obrazu jest nader prostą: pośrodku płótna krzyż z wiszącym na nim martwym Ciałem Odkupiciela, u stóp jego, znikająca w pomrokach tła, sylweta Maryi pochyla zboląłą głowę.

Brak wszelkich akcesoryj, skupienie światła na torsie i głowie Ukrzyżowanego, zwieszzonej na piersi z wyrazem nieograniczonego cierpienia i zarazem całkowitego dobrowolnego zaparcia się siebie, daje tej nadludzkiej scenie uderzający charakter wizyi

spotęgowanej niezwykle głęboką włożoną w nią przez artystę uczucia.

To też śmiało rzec można, iż dzieło to nie wiele ma równych sobie pod względem natchnienia wśród największych arcydzieł sztuki chrześcijańskiej.

Idąc konsekwentnie coraz dalej w swej metodzie pomijania wszystkiego, co nie stanowi samej treści życia, Carrière powoli pozbywa się efektów barwnych i dochodzi pod koniec do prawie całkowitego ich usunięcia. Używał on wprawdzie w swej paletce całej gamy kolorów, ale po to jedynie, aby z ich kombinacyj wydobyć tę skalę przezroczystych ciepło-szarych tonów, którymi wyłącznie się posługiwał.

Jego bezwzględni wielbiciele chcą w nim widzieć wielkiego kolorystę, na tym jednak punkcie trudno się z nimi zgodzić, nie można bowiem określić szczególną nazwą kolorysty tego, który efekt barwny sprowadził do najprostszego wyrazu. To zresztą bynajmniej artystycznemu honorowi Carrièra nie uwłacza. Niewątpliwie, dla otrzymania tak subtelnych tonów i posługiwania się nimi z takim skutkiem, trzeba doskonale kolor odczuwać; jeżeli tedy Carrière się go wyrzeka, to czyni to z całą świadomością i przekonaniem, stosując się w tem do wymagań swego temperamentu.

Na wstępie powiedzieliśmy, że pomiędzy dziełem Carrièra i produkcją sztuki wogóle niema prawie żadnego związku. Odnośnie do malarstwa jest to ściśłem, chociaż i tu zrobić trzeba pewne zastrzeżenia. W tem, co się tyczy li tylko strony technicznej, Carrière wychodzi z zasad ogólnych i tradycyjnych. Sam często o tem mówił, jak wiele skorzystał ze studyów nad La Tourem, Turnerem, a szczególnie nad Rubensem.

Ale studyować, nie znaczy naśladować. Dokładne poznanie dzieła tamtych, zbadanie, na czem polega ich oryginalność, dopomogło mu tylko do wyrażenia własnej oryginalności. Wśród współczesnych już i inni przed nim wydobywali nastroje z tonów szarych i mglistych, np. Puvis de Chavannes, ale pokrewieństwo sztuki Carrièra z wszelkimi wogóle kierunkami w malarstwie jest bardzo odległym.

Zauważyliśmy już, że technika Carrièra przypomina technikę rzeźbiarza, i w samej rzeczy, dzieło jego najwięcej ma analogii z rzeźbą, wprawdzie nie z rzeźbą zwyczajną, ale z tą wyjątkową, której twórcą jest August Rodin. Obaj ci artyści, obdarzeni równie genialnymi przyniotami, ożywieni jednakową wiarą, wychodzą z tego samego założenia syntezy.

W rzeźbach Rodina poznajemy odrazu tę samą metodę uwydatniania rysów najgłówniejszych z pominięciem szczegółów. Pomimo twardości materiału, z którego są wykonane jego figury, w złagodzeniu i pewnem niedokończeniu form, daje się odczuwać otaczająca je atmosfera, ich uduchowienie; nieokrzesa surowość odłamów skał, z których one wyrastają, przypomina o ich ścisłym związku z całością przyrody.

Mimo tylu cech wspólnych, nie może tu jednak być mowy ani z jednej, ani z drugiej strony, o naśladownictwie, tem bardziej, że twórczość obu mistrzów znajduje wyraz w dwóch odrębnych gałęziach sztuki. Obaj są oni całkowicie oryginalni.

Można nie mieć pociągu do manieri Carriera, która jest wynikiem jego organizacyi psychicznej—kwestya to osobistego upodobania i odczuwania—ale niepodobna nie ocenić nadzwyczajnych zalet jego dzieła; niepodobna nie uznać w nim odkrywcy nowych, niedostępnych dotąd dla sztuki światów, do których geniusz jego otworzył jej drogę.

To wystarcza, aby potomność przyznała mu miejsce w rzędzie tych wyjątkowo obdarzonych jednostek, które siłą swego genialnego indywidualizmu znaczą zwrotne punkty w dziejach rozwoju sztuki.

*

*

*

Jednem z humanitarnych marzeń Carriera i jego przyjaciół było ustanowienie na wzór starożytnych, stale i peryodycznie powtarzających się, wielkich świąt ludowych—„Świąt ludzkich“ (Fêtes Humaines), które prócz dostarczenia szlachetnej i kształcącej rozrywki, miałyby zadanie unoralniające, cywilizacyjne i społeczne, oddziaływałyby przeciw rozpraszaniu się i zgubnemu osamotnieniu jednostki przez przyzwyczajenie mas ludowych do gromadzenia się w chwilach wypoczynku i łączenia się w wspólnej myśli, w wspólnie doznanych wrażeniach.

Ze zgromadzeń takich polityka i wszystko, co ludzi różni, byłoby wyłączone, a organizacya zabaw — powierzona artystom i poetom, na których, jako na prawdziwych świąt tych celebrazjach, spoczywać miał obowiązek rozpowszechniania kultu piękna.

W tym celu zawiązany komitet z Carrièrem na czele, poczynił u władz i narodu pewne kroki, które atoli pozostały bez rezultatu.

Jeżeli jednak „Święta ludzkie“ nie przysły do skutku, to za to, pod wpływem tych szczytnych, a niestety w naszych czasach prawie nieziszczalnych marzeń, powstała jedna z większych kompozycji dekoracyjnych Carrièra „Teatr ludowy“ (Théâtre populaire). Dzieło to posiada w wysokim stopniu te zalety, które zawsze Carrièra charakteryzują, t. j. że przy pomocy środków plastycznych, jakimi rozporządza jego technika, wywołuje wrażenie czysto duchowe, daje psychologię tego tłumu, którego dusza, uśpiona zwyczajnie przy monotonnej, najczęściej bezmyślnej, codziennej pracy, w której nie bierze udziału, tutaj, porwana niezwykłością przedstawienia, wytracona z toru, włączającego ją w szablon życiowy, zbudzona przeblyskiem ideału, do którego bezwiednie tęskni — ujawnia się, wydobywa na wierzch, unosi się po nad tłumem, maluje się na zmienionych wzruszeniem twarzach, świta w blasku wyteżonych oczu... Bo ten tłum bardzo się różni od publiczności, wypełniającej zwykle wspaniałe sale teatrów. gdzie na znudzonych twarzach odbija się przeważnie obojętność, skutek przesytu i nadmiaru krytycyzmu, odbierającego prawie zdolność wzruszenia.

Ten tłum, zebrany w teatrze ludowym, na krytyce się nie rozumie, ale za to odczuwa z siłą, jaką dać może tylko naiwność prostego umysłu i serca. Wartość sztuki małe ma tu znaczenie; ukazanie życia w jego wyższych, szlachetniejszych objawach wystarcza dla skierowania myśli i ducha widzów ku sferom podnioslejszym. Niedoskonałość formy, brak artyzmu w interpretacji — to rzecz drugorzędna. Braki te dopełni i zastąpi szczere wzruszenie, które, jak fala magnetyczna, wstrząsa i przenika zgromadzonych.

Ten tłum, który Carrière ukazuje nam w swym „Teatrze ludowym“, choć najzupełniej współczesny i nowożytny, przez te swoje właściwości ogólnoludzkie, przez prostotę swą i szczerość uczuć, mimowolnie przywodzi na myśl entuzyastyczny lud ateński, który niegdyś, w starożytnym teatrze, pod wpływem podobnych wrażeń i takiegoż uniesienia, oklaskiwał arcydzieła Eschylosa i Sofoklesa, nie przeczuwając zapewne, iż przetrwają one wieki i, mimo różnicy ras i języków, nie utracą swego uroku i znaczenia.

Już to charakterystyczną cechą geniuszu jest, iż nie ulega zniszczeniu czasu, ani, szczególnie w znaczeniu moralnem, gdyż

oddziaływa wiecznie na ducha i umysł ludzki, ani nawet w znaczeniu materialnem, gdyż najdawniejsze arcydzieła sztuki, czy poezyi doszły do nas, jeżeli nie w całości, to przynajmniej w takiej części, że to nam pozwala ocenić ich wartość.

Dzięki temu to dozwolonem nam jest dziś jeszcze podziwiać genialną twórczość tych wielkich autorów tragedyi greckiej, których, zgodnie z zasadą Carriera powszechności ducha ludzkiego, nie bez słusznej dumy uważać możemy za swoich.

*

*

*

Komedyja Francuska, do której tradycyjnych obowiązków należy między innymi zapoznawanie publiczności z repertuarem starożytnego teatru, wystawia od czasu do czasu adaptacje, przeróbki, lub naśladowictwa tragedyi greckiej.

Począwszy od Racine'a i Corneille'a, których dzieła na ten temat są nadto indywidualne, aby je zaliczyć do tej kategorii, takich przeróbek poczyniono we Francyi bardzo dużo, za dużo, gdy się zważy, że utwory te nie dają dokładnego wyobrażenia o oryginałach, są jedynie inspirowane fabułą swych wzorów, którą naśladowcy posługują się wedle własnej fantazyi, nie licząc się wcale, albo bardzo mało, z ich duchem.

Z ostatnich prób tego rodzaju do najlepszych zaliczyć należy graną tej zimy na scenie Komedyi Francuskiej adaptację tragedyi Sofoklesa „Elektra“, dopełnioną przez p. Poizat.

Wielką zasługą p. Poizat jest, iż nie szukając sławy autorskiej, trzymał się najściślej oryginału. Jego adaptacja polega jedynie na skróceniu zbyt przedłużających akcję ustępów i na przystosowaniu jej do obecnych warunków scenicznych, z pozostawieniem bez zmiany treści, kompozycyi i ducha oryginalnego utworu.

I w samej rzeczy, jedynie tak pojęta adaptacja ma właściwą wartość, wszelkie bowiem haftowanie na kanwie starożytnej, przerabianie tych genialnych pierwowzorów dramatu na modłę obecną, zmienia ich prawdziwy charakter, daje o nich pojęcie błędne, jednym słowem najzupełniej chybia celu.

Tłómaczenie p. Poizat jest wiernem i poprawnem, wiersz trochę suchy, ale nie pozbawiony piękności formy i dobrze brzmiący.

Zachodzi teraz kwestya, czy wystawianie w naszych czasach i warunkach starożytnej tragedyi ma wogóle racyę bytu?

Na tym punkcie zdania są podzielone. Są głosy przeciw, z których jedne opierają się na twierdzeniu, że równie nasze pojęcia etyczne, wyrobione na podstawach moralności chrześcijańskiej, jak i kierunek naszej umysłowości, więcej złożonej, tak się różnią od pojęć starożytnych, że utwory ich są już dla nas martwą literą, mają li tylko znaczenie historyczne, nie są więc w stanie ani nas zająć, ani udzielić nam tych wrażeń, których w swoim czasie doznawać mogło zebrane w ateńskim teatrze audytorjum. Według innych, ażeby ocenić te arcydzieła, trzeba by je widzieć grane w oryginale, bez żadnej zmiany i w tych samych warunkach scenicznych, w jakich je niegdyś przedstawiano w Grecyi, przedstawianie ich zaś tak, jak to czyni Komedya Francuska, jest tylko parodią, przynoszącą ujmę ich wielkości.

Ozy w opiniach tych jest słuszność, postaramy się o tem przekonać. Co do ostatniej, to zbyt widoczną jest w niej przesada, aby potrzeba było ją dyskutować.

W pierwszej argumenty wydają się na pozór racjonalniejsze.

Dla przekonania się o ich wartości i wyrobienia sobie w tej kwestyi sądu własnego, zajrzyjmy sami do starożytnego teatru, wybierając w tym celu „Elektrę“ Sofoklesa, która dała nam sposobność zajęcia się tym przedmiotem.

Wyżej przytoczone argumenty znaleźć mogą zapewne uzasadnienie, o ile idzie o Eschylosa, którego dzieła, jako pierwszego rzeczywistego twórcy sztuki dramatycznej, aczkolwiek genialne, są jeszcze bardzo surowe, mają w sobie coś barbarzyńskiego, prymitywnością formy przypominają te cyklopowe z grubą ociosane głązy, w których tkwi zaczątek tak świetnej w następstwie rzeźby greckiej. Akcja u niego jest jeszcze bardzo niewyraźną, a jedynym jej motywem—ślepe, okrutne, nieubłagane przeznaczenie, które rządzi wszechwładnie losami ludzi, a nawet bogów.

Inaczej rzecz się ma z Sofoklesem. Ten, mając sobie utorowaną drogę przez wielkiego poprzednika, posunął się po niej bardzo daleko. Jego tragedia wydobywa się już z mroków cudowności, rozwija się swobodnie, przybiera wyraźne kształty, uwalnia się od nieustannej osobistej interwencji bogów, staje się ludzką.

Przeznaczenie jest wprawdzie i u niego zawsze jeszcze czynnikiem rozstrzygającym, ale działa już za pośrednictwem namiętności ludzkich i uwidocznia się tylko w skutkach, do których one prowadzą.

Tragedye Sofoklesa, to już nie utwory naiwne bezwiednego geniuszu, to kompozycye, zbudowane z całą świadomością i znajomością sztuki, przedstawiające logiczną całość. Akcya ich jest też żywszą, więcej urozmaiconą. Namiętności ludzkie malują się w nich silnemi barwami, co więcej, zarysowują się charaktery bohaterów. Oprócz walki tych instynktownych namiętności z przeznaczeniem, wchodzi tu już w grę rozumowe puczucie obowiązku. Akt zemsty Oresta nie jest jedynie skutkiem ślepej nienawiści, lub interesu, ale wynika również, i to przedewszystkiem, z ówczesnego pojęcia obowiązku względem cieniów zabitego ojca.

W żalach i wywodach Elektry, najzupełniej bezinteresownych, to poczucie religijnego obowiązku, gra rolę główną. wypowiada się najwyraźniej, zwłaszcza w scenie z Chryzotemis.

Toż samo w słowach opiekuna i samego Oresta.

W Elektrze rozwój akcyi, chociaż powolny, jest niemniej ścisły i logiczny, sceny i sytuacje, wybornie skomponowane, stanowiłyby mogły bardzo zajmującą intrygę w znaczeniu dzisiejszem, gdyby nie były, stosownie do reguły, z góry zapowiadziane.

Jak wiadomo, treść tej tragedyi stanowi zużytkowana już przez Eschileasa historia Oresta ¹⁾, syna Agamemmona, zamordowanego przez własną żonę, Klitemnestrę, i jej kochanka, Egista, a raczej historia zemsty, dokonanej przezeń na zabójcach ojca. Główną jednak rolę ma tu siostra Oresta, Elektra, która wypełnia sobą całą sztukę, jest osią, około której obraca się cała akcya. Postać jej jest też zupełnie jasno scharakteryzowaną.

Nie będąc ani współczesnym Sofoklesowi Hellenem, ani wyjątkowo uprzywilejowanym znawcą świata starożytnego, każdy ocenić jest w stanie rysy charakteru tej tragicznej bohaterki, jej siłę woli, męstwo, dumę, a zarazem zawarte w jej duszy skarby uczuciowości. Zupełnie zrozumiała i wzruszająca jest ta nieograniczona miłość córki do utraconego w zdradzieckiej zasadzce ojca, miłość, której ani czas, ani gwałt i prześladowanie ostudzić nie mogą. Z większą jeszcze siłą objawia się jej przywiązanie do młodszego brata, Oresta, którego małym dzieckiem uratowała od czyhających nań morderców ojca. Wyraża się ono szczególnie w przepięknej scenie, w której Elektra, tuląc w objęciach urnę, zawierającą w jej przypuszczeniu popioły Oresta, przemawia do niej najczulszemi słowy w obecności niepoznanego przez nią brata.

¹⁾ Ten sam motyw posłużył później Eurypidesowi.

Podobne też uczucie ujawnia się w jej stosunku do siostry Chryzotemis, pomimo, iż dla tej ostatniej jest Elektra chwilami bardzo surową, a nawet bezwzględną i niesprawiedliwą—wyrzuca jej słabość, opuszczenie obowiązku, nieledwie zdradę, którą jakoby popełnia Chryzotemis względem pamięci ojca-bohatera, aby korzystać z łaski jego okrutnych i nikezemnych zabójców.

Ona, Elektra, obowiązku tego nie zapomina ani na chwilę, oczy jej nie przestają wylewać potoków łez, myśl — snuć planów zemsty. Woli nędzę w więzieniu, niżeli przepych pałacu i sutą zastawę przy stole tych, którym winna nienawiść i pogardę. Dniem i nocą oczekuje też mściciela wybawcy. Gdy więc ukazano go jej pod postacią garstki popiołu, żal okrutny popycha ją do rozpaczliwego postanowienia, by uzbroić słabą dłoń dziewiczą i samej dokonać straszego czynu kaźni, którego przeznaczenie nie dozwoliło wykonać jej bratu. Chryzotemis nie ma tego hartu duszy Elektry i mimo jej wezwania, nie czuje się na siłach do współdziałania w zadaniu, w którego możliwość zresztą nie wierzy — odmawia siostrze i zaklina ją, aby zaniechała zamiaru. który narazić ją musi na pewną zgubę.

W tych dwóch siostrach widzimy bardzo szczęśliwe zestawienie dwu różnych charakterów i temperamentów.

Gdy szlachetności Elektry towarzyszy gwałtowność i bezwzględność, słaba Chryzotemis, nie pozbawiona jednak bynajmniej uczuć szlachetnych, odznacza się prawdziwie niewieścim wdziękiem i słodyczą.

Postaci zbrodniczej żony i wyrodnej matki, Klitemnestry, nadał autor cechy wyniosłej złościwości i hipokryzyi, która przebija w wyrzutach, czynionych Elektrze, w usprawiedliwianiu się z popełnionej zbrodni, wreszcie w ofiarach składanych cieniem Aganemnona, przy pomocy których chce go oszukać, aby nie dręczył jej we snach, a bardziej jeszcze w modłach do Apollina, by przy jego pomocy zapewnić sobie bezkarność.

Pomimo wszystko, uczucia macierzyńskie nie wygasły w niej zupełnie. Stąd pochodzi pewna pobłażliwość, z jaką pozwala Elektrze oskarżać siebie, stąd też pierwszym uczuciem, którego doznaje na wiadomość o zgonie Oresta, jest żal. Jakże głębokiem i trafnem jest jej określenie łączącego matkę z dzieckiem nierozzerwalnego związku, którego siła jest tak wielką, iż cios zadany synowi odzywa się strasznym bólem we wnętrzościach matki.

Klitemnestra, to także bardzo dobrze naszkicowany obraz zbrodniarki, dręczonej przecuciami i zgryzotami, które uosabiają jej córki, a zwłaszcza Elektra; żyjącej w nieustannym strachu przed

zasłużoną karą, której groźbą jest dla niej istnienie Oresta. To też, pomimo bólu, którego, jako matka, doznać musiała, wiadomość o jego śmierci sprawia jej niezmierną ulgę, która przechodzi wkrótce w szaloną radość.

W zmyślonej przez starego opiekuna opowieści o wypadkowej śmierci Oresta, która sama w sobie jest świetnym ustępem epickim, znajdujemy główne rysy tej postaci bohatera. W scenie z urną, gdy ten ostatni wyjawia Elektrze swą tożsamość, prócz wzajemnego ich przywiązania i uczuć wdzięczności dla oddanego im opiekuna, uwydatnia się podobieństwo ich charakterów: takież u Oresta poczucie obowiązku, w imię którego nie waha się, wprowadzić pod osłoną rozkazu Apollina, posunąć się aż do najokropniejszej zbrodni — matkobójstwa.

A ten opiekun wierny, dzielny, oddany synowi swego pana, któremu służy mądrą i doświadczoną radą, czyż to nie typ bardzo prawdziwy?

Elektra, Chryzotemis, Klitemnestra, Orest i opiekun — oto postacie działające w tej tragedyi, które starożytny autor uwydatnił z wypukłością rzeźby, dając każdej z nich cechy indywidualne. Co do Egista, to wiemy o nim od Elektry i od chóru, iż jest zniechęconym tyranem, ale na scenie zjawia się on tylko po to, aby ponieść karę za swe zbrodnie. Pylades, towarzyszący Orestowi, jest postacią milczącą, chór zaś dziewic, prócz swej roli objaśniania akcji, ma też znaczenie, jako wyraz opinii ludu, sympatyzującej ze słuszną sprawą potomstwa Agamemnona, ale odzywającej się nieśmiało i ostrożnie z obawy przed zemstą tyrana.

Jak powiedzieliśmy wyżej, akcja tej tragedyi jest nader zwięźle przeprowadzoną, sceny są rozmyślnie tak rozmieszczone, aby wydobyć z nich pożądany efekt, aby, przez odpowiednie zestawienie występujących osób, zaznaczyć ich kontrasty, podkreślić właściwości charakteru i temperamentu każdej z nich. W ten sposób kombinują się następujące po sobie sceny Elektry z Chryzotemis i Klitemnestry z Elektrą. Prawdziwie dramatycznym nastrojem odznacza się następną, już więcej złożoną, scena, gdy, po ofierze Klitemnestry u stóp statuy Apollina, przybywa niepoznany od nikogo opiekun Oresta, aby donieść zmyśloną wiadomość o jego śmierci, która tak różne wrażenie sprawiła na matkę i córkę. O piękności patetycznej sceny z urną mówiliśmy już przedtem — obecność Oresta przy żalu Elektry jest tu niepospolitym efektem dramatycznym.

Dowód wysokiego poczucia taktu, gustu i delikatności dał Sofokles, czyniąc niewidzialną okrutną scenę zabójstwa Klitemnestry i wydobyl iście wyrafinowany efekt w ostatniej scenie, gdy Egist, spodziewając się ujrzeć pod zasłoną trupa Oresta, spostrzeżga z przerażeniem, po jej odsłonięciu, zwłoki swej małżonki.

Sądźmy, iż ten krótki rozbiór „Elektry“ wystarczy, aby przekonać się, iż tragedia starożytna, a szczególnie tragedia Sofoklesa, jako prawdziwie ludzka, jest dla nas najzupełniej dostępną i zrozumiałą, uczucia bowiem, namiętności i wogóle cechy, charakteryzujące jego bohaterów, nie są zależne ani od czasu, ani od miejsca, ani od różnic rasy i kultury, są niezienne, od natury ludzkiej nieodłączne, bez względu na wszelkie zmiany zewnętrzne.

Żadna kultura, żadna religia zasadniczej zmiany w istocie natury ludzkiej nie dokonała i dokonać nie może. Moralność chrześcijańska, stawiając miłość, jako najwyższe prawo, uczyniła najwięcej dla okiełznania zwierzęcych instynktów człowieka, dla złagodzenia obyczajów, dla wyzwolenia i podniesienia ku wyższym ideałom ducha ludzkiego, ale w gruncie rzeczy zasadniczych, wrodzonych pojęć moralnych nie zmieniła.

I rzeczywiście, co było cnotą dla starożytnych, z nielicznymi wyjątkami pozostało nią i dla nas.

W Elektrze razi nasze pojęcia etyczne, właściwie tylko obowiązek krwawej zemsty, tembardziej, że tej zemsty dokonać mają dzieci na własnej matce, ale rozróżnić tu trzeba zrozumienie obowiązku od samej jego zasady — gdy nie możemy zgodzić się na obowiązek zemsty, to za to najzupełniej rozumiemy i cenimy poczucie obowiązku, jako obowiązku, nie wchodząc bliżej w jego naturę. Nie trzeba przytem zapominać, iż w Elektrze zachodzi szczególnie tragiczna komplikacja, z której wynika, że w danym wypadku obowiązek jest zbrodnią, a zbrodnia obowiązkiem i tu widzimy straszny wyrok przeznaczenia, skazujący na zagładę niešťczęsny ród Atrydów.

Ale to przeznaczenie, jak już zauważyliśmy, nie jest siłą, działającą z zewnątrz, lecz objawia się w fatalnych namiętnościach członków tego rodu, które ich popychają do zbrodni i wzajemnego wyniszczenia się.

Dla nas łatwo się ono tłómaczy skutkami, jakie pociąga za sobą wszelki czyn niemoralny, wszelka zbrodnia. Zresztą przy nowoczesnych teoriach determinizmu i dziedziczności, według których wola człowieka jest ograniczoną niezależnymi od niej czyn-

nikami, ta wiara starożytnych w przeznaczenie staje się tem bardziej umysłowości naszej dostępną.

Po wszystkim tedy, cośmy tu o właściwościach starożytnej tragedyi powiedzieli, zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż wystawianie w naszych współczesnych teatrach arcydzieł greckich autorów jest uzasadnionem i pożytecznem, z tem jednak zastrzeżeniem, aby tłumaczenia i adaptacye, możliwie najwierniej trzymając się oryginału, nie wynaturzały go przez dodatki, upiększenia, lub naginanie do form nowoczesnego dramatu.

Pod tym względem adaptacya p. Poizat, który dołożył wszelkich starań dla uwydatnienia zalet oryginału, służyć może za wzór.

Prócz kształtującego znaczenia podobnych przedstawień, dostarczają nam one niewysłowionej rozkoszy, dając możność osobistego sprawdzenia w sposób więcej przemawiający i przekonujący, aniżeli czytanie tekstów, tej nieśmiertelnej jedności ducha ludzkiego, która pozwala nam teraz, po dwudziestu kilku wiekach, korzystać jeszcze z ówczesnych jego tworów; niepożytej jego potęgi, która, mimo takiego oddalenia, jest w stanie działać zawsze na nasze uczucia, nadawać kierunek naszej myśli i złączyć nas w niej z tymi, których jesteście duchowymi dziedzicami.

Komedia Francuska wystawiła „Elektrę“ nader starannie, artyści odegrali ją z pojęciem i przejęciem, zwłaszcza rolę tytułową (Elektry) odtworzyła pani Silvain z wielkim artyzmem i odczuciem, umiając, pomimo namiętnych wybuchów, zachować bardzo trudną do utrzymania, właściwą miarę.

KONRAD OSTROWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

ALEKSANDER BRÜCKNER. *Dzieje języka polskiego*. Z 121 ilustracyami. Wydawnictwo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie „Nauka i Sztuka.“ Warszawa, E. Wende i S-ka.

Nie często w piśmiennictwie naszym zjawiają się książki, po których przeczytaniu sprawozdawca literacki może powiedzieć: oto jest dzieło, które powinno znaleźć się w każdej bibliotece prywatnej, które powinien wziąć do ręki każdy, kto czuje, myśli i mówi po polsku.

Do takich wyjątkowych książek należą niewątpliwie „Dzieje języka polskiego,“ opracowane świeżo przez prof. Brücknera, a wydane w pięknej szacie przez lwowskie Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych.

Książki takiej nie mieliśmy jeszcze, a była nam bardzo potrzebna, tem potrzebniejsza, że wiele zazwyczaj lubimy mówić o czystości i poprawności języka, a zbyt mało czynimy dla ich utrzymania.

W kwestyach etymologii i składni polskiej jesteśmy bardzo często zupełnymi ignorantami. Mówimy i piszemy, jak nam się zdaje, bez względu na to, że nieraz zdaje nam się źle. Stąd błędy w naszym języku utrwalają się i mnożą przerażająco szybko.

Kto kocha swój język i kto go rzeczywiście gruntownie posiada w całym zakresie jego bogactw nieprzebranych, ten, na mocy własnych doświadczeń, zebranych tylko w kole najbliższych sobie ludzi, stwierdzić może, jak źle, jak niedbale mówią i piszą u nas jednostki, nawet wykształcone. Niejedną też smutną pod tym względem uwagę mogliby wypowiedzieć redaktorowie czasopism polskich, gdyby zechcieli zwierzyć się kiedykolwiek ze wszystkich swoich kłopotów, jakie niejednokrotnie nastęrcza im

przygotowanie rękopisów do druku. Zwłaszcza w dziennikarstwie język nasz terany jest i psuty niemiłosiernie, nie bacząc na to, że to samo dziennikarstwo, w poczuciu swoich obowiązków, szarpie często za dzwon alarmowy i nawołuje do większej zgody z duchem języka.

Niestety, nawoływania te nie odnoszą skutku. Czterdziestoletnie działanie szkoły rosyjskiej w Królestwie Polskiem, a z górą stuletnie wpływy języka niemieckiego na polszczyznę dwóch innych dzielnic—Galicyi i Poznańskiego—zrobiły swoje. Wrażliwość nasza stepiała, liczne chwasty wyrosły i rozkrzewiły się bujnie na zagonach naszej mowy i przestaliśmy w niejednym wypadku zdawać sobie sprawę z tego, co jest dobre, a co złe. „Puryści“ wpadają w przesadę i radziby usunąć z języka wszystko, co im, osobiście, wydaje się fałszywe i błędne; nie puryści— a tych jest olbrzymia większość—idą śmiało w las barbaryzminów i dziwotworów językowych, tracąc zupełnie świadomość swoich ciężkich grzechów, popełnianych na każdym kroku.

Tworzy się zamęt, chaos, wieża Babel—a nad tem unosi się czysty i nieskażony duch języka, w którym jest jedyny ratunek, ale którego znajomość jest wśród szerszego ogółu niedostateczna. Bo i gdzież miał się ogół z duchem tym spotkać? Wprawdzie wyszał go niewątpliwie z mlekiem matek, ale zatruł go potem wpływami obcemi, nie krzepił go ani przez obcowanie z ludem, ani przez czytanie autorów złotego wieku, nie starał się go wy-czuć ani w starej kolendzie, ani w odwiecznej pieśni kościelnej, ani go szukał po pergaminach pisanych i drukach pożółkłych. Nie badał przeszłości języka, nie zastanawiał się nad kolejami, przez które ten język przechodził, zanim osiągnął terażniejszy stopień rozwoju, terażniejszą giętkość i przepych.

A przecież słuszną jest rzeczą, aby każdy o tem wiedział, aby każdy znał rozwój swojego języka „od kiedy nim pisać zaczęto aż do dnia dzisiejszego.“

Tę słusność uznał właśnie prof. Brückner i w jej imię przystąpił do opracowania popularnych dziejów języka polskiego. „Popularnych,“ to znaczy takich, które mógłby wziąć do ręki każdy człowiek inteligentny bez specjalnych studyów przygotowawczych.

Zamierzenie to zostało osiągnięte w sposób, który czyni z książki nie podręcznik, ale niezwykle zajmującą opowieść naukową, którą czyta się od pierwszej do ostatniej stronicy niemal z tchem zapartym. Ież tu rzeczy nowych, zupełnie nieznanych, wydobytych przez autora drogą jego mozolnych, benedyktyńskich studyów, ile poglądów ciekawych, jakie skarby do dziejów oby-

czajowości i kultury polskiej, które prof. Brückner zbadał i zna lepiej niż ktokolwiek, jakie bogactwo spostrzeżeń, uwag trafnych, śmiałych uogólnień, świetnych hipotez...

Jaki pierwotnie był nasz język, gdzie, kiedy i jak zaczęto nim pisać, co za wpływy nań działały, rodzime i obce, dodatnie i ujemne, ogólne i specjalne—oto pytania główne, na które czytelnik znajdzie wyczerpującą odpowiedź w pracy Brücknera.

Od czasów prasłowiańskich, od doby przedhistorycznej do wyodrębnienia języka polskiego prowadzi nas autor szlakiem bardzo ciekawych dla profana badań etymologicznych, porównawczych. Potem zatrzymuje nas na chwili przełomowej, którą wywołało w Polsce wprowadzenie chrześcijaństwa. Tu odrazu do języka wpłynął cały szereg nowych pojęć i urządzeń i język odrazu wzbogacił się licznymi, nowymi terminami. Jednocześnie zaczyna się powolne, z biegiem czasu coraz większe i silniejsze oddziaływanie łaciny, czeszczyzny i niemczczyzny. Trwa to przez okres czterowiekowy.

Ani sposób—mówi Brückner—wyliczyć co wtedy do języka się dostało. Nawet rodzime słowa pod tym wpływem przybrały nowe znaczenie. I tu znajdujemy szereg niezmiernie ciekawych zestawień, dociekań, wywodów, które w niepospolity sposób zajmą każdego i rozwiążą mu niejedną zagadkę. Tu z wyrazów opada ich strój i ukazują się nam one w pierwotnej swojej nagoci, poznajemy ich pochodzenie, dowiadujemy się, iż to, cośmy mieli za rdzennie polskie, dyfundowało do nas z innych języków i przeciwnie—to, co posądzaliśmy o pochodzenie obce, należy do nas, jest nasze rodzime, własne.

Ale język polski nie tylko karmił się wpływami obcymi, nie tylko nasiąkał nimi. Było w nim dość mocy i siły, aby sam oddziaływał na inne. Położenie Polski wskazywało jej najbliższe zadania: być pośrednikiem kultury zachodniej na północ i zachodnią północ, ku Prusom i ku Pomorzu. I oto język pruski, należący do grupy litewskiej, tak cały przesiąknął naleciałościami polskimi, nieraz przytem tak dobrze „spruszczeniemi,” że dopiero baczną uwagę wykazuje zapożyczenie. Na pasie pogranicznym nad Osą i Drwecą, wpływy te musiały jeszcze silniej działać i pruszczyzna musiała tam jeszcze bardziej obfitować w podobne pożyczki. Ale wpływy te zmarnowano, poświęcając Niemcom Pomorze i Prusy i całą Słowiańszczyznę zachodnią. Zamiast ku zachodowi, zwróciła się wtedy polszczyzna ze zmianą frontu politycznego — na wschód, ku Rusi...

Ale idźmy dalej.

Jesteśmy w wieku XVI. Do tej pory nie było różnicy między językiem klas wykształconych, a ludowym, bo nie było języka piśmiennego, którego normy obowiązywałyby wszystkich, rozszczępionych pretensje do ogłady. Każdy pisał, jak mówił, a mówił, jak otoczenie, jak lud. Dopiero wiek XVI zrywa z tą jednolitością pierwotną, niekulturalną. Odgradza się wówczas język piśmienny, wykształcony, od niepiśmiennego, ludowego, grubego, chłopskiego. Pozbywa się on powoli słów przestarzałych swoich i obcych. Obce żywioły spływają, osiadają u dołu. Język klaruje się z fusów niemiecko-czeskich i pozostawia je sferom najniższym. Wytwarza się różnica między językiem szlacheckim a miejskim i gburskim. Wchodzimy w złoty okres języka i literatury. Humanizm i reformacja są tu czynnikami, budzącymi do życia twórczość narodową. Zjawia się Kochanowski i jednym rzutem podnosi poezję polską do wyżyn doskonałości. Za nim sunie cała plejada pierwszorzędnych pisarzy, poetów i prozaików.

Wiek XVII staje się wiekiem spóźnionym poezji. Język poetycki do najwyższej dochodzi w nim różnorodności, trafia najróżnorodniejsze tony—od głębokich żalów religijnych do gorzkich smutków patryotycznych, od dumnych pieśni zwycięskich do ostrych wyrzutów prywaty, od namiętnej, lubieżnej pieśni miłosnej do narzekań znękanego coraz to nowymi ciosami serca ojcowskiego. Ale — wiek poezji kwitnącej staje się wiekiem morderczym dla prozy. Szkoła jezuicka krępuje ducha powijakami i łacina roztasowuje się ponownie. Język polski zamiera w literaturze politycznej, w mowach sejmowych i ustępuje miejsca makaronizmowi.

Analogicznie do upadku państwa, jego znaczenia, zamożności i kultury upada także coraz niżej literatura, a z nią język. Czasy saskie są dla niego zabójcze. Wystarczy przyrzeć się książkom, które wychodziły z drukarni klasztornych częstochowskiej, jezuickiej, berdyczowskiej między latami 1740—1760, ażeby ocenić całą przepaść dzielącą literaturę, język, druki ówczesne od rzeczy o dwa wieki wcześniejszych.

Język ubożeje do szczętu. Nie umie nim nikt pisać, niema w nim co czytać. Nie dziw więc, że nowy nieprzyjaciel, że francuszczyzna ze wszystkich wypiera go pozycyją. Już w połowie wieku XVIII grasuje coraz widoczniej *gallomania*, zastępując powoli wszechwładzę łaciny, lecz tym razem skutki są gorsze, bo i pleć piękna, co siebie i języka przeciw łacinie broniła skutecznie, przed francuszczyzną broń składa i jeszcze niepodzielniej jej się oddaje, niż mężczyźni sami.

Teraz kończy się dobroczynny wpływ, jaki przez cztery wieki, najbardziej zaś w okresie 1350—1550 kobiety na język i pielęgnowanie jego wywierały. Teraz przez cały wiek niemal właśnie one go zaniedbują zupełnie, pomiatają nim i pogardzają, spychają do przedpokojów i na ulicę. Od salonów i pań szerzą się gallicyzmy, nowa cudzoziemszczyzna.

Temu spustoszeniu opierają się mężczyźni, świątli patryoci, znający cenę języka, bez którego narodowość niema się o co oprzeć skutecznie, szczególnie, jeśli tej narodowości grożą niebezpieczeństwa skądinąd.

Odrodzenie, reforma, przełom wyobrażeń, przygotowane działaniem Leszczyńskiego, Konarskiego, Załuskiego, Czartoryskich, a przeprowadzone za czasów Stanisława Augusta — odbijają się natychmiast na literaturze i języku. Nowi działacze, Bohomolec, Krasicki, Naruszewicz, Kopczyński, nawiązują do lepszych tradycji, wznawiają pamięć zapomnianej przez ogół literatury złotego wieku i dążą do wydzwignięcia myśli, smaku i mowy z ciemnicy Saskiej.

Epoka przeobrażeń i reform wywołuje obfitą literaturę, ciągle ściganie się zdań odbywa się teraz w języku narodowym, do łaciny już nikt nie wraca. Mosty spalone. Ale zaniedbanie długoletnie mści się i język zubożał, „zaświecony“ wyrazami łacińskimi. Gdy „makaranizowanie“ nareszcie z mody wyszło, należało zastępować terminy łacińskie nowotworami polskimi. Odbywa się to naprzód nieśmiało i ostrożnie. Pisarz do terminu łacińskiego dodaje w nawiasie ukuty przez siebie polski i czytelnik dzisiejszy, przyzwyczajony do słów, jakie uważa za najpospolitsze, widzi zdziwiony, jeżeli np. zajrzy do broszur z czasów Sejmu wielkiego, jak wtedy po raz pierwszy dla tych nowych potrzeb nowe słowa formowano.

Te czasy przyniosły nam również pierwsze gramatyki języka polskiego. Szereg ich zaczął wprawdzie jeszcze ex-Francuz, Stautovius, r. 1568, siedemnasty wiek wiele ich widział również, ale to były gramatyki dla obcych. Swoi uczyli się języka wyłącznie z praktyki. Nowy system szkolny, oparty nie o język martwy, nie o łacinę, jak dawniej, lecz wyłącznie o język narodowy, wymagał podręczników tego języka, gramatyki jego. Tu ks. Kopczyński największe zdobywa zasługi, nawracając do czasów Zygmuntońskich, do pisowni druków Łazarzowych.

Z reformy ówczesnej język wyszedł ogładzony, wymuskany i wytresowany na podobieństwo francuskiego, ale nieco anemiczny.

Pseudoklasyczna literatura dobrego tonu i smaku utrzymywała go w zakłętym kole, dobrem dla języka martwego, ale zgubnym dla żywego. Wystrzegano się wszelkich prowincjonalizmów, przy każdym zwrocie i słowie pytano, nie czy to *rozumieją*, lecz czy to *poprawnie*, czy tak pisał Trembecki i Krasicki, a raczej, czy piszą tak Osiński i Koźmian. I jak po literaturze Stanisławowskiej, obywatelskiej, o silnym roznachu, pozostała bezkrwista, skarłała literatura pseudoklasyków, podobnie język Stanisławowski, w którym taki Trembecki np. pozwał sobie najoryginalniejszych słów i form, skarłał szybko do poprawności salonowej w pierwszej ćwierci wieku XIX-go.

Na nowe tory popchnęli go dopiero romantycy, których zuchwałę pokusy przyjęto szyderczo, strofująco, wreszcie z oburzeniem. Proszono przeciw Mickiewicza o przetłómaczenie „Sonetów krymskich“ na polski! Ale kpiny i drwiny nic nie pomogły. Literatura zbliżyła się do ludu, do ziemi, zeszła do życia codziennego, do źródeł gwarowych.

A teraz krok jeden już tylko do czasów dzisiejszych, do wspaniałego rozkwitu języka w najnowszej literaturze — do Sienkiewicza, Konopnickiej, Prusa, Żeromskiego, Reymonta...

Nie mogliśmy iść trop w trop za prof. Brücknerem, nie mogliśmy streszczać tu wszystkich jego wywodów, podawać za nim całej historii języka. Wytyczyliśmy tylko drogę, po której szedł autor, poważny uczony, niepospolity erudyta, olśniewający nas bogactwem swoich wiadomości, sumiennością i zakresem przeprowadzonych badań, rozważą w sądach, bystrością w spostrzeżeniach, przenikliwością w dociekaniach.

Strawiliśmy też czas niezwykle przyjemnie i pożytecznie, obcując z tą książką, która jest jak skarbnica, przechowująca najdroższe dla nas pamiątki.

Nauczylisiny się pamiątki te cenić. Wiemy skąd one pochodzą i ile są warte. A jest ich niemało i mogą one dumą napełnić każdego Polaka.

Dla czego? Bo „nasz język—mówi Brückner—nie jest tylko językiem dwudziestu milionów“—„Są między słowiańskimi języki, któremi mówi większa ilość ludzi. Ale te języki nie mają *tradycji* i ci, co niemi mówią, do własnej przeszłości nie mają się po co udawać, gdyż znajdują tam chyba to, coby ich odrażać mogło. U nas inaczej. My dziś jeszcze możemy śmiało pisarzy złotego okresu, czasów Zygmuntofskich, polecać tym, co język własny poznać, urozmaicić, odświeżyć zamierzają, gdy dla innych narodów te dawne wieki — to jedna puszcza i martwota.“

Kończę. Sądzę, że książka Britcknera przyczynić się powinna w ogromnym stopniu do „poznania, urozmaicenia i odświeżenia“ języka, który jest dziś jedyną puścizną, jakiej nam jeszcze nie wydarły zmienne losy koleje.

Szanujmyż tę puściznę i wyteźmy wszystkie siły, aby ją przekazać nieuszczerploną naszym następcom, którzy może będą szczęśliwsi od nas. Miejmy też na widoku, że język należy nie tylko do literatury, ale razem z tą literaturą do całego narodu, że więc o jego czystość, bogactwo, barwę i wdzięk powinni dbać nie tylko pisarze wzorowi i twórcy wybitni, ale wszyscy, którzy mówią i piszą po polsku.

Z. D.

Kronika miesięczna.

Atak na Macierz. — Pierwszy rok Uniwersytetu Ludowego w Warszawie. —
X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich.

Powrotna fala, która po wzburzonym okresie „wolnościowego ruchu“ niesie nowe wzmożenie się dawnych, znanych haseł w Rosyi, tem gwałtowniejszą jest i odmętną bardziej, im mniej stałej spotyka siły oporu w opinii społeczeństwa, im większe to „martwe morze,“ po którym goni wichur.

Rewolucyjny, gwałtowny podmuch niósł fale w jednym kierunku, a niósł nie napotykając prawie przeszkód, aż spiętrzył je w dzikie, nieobliczalne wylewy. Nie było miary, nie było mocy tej, która daje panowanie nad sobą, zginął w porywie łód i burza była tylko chaosem żywiołów, które się musiały rozbić o jako tako zorganizowaną siłę. Rewolucya ta podległa była stokroć bardziej prawom instynktu, aniżeli prawom świadomej woli.

Temu samemu prawu podlega odruch przeciwny — reakcya, świadcząc nieubłaganie, że w olbrzymim państwie mało jest pracy myśli, któraby pobudowała podwaliny i oznaczyła jasne formy swym przekonaniom i pojęciom, że pragnienia mają tam jeszcze wielką dal stepów i morza.

A pragnieniom tym „morze po kolana.“

W takiej bezbrzeżności, która długo trwać może, gdyż jest istotnym stosunkiem wielkiej *przestrzeni pustej*, do nikłej jeszcze *siły twórczej*—panują na nieszczęście odruchowe prądy namiętności.

Wczoraj szumiał wichur rozpiętany przez Chrustalewów, dziś Dubrowiny rozigrały inną burzę... A rząd, jak Odysseusz, zdaje się niewiedzieć, że wory z wichrami rozwiązano na jego własnym okręcie — gorzej, zdaje się sądzić, że wichry uderzą pomyślnie w żagle i nawę ku szczęśliwej stronie poniosą.

Wpływa na rząd reakcja. Nie tyle zastanowienia, ile podnieconego uczucia. Reakcja niebezpieczna, gdyż prowadzi może ku sądzeniu w namiętności. A sąd namiętny, jest ślepy sąd.

Jak zaś niesprawiedliwym być może dla naszych prac i usiłowań polskich—nie szukać daleko dowodu—mamy go w artykule pólsruzędowego pisma wymierzonym przeciw Macierzy Szkolnej.

W numerze 509 „Rosyi“ zaatakowano Instytucyę naszą oświatową w szeregu zarzutów, na które dziennik petersburski żąda kategorycznej odpowiedzi od Polaków.

Nie zostały dłużnemi odpowiedzi tej pisma polskie. Zgodnie wystąpiła cała poważna opinia kraju, broniąc Macierzy przed oskarżeniem, którego niesłuszność wykazała dowodnie. Zarząd Instytucyi ze swej strony wysłał do Komitetu prasowego w Petersburgu sprostowanie, zbijające fakta, które albo wprost miejsca nie miały, albo podane w zgoła odwrotnem oświeteniu zdawały się pomawiać Macierz o działalność, jakiej Instytucya ta nie uprawia i uprawiać nie myśli.

W ustawie Macierzy Szkolnej, na miejscu naczelnem, w zasadniczych pierwszych paragrafach powiedzianem jest, że Instytucya zajmuje się wyłącznie sprawą oświaty, usuwając z niej wszelką politykę. W okólniku, komentującym zasady swej działalności, a rozesyłanym w czerwcu bieżącego roku przez Zarząd Macierzy wszystkim Okręgom i Kołom, powiedziano w końcowym ustępie wyraźnie: „... Szkołę naszą uczynić musimy prawdziwej wiedzy i pracy przybytkiem w każdym zakresie, poczynając od ludowego szkolnictwa, dążyć do jaknajwiększego unifikowania w duchu i jaknajwiększej sumienności w czynie — *zdala od niej utrzymać wszelkie obce wychowaniu wpływy, ochronić ją od politycznego swaru, partyjności i rozstroju* i współnemi siłami stać na straży tej wielkiej sprawy, w której Naród składa swe nadzieje w przyszłość dni lepszych“ (Okólnik za № 29 z czerwca 1907 r.).

Takim jest duch ustawy Macierzy i tak pojmują to wielkie, wspólne zadanie wszyscy, którzy w zgodzie z wypowiedzianem dążeniem na tej drodze, na drodze jasnej i jawnej, pragną zabiegać pracą i walczyć przekonaniem i czynem o rozwój oświaty Narodu.

Taką jest przeto i działalność ich, a nie inną w setkach Kół Macierzy i nie możemy zgodzić się tu na powątpiewanie, które wypowiada w jednym ze swych artykułów, broniących Macierzy, pan Ludwik Straszewicz w „Słowie.“ Przypuszcza on, że *większość*, a bodaj *znaczna mniejszość* szkół Macierzy uprawia politykę, wie-

rzy w to i tem przypuszczeniem zarzut czyni Instytucyi ciężki i krzywdzący, wręcz niezgodny zresztą, z faktycznym stanem rzeczy. Koła Macierzy nie uprawiają polityki innej, oprócz tej, która z samej zasady Instytucyi wypływa, a tą jest polityka *niepolitykowania* w sprawach szkoły.

Taką jedynie być winna polityka Macierzy, łącząca osoby różnych zapatrywań i wzywająca ich do wspólnej pracy. Gdyby było inaczej, nie pracowaliby ci ludzie dla Instytucyi, którą tak poważają i miłują.

Stwierdzając określony wyrażnie i uznawany zgodnie charakter zadań Macierzy, nie utrzymujemy oczywiście, aby nie mogły absolutnie zdarzać się jakieś wyjątkowe zboczenia od powszechnie obowiązującego kierunku naszej instytucyi kulturalnej. W rozległej pracy zbiorowej, zwłaszcza w jej początkach, niepodobna uniknąć zupełnie wszelkich rozdzźwięków. Nawet dziwnem byłoby, gdyby nie objawiały się one w czasach tak pełnych niepokoju, w chaosie przeobrażeń, w gorączce politycznego i społecznego życia. Mogą nie dość rozważnie umysły nie zdawać sobie sprawy, że nie można równocześnie pracować dla dobra idei zgoła odmiennemi sposobami; że kto stanął na stanowisku pracy jawnej i zorganizowanej w jakiejś dziedzinie, nie może tego samego uprawiać drogą tajną; że nie można głosić, iż wyłącza się politykę z pracy swej na danem polu, a równocześnie w innem gronie tę samą sprawę politycznie uprawiać—jednym słowem, że, według starego przysłowia, *dwóm bogom służyć nie wolno*. Ale o stosowaniu takiej dwustronnej metody działania przez „większość“ czy przez „znaczną mniejszość“ szkół Macierzy chyba nie może być mowy.

Nie znaczy to, aby w Instytucyi pracować mieli i działać wyłącznie ludzie *bezpartyjni*. Bynajmniej. Byłoby to nonsensem i przeczyłoby przyjętej zasadzie, która każdemu otwiera pole pracy w Macierzy, byleby... nie szczepił w szkole polityki, to jest przyjmuje każdego i przygarnia, ale równocześnie *nakłada w zasadach swych pewne obowiązki*, które sumienie każdego odczuć powinno. Kto więc pragnie działać inaczej, kto chce rzucać w szkolną dziedzinę hasła polityczne, partyjne zalecenia, czy nakazy jakiejś nieujawnionej grupy—ten niech wie i czuje, że wybiera drogę inną, może w myśli jego i sumieniu właściwą i dobrą, ale w *sumieniu Macierzy niedobłą i niewłaściwą*. A wówczas nie godzi się tych dwóch dróg i tych dwóch sumień łączyć i ani to szczęśliwem jest, ani słusznem, gdyż prędzej czy później je-

dną dyrektywa musi gdzieś drugiej zawadzać i przeciwieć się zgoda, a wówczas któraż rozstrzyga?

Trzeba sobie powiedzieć stanowczo: wybieram tę lub ową drogę i pójść jedną z nich, przyjmując wszelkie rezultaty i wszelkie odpowiedzialności, a nie trwać w zgubnem półświecie, które odpowiedzialności te rozkłada bez rozrachunku i niesłusznie obarcza niemi instytucję publiczną. Wtedy, odpierając oskarżenia rzucane przeciw tej instytucji, będzie można nie tylko wytknąć in nieściśłość lub wykazać brak podstawy, ale i dowieść tendencji fałszywej, niejasność zaś któraby otaczała działalność jednostek, mogłaby nieraz ubocznie rzucać swój cień na niezależną od niej ogólną, zasadniczą sprawę.

Byliśmy od początku w piśmie naszym przeciwni zasadzie i metodzie strejku i bojkotu szkolnego i bodaj odosobnieni broniliśmy tego naszego zapatrywania wówczas, gdy społeczeństwo całe, porwane wirem zdarzeń, dało się unieść hasłom, według naszego głębokiego przeświadczenia szkodliwym. Prawa, jakie dziś szkolnictwu polskiemu przyznano, nie tą zdobyte są drogą, a wierzymy, że i w zakładach rządowych więcej bodaj rozszerzonoby zakres polskiej nauki i polskiego wykładu, gdyby nie szkolne bojkoty. Nie cofać się od trudu i walki, ale inną drogę obierać pragnęliśmy. Stało się inaczej. Nie robieramy tu ani rozpatrujemy psychologicznie, dla czego społeczeństwo poszło całą siłą drogą, przed którą ostrzegaliśmy napróżno. Usprawiedliwić i zrozumieć można wiele; nieszczęście chce, że w działaniach, które pod naporem nagromadzonych uczuć zbiorowych gnają społeczeństwa niepołamowanie, więcej przekonywują konsekwencye i życiowa prawda dni późniejszych, aniżeli najgorętsze przestrogi ludzi, którzy może te konsekwencye wcześniej przewidzieli.

Dziś atoli, podnosząc, co za słuszne uważamy, i zaznaczając, co jest istotnem w Macierzy Szkolnej, a co jedynie mylnym pozorem, tu i owdzie z działań niezrosłych z Macierzą zrodzonym, z pewnego daltonizmu politycznego tej lub owej może jednostki poczętem—najsilniej i najkategoryczniej wypowiedzieć pragniemy pod adresem oskarżycieli z „Rosyi,“ że zanim kto kamień podniesie, aby nim uderzyć, powinien wiedzieć, czy trafnie mierzy i w co godzi.

Godzić w Macierz, znaczy to chcieć zniszczyć instytucję, której my wszyscy Polacy bronimy. Zarzuty przeciwnika są bezzasadne. Rodzi się zatem przypuszczenie, że chce on zagłady instytucji dla tego jedynie, iż ta instytucja jest, trwa i rozwija się, wzmacniając polską oświatę.

Macierz, to usiłowanie swojskiego rozwoju, to szczepienie dobrego owocu, to odzew tej myśli, która, poczęta w Narodzie od chwili, gdy wzrosło w nim poczucie, że dążyć winien do światła, rozwijała się w ciągu dziejów. Tylko taką wspólną, ofiarną, garnącą się ku światłu, a ogarniającą szerokie rzesze miłością, możemy podnieść umysły i serca ku wyższej mierze, a podnieść je musimy, jeżeli chcemy dokonać wielkiego dzieła odnowy i utrwalić w społeczeństwie wiarę w przyszłość, w owocność naszych prac — wiarę w siebie.

Wszyscy więc ufni w moc żywotną Narodu łączymy się w odpowiedzi na bezpodstawne a gniewne oskarżenie i jednym głosem odpowiadamy: *niesprawiedliwość!*

Ale zwracając się ku własnemu społeczeństwu, winniśmy powiedzieć: Bądźmy jaknajbardziej jaśni w działaniu i wyborze dróg, abyśmy się wszędzie powoływać mogli na *prawdę*.

A. K.

*

*

*

Warszawski Uniwersytet Ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej zakończył niedawno pierwszy rok swego istnienia, rok próbnny. Z tego względu warto przyjrzeć się bliżej rezultatom, jakie instytucja ta zdołała osiągnąć w warunkach niezbyt pomyślnych dla spokojnej pracy oświatowej; jeżeli bowiem każda dziedzina pracy pozytywnej i twórczej wymaga dla siebie odpowiedniej atmosfery w społeczeństwie, to tembardziej praca oświatowa nie może się rozwijać należycie w okresach chaosu i zamętu. A jednak pomimo rozkołysania umysłów przez prądy rewolucyjne, pomimo rozigrania się wszelkich namiętności partyjnych, które podzieliły ludzi na obozy i stronnictwa, stające do walki z sobą, Uniwersytet Ludowy w Warszawie potrafił pracować i zdołał skupić na swoich wykładach poważny zastęp słuchaczy.

Zawiązany we wrześniu roku ubiegłego, rozpoczął on niezwłocznie działalność pod wytrawnym przewodnictwem prof. Adama Jaczynowskiego. Dzięki niezwykłej sprężystości Zarządu, cała praca organizacyjna została przeprowadzona w ciągu dni kilkunastu i w dniu 1 października instytucja posiadała już szereg wyegzaminowanych uczniów, podzielonych na komplety, oraz sze-

reg nauczycieli, którzy z zapałem stanęli na swoich skromnych katedrach.

Naukę rozpoczęło 1649 uczniów i uczenic, przeważnie ludzi młodych, w wieku od lat 16 — 30, w olbrzymiej większości (1280 osób) pochodzących ze sfery rzemieślniczej i robotniczej. Ciało nauczycielskie składało się na razie z 79 osób.

Ofiarność przełożonych polskich szkół prywatnych oraz zarządów niektórych fabryk, pozwoliła na rozlokowanie kompletów w 25-iu stałych uczelniach. Stosownie do przedmiotów nauki i liczby zapisów na każdy przedmiot, utworzono 102 takie komplety i oddano je pod kierunek 69 „gospodarzy,” wybranych z grona uczniów, zaś lokale szkolne i prawidłowy bieg życia szkolnego poruczono uwadze 14 „opiekunów,” uproszonych przez Zarząd.

Z ogólnej liczby 1649 słuchaczy (1224 mężczyzn i 425 kobiet) na naukę języka polskiego zapisało się 1143 osoby, które rozmieszczono w 42 kompletach; na arytmetykę 927 osób; na historię Polski 359 osób (w 10 kompletach); na geografję 212 i na historję literatury polskiej 112 osób. Przedmioty natomiast przyrodnicze, techniczne i prawno-polityczne zdobyły sobie zaledwie tylu słuchaczy, że wystarczyło ich na jeden tylko dla każdego przedmiotu komplet. Z tego zakresu rysunki jedynie miały spory zastęp chętnych nauki, gdyż korzystało z ich lekcyj 163 uczniów. Chemii słuchało 27 osób, anatomii i fizjologii 79.

Cyfry te są dość charakterystyczne. Z jednej strony malują one nizki ogólny poziom oświatowy słuchaczy, którzy muszą zaczynać naukę od samego początku, z drugiej — praktyczny kierunek aspiracyj naszych sfer ludowych. W tym względzie zasługuje zwłaszcza na uwagę liczny zastęp słuchaczy, zapisanych na wykłady arytmetyki, która w życiu codziennem robotnika i rzemieślnika oddaje ogromne usługi, zapewniając mu umiejętność prowadzenia rachunków i broniąc go przed oszustwem i wyzyskiem.

Uniwersytet więc z konieczności, dostosowując się do potrzeb i wymagań słuchaczy, musiał rozpocząć działalność swoją raczej jako szkoła początkowa, dopełniająca najbardziej elementarne braki wiedzy robotnika polskiego, niż jako szkoła nauk wyższego poziomu.

Za zasadę przyjęto wprawdzie, że słuchaczami mogą być tylko osoby, umiejące dobrze czytać i pisać po polsku, oraz rachować, ale—zasada ta została obalona zaraz na wstępie, gdy do zapisów zgłosili się ludzie nieposiadający wykształcenia elementarnego w stopniu dostatecznym, a nawet analfabeci. Pierwszych

trzeba było umieścić w kompletach, przeznaczonych na naukę języka polskiego i arytmetyki, drugich należało odesłać do Koła nauczania analfabetów dorosłych, co też uczyniono. W ten sposób nikt na wstępie do instytucji nie został zniechęcony i odrzucony przez nią. Przeciwnie—każdy nabrał przekonania, że wrota Uniwersytetu, a więc i droga do nauki, są dla niego otwarte.

Rozpoczynając działalność swoją bez odpowiednich środków, bez funduszków, które mogłyby zapewnić wszelkie pomoce naukowe, Uniwersytet Ludowy szedł w ciągu pierwszego półrocza jedynie rozpędem ideowym osób, zgrupowanych dokoła niego i ofiarnością kół, sympatyzujących z instytucją.

W ciągu drugiego półrocza zdobył już sobie jednak trwały grunt działania wśród mas ludowych i szersze w całym społeczeństwie znalazł uznanie.

Liczba słuchaczy w tym półroczu z 1649 podniosła się do 2200, a jednocześnie rozwinął się i zakres nauki.

Zainicyowane obok stałych wykładów odczyty popularne zyskały sobie duże powodzenie i gromadziły za każdym razem w obszernej sali Muzeum przemysłu i rolnictwa liczny zastęp słuchaczy. Mniejsze powodzenie miały „pogadanki,” urządzone dla mieszkańców dzielnicy wolskiej w domu robotniczym Wawelberga przy ul. Górczewskiej, lecz i one uzasadniły nie tylko możliwość, ale i potrzebę urządzania tego rodzaju konferencji na przedmieściach Warszawy, gdzie grupuje się najuboższa, najciemniejsza i najbardziej odgradzona od wszelkich wpływów kulturalnych ludność.

W ciągu II-go półrocza zdobyły sobie także większe powodzenie wykłady z zakresu nauk przyrodniczych i technicznych.

„Mechanika” i „Elektryczność” semestru I-go, które na razie nie zainteresowały większej ilości słuchaczy, w semestrze II-im rozrosły się już do rozmiaru całego kompleksu przedmiotów. Wykładano więc: mechanikę stosowaną, maszyny parowe, motory gazowe, naftowe i benzynowe, fizykę w zastosowaniach technicznych, metale i ich obrabianie, kotły: ich obsługę, elektrotechnikę prądu słabego, elektrotechnikę prądu silnego, rysunki mechaniczne dla metalowców, rysunki budowlane, wreszcie rysunki odręczne.

Świadczy to, iż do Uniwersytetu napłynęły warstwy słuchaczy inteligentniejszych i lepiej przygotowanych, które może początkowo były powstrzymane od nauki przez niesumienną agitację żywiotów, rzucających w podejrzenie „bezpartyjność” uniwersytetu, występującego pod egidą Macierzy Szkolnej. Przekonano się jednak rychło do instytucji i dla tego działalność Uniwersy-

tetu Ludowego w II-ien półroczu jest już całkowicie miarodajną i pozwala wnosić o przyszłości tej uczelni.

Nie potrzeba dowodzić, że to nowe ognisko kulturalne posiada ogromne znaczenie społeczne i że wobec tego zasługuje na to, ażeby całe społeczeństwo poparło usiłowania jednostek, dźwigających dotąd na swoich barkach ciężar potrzeb materialnych instytucji, przeznaczonej dla szerokich mas. A potrzeby te będą rosły gwałtownie.

Nauka posiada ogromną siłę przyciągającą i kto raz dostanie się w sferę tego przyciągania, ten już nie potrafi zdusić w sobie popędu do ciągłego rozszerzania swoich wiadomości. Stąd niema obawy, aby Uniwersytetowi zabrakło słuchaczy. Przeciwnie. Liczba tych słuchaczy prawdopodobnie będzie się zwiększała szybciej, aniżeli majątek instytucji. Widzieliśmy już jak znaczna była różnica frekwencji pomiędzy 1 a 2-iem półroczem. To samo będzie zapewne pomiędzy 2 a 3-iem, a w ciągu dwóch lub trzech lat Uniwersytet może już liczyć 5 do 6 tysięcy uczniów, którym niepodobna będzie odmówić zapisu. Bardzo więc być może, że Zarząd Uniwersytetu, rychlej, niż to sam przewiduje, znajdzie się w położeniu bardzo kłopotliwym. Rzeczą jednak społeczeństwa jest kłopoty te przewidzieć i zapewnić instytucji byt trwały, sprzyjający stopniowemu rozszerzaniu jej wpływów i gromadzeniu środków naukowych.

Rzecz oczywista — przedwcześnie jest mówić jeszcze o wybudowaniu wielkiej hali wykładowej, o pomieszczeniach dla zbiorów i pokazów, które Uniwersytet Ludowy bezwarunkowo mieć powinien, ale — należy pomyśleć o pierwszej podstawowej rzeczy — o funduszach, które umożliwią instytucji stopniowy wzrost i o bibliotece, która jest najkonieczniejszą rzeczą dla wszelkich przedsięwzięć naukowych.

Dotychczasowa biblioteka Uniwersytetu Ludowego składa się z 2100 tomów, z których korzystało 690 czytelników. Stosunek tych dwóch cyfr do siebie powinien przemówić bardzo głośno i pobudzić ofiarność publiczną do żywego zainteresowania się sprawą księgozbioru Uniwersytetu Ludowego.

Nadto, kto może, powinien współdziałać Uniwersytetowi w gromadzeniu innych pomocy naukowych, tak niezbędnych przy wykładach popularnych, a tak trudnych do zdobycia w Warszawie, w której dotychczas niema wielkiego, centralnego muzeum szkolnego, wypożyczającego swoje zbiory szkołom i prelegentom.

Od dn. 21 do 26 lipca r. b. obradował we Lwowie X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich. Zjazd ten był istotnem i rzetelnem świętem naukowem, które zgromadziło przedstawicieli wszystkich dzielnic. Nie możemy—rzecz naturalna—zdawać tutaj szczegółowej sprawy z przebiegu obrad, z wygłoszonych referatów, z uchwał powziętych. Należy to do pism specjalnych przyrodniczych i lekarskich. Z powodu jednak Zjazdu czujemy się w obowiązku wypowiedzenia kilku słów ogólniejszego znaczenia.

Nauka polska bynajmniej nie znajduje się w warunkach pomyślnych. Położenie polityczne narodu odbiło się na całokształcie jego życia i obniżyło jego poziom wszędzie, nie wyłączając nawet najdalszej od polityki dziedziny naukowej. Środki nasze są skąpe, siły rozproszone. Na całym obszarze ziem polskich mamy tylko dwa uniwersytety polskie — w Krakowie i we Lwowie. Warszawa miała uniwersytet rosyjski. Poznań i Wilno nie mają wcale uniwersytetów. Brak nam więc naturalnych ognisk naukowych, brak tych warsztatów, przy których uczeni mogą stać i pracować skutecznie. A warsztaty te mają znaczenie pierwszorzędne. Wiedza współczesna, która rośnie i rozgałęzia się coraz bardziej, od której ciągle oddzielają się nowe pędy i rozpoczynają życie samodzielne, potrzebuje ogromnych środków. Musi mieć do swego rozporządzenia laboratoryum, gabinety, biblioteki. Tam dopiero może się rozwijać. Tego wszystkiego jesteśmy niemal pozbawieni. Zdawałoby się więc, że wobec tego powinni być rzeczą zupełnie usprawiedliwioną: nasze milczenie i nasza nieobecność tam, gdzie myśl ludzka nowe dla siebie toruje drogi. A przecież pomimo wszystko dajemy o sobie znak życia i na tych polach.

Zapewne, daleko nam do tych rezultatów i do tych zdobyczy, jakie osiągają inne narody, pracujące w warunkach normalnych, korzystające z opieki i pomocy swoich rządów—ale, uwzględniając osobliwe nasze położenie i wyjątkową naszą biedę — nie bez dumy możemy mówić o naszej nauce.

Tak. Nauka polska niewątpliwie istnieje.

„Gdy się policzymy — mówił na Zjeździe dr. Bylicki — a do ilości dodamy jakość, to z tego przeglądu wynikają dla nas wielkie źródła pociechy.“

Zwłaszcza dziedzina przyrodniczo-lekarska ma się czem chlubić. Nencki, Curie-Skłodowska, Biegański, Wróblewski, Witkowski—znani są całemu światu. A obok nich stoi szereg wybitnych lekarzy, chemików, botaników, zoologów, mineralogów o mniej głośnych nazwiskach.

Są to pracownicy nieraz szerszemu ogółowi zupełnie nieznanymi. Wie o nich tylko szczupłe koło specjalistów, pracujących w tym samym zakresie. Nieraz też pewną niespodzianką jest dla nas nazwisko polskie, spotkane w jakimś fachowym czasopiśmie obcym, a jeżeli te czasopisma będziemy przeglądali częściej, to przekonamy się, że prace uczonych polskich nie należą w nich do rzadkości.

Polacy muszą pisać po niemiecku, po francusku, nawet po angielsku. Wypływa to ze smutnej konieczności. Naprzód z braku u nas odpowiednich wydawnictw naukowych, z niebywałego wprost trudu znalezienia nakładcy na książkę naukową — powtóre z potrzeby porozumiewania się z Europą. Kto chce, żeby go w Europie poznano — musi się jej zameldować pracą w języku obcym. Nie możemy też brać za złe naszym uczonym, że tej smutnej konieczności ulegają, jak nie możemy im brać za złe tego, że obejmują katedry na uniwersytetach zagranicznych i pracują wśród obcych i dla obcych.

Wina leży tu raczej po naszej stronie — po stronie społeczeństwa, które jest ogromnie obojętne na potrzeby nauki i wcale nie interesuje się jej postępani.

Wprawdzie tak jest na całym świecie, wprawdzie nigdzie szerszy ogół nie bierze udziału w trosce o zgromadzenie funduszków na badania naukowe, zostawiając to całkowicie rządowi lub bogatym jednostkom, które, idąc za poczuciem obywatelskim lub własnym zamiłowaniem, przeznaczają nieraz ogromne sumy na cele nauki — ale — i pod tym względem jesteśmy społeczeństwem wyjątkowym, więc wyjątkowe też mamy obowiązki.

Obowiązki te powinniśmy sobie uświadamiać częściej i szukać dróg, któreby prowadziły do ich spełnienia.

Jedną z takich dróg chcę właśnie wskazać. Przy warszawskim Towarzystwie lekarskim istniała pracownia biologiczna, założona przez ś. p. prof. Hoyera. Pracownię tę Tow. lekarskie postanowiło utrzymać nadal, rozszerzyć i nazwać ją pracownią Hoyera. Oczywiście, rozszerzenie to pociągnie za sobą znaczne wydatki. Dla ludzi, którzy miłują naukę i którzy mają środki na to, ażeby ją wspomagać, następuje się tu sposobność przyjscia z pomocą Towarzystwu lekarskiemu.

Dla nauki polskiej byłoby rzeczą pożądaną, aby w Warszawie, która w tej chwili niema wcale uniwersytetu, a może nieprędko będzie miała uniwersytet, zdolny zaspokoić wszystkie potrzeby naukowe wszystkich działów wiedzy, — istniała pracownia biologiczna, postawiona na tym poziomie, na jakim stoją tego

rodzaju pracownię zagranicą, ażeby była uposażona we wszystko i mogła być prawdziwym warsztatem pracy naukowej. Niewątpliwie Towarzystwo lekarskie dołoży wszelkich starań, aby ową pracownię biologiczną tak właśnie urządzić, ale potrzeba będzie na to lat całych. O ileż prędzej dałoby się to uskuteczyć, gdyby z zewnątrz nadeszła pomoc, gdybyśmy nie uważali, że ta pracownia jest wyłączną sprawą Towarzystwa lekarskiego, ale powiedzieli sobie, że obchodzi ona cały ogół polski.

Wróćmy jednak do Zjazdu lwowskiego. Połączył on na kilka dni uczonych polskich z Królestwa, z Galicyi, z Wielkopolski, z Rusi, z Litwy, nawet z kolonij amerykańskich i dowiódł, iż pomimo wiekowego rozbicia i rozczłonkowania, myśl polska dąży do jedności.

To poczucie jedności narodowej w każdej pracy jest czynnikiem wagi niezmiernej i dla tego poza znaczeniem czysto naukowym, Zjazd lwowski ma dla nas jeszcze znaczenie ogólnie narodowe.

Spółczeństwo polskie w ciągu swoich dziejów porzbiorywych uległo głębokim przemianom. Przemiany te jednak były niejednolite. Inne stosunki wytwarzały innych ludzi. Stąd też pomimo pozornej tożsamości, istnieje obecnie wieloraki typ Polaka. Inaczej myśli Poznańczyk, inaczej Galicyanin, inaczej Królewski, inaczej mieszkaniec Litwy lub Ukrainy. Są kwestye, na które zapatrujemy się jednakowo, są jednak takie kwestye, co do których zgoda nie możemy się porozumieć. Przestaliśmy się na niejednym punkcie odczuwać wzajemnie, mamy już nieco odmienną psychikę. A przecież jesteśmy jednym narodem i poczucie tej jedności mamy dziś bardzo silne, silniejsze może, niż kiedykolwiek.

Z uwagi na to, spotykanie się i obcowanie z sobą ludzi z rozmaitych dzielnic jest bardzo pożądanę, gdyż rezultatem jego jest właśnie owo „zrozumienie się,“ którego nie można osiągnąć ani za pomocą książki, ani za pomocą dziennika, a które jest bardzo łatwe do osiągnięcia tam, gdzie ludzie przestają z sobą, gdzie łączą się na terenie wspólnej pracy i wspólnych ukochań.

Następny, XI z kolei Zjazd przyrodników i lekarzy polskich ma odbyć się w Warszawie. Miejmy nadzieję, że odbędzie się on już w warunkach, które pozwolą naszej stolicy na takie przyjęcie gości, jakie im się słusznie w jej murach należy.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Aleksander Hirschberg.

We Lwowie zmarł dn. 26 lipca r. b. ś. p. Aleksander Hirschberg, jeden z wybitniejszych historyków polskich, człowiek skromnej, cichej, a dużej pracy.

Urodzony w r. 1847 we Lwowie, tam odbywał studia gimnazjalne i uniwersyteckie, które ukończył w r. 1872 ze stopniem naukowym doktora filozofii. Przez trzy lata następnie pracował, jako nauczyciel szkoły realnej, poczem mianowany został sekretarzem naukowym Zakładu Ossolińskich i jednocześnie habilitował się na docenta historii przy uniwersytecie lwowskim. Od r. 1876 ś. p. Hirschberg był kustoszem Ossolineum i na tem stanowisku pozostał do śmierci.

Oddając się z zamiłowaniem swojej nauce, której sprzyjała praca w jednym z najbogatszych księgozbiorów polskich, zmarły pozostawił po sobie długi szereg dzieł i rozpraw o wybitnej wartości.

Należą tu przedewszystkiem: „O życiu i pismach Jana Ludwika Decyusza (Lwów 1874), „Kronika klasztoru trzemeszeńskiego i spominki o Łaskich“ (Lwów 1877), „Dyaryusz legacyi Jerzego Ossolińskiego“ (ib. 1878), „Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński, sprzymierzeńcem sułtana tureckiego“ (ib. 1879), „Przymierze z Francją w r. 1524“ (Lwów 1882), „Koalicja Francji z Jagiellonami“ (ib. 1882), „Hieronim Łaski“ (ib. 1888), „Z czasów niedoli i upadku. Ustęp z dziejów m. Lwowa“ (1889), „Polska a Moskwa w pierwszej połowie wieku 17-go. Zbiór materyałów do historii stosunków polsko-rosyjskich za Zygmunta III“ (Lwów 1901), „Zbiór pamiętników do historii powstania polskiego w ro-

ku 1830 — 31,“ „Bibliografia powstania narodu polskiego z roku 1830—31“ (rzecz niezmiernie cenna) i wiele innych, pomniejszych. Nadto wydał ś. p. Hirschberg kilka opisów podróży naukowych, jakie rozmaitemi czasy odbył do Grecyi, do Hiszpanii i do Szwecyi.

Nauka polska straciła w zmarłym oddanego i zdolnego pracownika, społeczeństwo dobrego obywatela, który na skromnem swoim stanowisku służył narodowi gorliwie i był nieocenionym przewodnikiem dla każdego, kto jakkolwiek pracę naukową podejmował w bibliotece Ossolińskich.

Stąd Hirschberga znali wszyscy, którzy w swoich wędrówkach naukowych nie ominęli słynnej lwowskiej księżnicy — a nie mógł jej ominąć żaden z historyków i żaden z poważniejszych literatów polskich.

ś. p. Karol Potkański.

Dnia 16 sierpnia r. b. zmarł w Krakowie ś. p. prof. Karol Potkański, wybitny i ceniony pracownik na polu badań historycznych.

Urodzony w r. 1862 w Król. Polskiem, w ziemi sandomierskiej, gdzie rodzina jego zdawna osiadła, kształcił się Karol Potkański w Galicyi, w atmosferze i pod wpływami, które wcześniej rozbudziły w nim zamiłowanie do dziejów ojczystych. Ukończywszy studia na uniwersytecie Jagiellońskim, uzupełnił je następnie za granicą, zwłaszcza w Paryżu, gdzie przez czas pewien był dyrektorem tantejszej biblioteki polskiej.

Z tych czasów pochodzą też jego pierwsze prace, oparte na sumiennych i samodzielnych badaniach. Świeżością poglądów, umotywowanych gruntownie, opartych na rozległych i wszechstronnych studiach, wyróżniły się one odrazu korzystnie i otworzyły młodemu uczonemu drogę do katedry uniwersyteckiej. Zajął ją Potkański w pełni sił i odtąd wszystkie te siły poświęcił nauce.

Z pod pióra jego wyszedł długi szereg rozpraw, rozrzuconych po czasopiśmie fachowych, a każda taka rozprawa, nie wyłączając najdrobniejszych, przynosiła z sobą coś nowego, coś, co rzucało nieznanne jeszcze światło na dzieje średniowiecznej Polski. Jednocześnie powstawały dzieła większe o trwałej wartości i o do-

niosłem znaczeniu dla nauki historycznej. Nazwisko Potkańskiego stawało się głośnie, nie tylko wśród świata naukowego polskiego, ale wśród wszystkich slawistów europejskich, którzy niejednokrotnie powoływali się na zdanie i wyniki poszukiwań młodego profesora.

W dorobku naukowym Potkańskiego wyróżniają się przede wszystkim: „Postrzyżyny u słowian i germanów,“ „Kraków przed Piastami“ i „Lachowie i Lechici.“

Te trzy prace stsnowią zręb sławy naukowej zmarłego. Zwłaszcza „Kraków przed Piastami“ jest dziełem, które przyniosło nauce niepospolitą zdobycz w postaci stwierdzenia nieznanego dotychczas faktu: istnienia biskupów chrześcijańskich w starym Krakowie na długo przed Piastami i przed historycznym chrztem Polski. Fakt ten upoważnił Potkańskiego do wyprowadzenia wielu niezmiernej wagi wniosków, dotyczących naszej przeszłości, zagubionej w pomroce czasu i wnioski te, bez względu na to, czy je obalą lub sprostują inne, późniejsze odkrycia i badania, pozostaną zawsze słupami wytycznymi na drodze, po której iść mogą tylko bardzo wytrawne, głębokie, ostrożne, a zarazem śmiałe umysły.

Z pozostałych prac zmarłego wymienić jeszcze należy: „Zapiski herbowe, z ksiąg ziemskich, przechowanych w archiwach padewskim i warszawskim,“ „Rycerstwo włodycze i zagrodowa szlachta w XIV i XV wiekach,“ wreszcie cenną rozprawę „O pierwotnem osadnictwie polskiem na Podhalu,“ gdzie autor poruszył mało zbadaną sprawę rozszerzania się granic Małopolski ku Tattrom i zdobywanie sobie przez nią nowych terenów drogą kolonizacyi.

Ostatnią pracą, którą zmarły profesor miał „na warsztacie“ była rozprawa o apostołach słowiańskich, św. Cyrylu i Metodym.

Nie dokończył jej. Nie dokończył także wielu innych, zaczętych lub zamierzonych robót, na które w normalnych warunkach powinoby mu było życie starczyć. Śmierć wytrąciła mu pióro z ręki, tworząc w szeregach historyków polskich wyłom dotkliwy.

Nauka poniosła przez tę śmierć stratę ciężką, gdyż ubył jej pracownik, posiadający wszelkie zalety i wszelką możność samodzielnej, badawczej i twórczej pracy. Ci, którzy znali ś. p. prof. Potkańskiego bliżej i oceniali jego wartość, jako człowieka o szerokim umyśle i czystym, pięknem sercu, stracili w nim nadto przyjaciela i towarzysza, niezwykle miłego w obcowaniu.

Wrażliwy na piękno natury i na piękno sztuki, posiadał Potkański wytworny smak, był doskonałym i wykwintnym znawcą

literatury i plastyki współczesnej i umiał o nich mówić, odslaniając coraz to nowe i coraz bogatsze pokłady swego umysłu.

Było w nim coś z Petroniusza i coś z Płoszowskiego. Przewyższał jednak obydwu zdolnością do wytężonej, popychanej wytrwale naprzód pracy, która też przedwcześnie strawiła jego wątłe siły.

Pozostaje po nim—w nauce imię duże, w sercach ludzkich—wspomnienie jasne i pamięć dobra niepowszedniego człowieka.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— MUZEUM NARODOWE POLSKIE W RAPPERSWYLU wydało Sprawozdanie zarządu za rok 1906 jako 37-my rok istnienia, drukowane w Paryżu pod datą 1907 roku. Po wykazie składu dzisiejszego zarządu, którego prezesem jest Józef Gałęzowski, i podaniu list członków wszelkich kategorii, następuje sprawozdanie muzealne, z którego dowiadujemy się, że zbiory Muzeum w roku sprawozdawczym stale się powiększały. Księga darów wykazała 1777 pozycyj, obejmujących 4551 przedmiotów wobec 1736 pozycyj i 6115 przedmiotami w roku zeszłym. Po za tem wpłynął jeszcze nie wpisany do księgi darów bogaty zbiór korespondencyj z czasów emigracji 1846, obejmujący liczne dokumenty, których uporządkowanie nie mogło być dotąd sporządzone, a przez to w księdze darów nie są wpisane. Z ważniejszych przedmiotów muzealnych ofiarowanych w r. 1906 sprawozdanie wymienia: Złoty zegarek ofiarowany 28 sierpn. 1794 przez Kościuszkę oficerowi A. Grabowskiemu, tabakiera złota z dnia 3 maja 1791 z odpowiedniami napisami, miniatury, obrazy Alchimowicza, Rychtera, i t. p., w dziale bibliotecznym papiery po Aleksandrze Józefie Jabłońskim emigrancie z 1831 r., obejmujące około 1000 rękopisów stanowiących archiwum „Sekcyi Poitiers Tow. Demokratycznego“ i t. z. „Sekcyi protestującej paryskiej;“ materyały do emigracji 1846 r. oraz emigracyi na Wschodzie z lat 60-tych wieku zeszłego; papiery po Romanie Wilczyńskim; dział biblioteki Józefa Kordzikowskiego obejmujący około 100 rękopisów od XVI-w. począwszy, wśród których znajdują się: papiery rodu Kościuszków, zapiski Stanisława Bobryka z końca XVIII w.: dar Karola Humieckiego „zawierający między innymi „Rozkazy dzienne pułku „żnawów śmierci“ Rochebrunne'a z 1863 r.“ W dziale druków przybyło 691 dzieł i 61 czasopism, między innymi druki ulotne najnowszych czasów treści społeczno-politycznej w znacznej ilości z zaboru rosyjskiego. Szczegółowy wykaz darów ułożony według alfabetycznej listy ofiarodawców wykazuje je dokładnie. Z chwilą zamknięcia roku spra-

wozdawczego stan zbiorów przedstawiał się w sposób następujący: przedmiotów pamiątkowych 1090, numizmatycznych 5738 (nie licząc dubletów), Rzeźb 557, Obrazów olejnych 339, Akwareli 391, Miniatur 109, Rysunków 1875, Rycin 18918, Fotografij 7975, Nut 1119, Map 905, Druków 56025, Rękopisów 13227, Rozmaitości 382. Muzeum odwiedziło w 1906 roku osób 3724, z których największa ilość przypada na sierpień (870) i wogóle letnie miesiące. W rozdziale III-cim, poświęconym wykazaniu pracy muzealnej i bibliotecznej, sprawozdanie streszcza ich bieg i zaznajamia czytelnika z XVI-ma działami, na jakie Archiwum zostało podzielone. Ważniejsze z nich są: Roczniki Polskie Leonarda Chodźki, papiery Legacyi polskiej 1831/32, Archiwa zakładów emigracyjnych, Towarzystwa Demokratycznego, Rządu Narodowego 1863/64, Ligi Narodowej, Emigracyjne, Mickiewiczowskie, Kościuszkowskie i inne. Na zjeździe rady Muzeum oprócz mianowania nowych członków fundatorów i korespondentów zdecydowano wydanie Przewodnika, który na skutek tej decyzji już wydrukowanym został i przyjęto 2000 fr. od p. I. K. jako dar na fundusz biblioteczny. Dyrektor zdając sprawę ze stanu kasy wykazał wartość walorów, wynoszącą według cen giełdowych 842003 franki. Komisya stypendyalna w roku sprawozdawczym rozporządzała 13050 fr., z której korzystało 39 stypendystów. Stan finansowy instytucji przedstawia się wcale pokaźnie: kapitał Muzeum wynosił w końcu 1906 r. 52463 fr., fundusz stypendyalny Krystyna hr. Ostrowskiego nie wykazany co do sumy dał przychodu 18609 fr., fundusz im. Tadeusza Kościuszki (4000 fr.) dał przychodu 163 fr., fundusz stypendyalny historyczno-literacki dał 1668 fr. dochodu, fundusz anonimowy 1893 podniósł się do sumy 244500 fr., fundusz anonimowy 1894 wynosi 32000 fr., fundusz anonimowy 1897 wynosi 35000 fr., fundusz wydawniczy 30417 fr., fundusz anonimowy fundacyi bibliotecznej 1903 r. I. K. wyniósł przez dopisanie %-ów 26000 fr., fundusz „Cicha kasa Litewska“ 4243 fr. Sprawozdanie kończy się odezwą do społeczeństwa, aby interesowało się i nadal i popierało Muzeum Rapperswylskie.

W dziale naukowym i literackim podano 13 wiele ciekawych listów Lelewela o przymusowej podróży jego z Francji do Belgii w 1833 roku.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— ARCHITEKT. Maj. Efekta malarskie w architekturze; — Najdawniejsza architektura kościelna Słowian zachodnich; — Nowa katedra katolicka w Londynie; — Józef Smoliński: Zabytki zdobnictwa na budowach drewnianych w Królestwie Polskiem i na Białorusi;—Objaśnienia rysunków i tablic; — Rozmaitości.

— CZASOPISMO LEKARSKIE. Maj. J. Bogdanik (Kraków): Kreolina w chirurgii; — T. Mogilnicki (Łódź): Ostry niezbyt krtani u dzieci, symulujący krup pierwotny;—Wł. Żenczykowski (Warszawa): Ogólne uwagi krytyczne z powodu projektu ministerium przemysłu i handlu w sprawie obowiązkowego ubezpieczenia od choroby;—A. Puławski (Nałęczów): Sprawozdanie lekarskie z Zakładu leczniczego w Nałęczowie za rok 1906-ty; — Kronika.

— HOMILETYKA I PRZEWODNIK SPOŁECZNY. Maj. Od anarchizmu do wiary; — W. E. Ketteler: Doniosłe zagadnienia społeczne obecnych czasów; — Zwierchnictwo Kościoła katol. (dok.); — Apostolstwo prasy; — Dział kaznodziej-ski; — Homilie na Niedziele; — Kazania przygodne; — Bibliografia.

— KOSMOS. Protokół XXXVI walnego zgromadzenia Tow. im. Kopernika; — Siedlecki M.: O przemianie materji wśród morza, odczyt; — Tur J.: Doświadczenia nad wpływem promieni radu na rozwój zarodków *Scyllium canicula* Cuv.; — Nowak J.: Przyczynek do znajomości kredy Lwowsko-Rawskiego Roztocza; — Namysłowski B.: Nieprawidłowości w budowie kwiatu polnej ostróżki; — Schreiber W.: Pogląd na metody kraniografii dzisiejszej; — Raciborski M.: Stanisław Chelchowski (wspomnienie pośmiertne); — Dziędzielewicz J.: Przyczynek do systematyki Bielotek (Coniopterygidae); — Friedberg W.: Kilka uwag w sprawie wydm niżej rzeszowskiego; — S. Rudnicki — E. Romer: Polemika; — Sprawozdania i oceny, przez M. Łomnickiego, W. Friedberga, W. Rogalę, J. Nowaka, E. Romera, J. Hirschlera, A. Bollandę, S. Opolskiego i K. Klingę; — XXXVII nadzwyczajne walne zgrom. Tow. im. Kopernika; — Od redakcyj; — Odezwa.

— KRYTYKA. Czerwiec. (f), Wybory w Galicji; — Kazimierz Wroczyński: Barkarola. Patos. Walc. Z cyklu. Astarte. Poezye; — S. Posner: Psychologia polityczna; — Władysław Orkan: O powieści „drzewiej”; — Jan Szarota: Poezya francuska ostatnich lat dwudziestu pięciu, Emil Verhaeren (dok.); — Wanda Krzyżanowska: Poezye; — H. Orsza: Literatura ludowa; — Zofia Rygier Nałkowska: Rzeczywistości; — Przegląd prasy polskiej i obcej; — Henryk Jordan: Teatr krakowski; — Henryk Raabe: Ruch wolnomysłny u nas i na świecie; — Sprawozdania naukowe i literackie.

— LUD. Szymon Matusiak: Sobólka; — Józef Schneider: Lud Peczeni-żyński; — Materyaly i poszukiwania; — Józef Schneider: Baśń o trzech braciach, dwóch mądrych a jednym głupim. Podanie o Doboszu opryszk; — F. A. Drozd: Zagadka o św. Stanisławie biskupie; — Józef Sulisz: Kilka zapisek z Sanoka; — W. Kosiński: Listy; — Krytyka i sprawozdania, przez S. Matusiaka, dra M. Janika, M. Siwaka, G. Smólskiego; — Polemika (H. Ułaszyn z dr. Radzikowskim); — Sprawy Towarzystwa; — Dodatek; — M. Treter: Przegląd treści dziesięciu roczników „Ludu.”

— MUZEUM. Czerwiec. E. Piasecki: Ś. p. Henryk Jordan; — Pierwsza ustawa krajowa o seminariach nauczycielskich; — Leonhard St.: Komisya kwalifikująca książki do bibliotek uczniów; — Paczowski J.: Ćwiczenia w pracowni fizykalnej i „szkółka zręczności”; — Koch W.: Kolonia wakacyjna w Porębie wielkiej. Rok II. 1906; — Oceny i sprawozdania, przez J. Miczyńskiego. Wład. Rembaczę, dra K. Jareckiego, A. Makowskiego, dra M. Janellego, K. Strutyńskiego i dra E. Piaseckiego; — Kronika szkolna i pedagogiczna; — Wiadomości bibliograficzne; — Bibliografia Kom. ed. nar.; — Sprawy Tow. nauczycieli szkół wyższych.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. J. P. Pawlikowski: Źródła i pokrewieństwa towanizmu i mistyki Słowackiego; — L. Bernacki: O niektórych komedyach

Zablockiego;—M. Zdziechowski: Filozofia Krasińskiego;—A. Brückner: Notatki i uwagi;—St. Dobrzycki: „Zwroćenie Matyasza z Podola“ w literaturze ludowej;—L. M. Dziana: Dwie Fortuny;—L. Bernacki: Urywek dziennika Ig. Krasińskiego;—F. Przyjemski: Kilka niezbędnych dokumentów, odnoszących się do A. Mickiewicza;—Z. Jachimiecki: Karol Loewe jako twórca muzyki do ballad A. Mickiewicza;—Wł. Jankowski: Do genezy „Pana Tadeusza“;—T. Dąbrowski: „Samuel Zborowski“ a „Beniowski“;—R. Wojciechowski: Towiańczycy między sobą;—F. Przyjemski: Nieznany wiersz T. Zana;—J. Zaleski: Niedruk. wiersz T. Lenartowicza;—T. Pini: Z pośmiertnych utworów C. Norwida, I. Duch Adama i Skandal. II. Obyczaje. III. Fragment przekładu „Hamleta“;—Recenzje i sprawozdania, przez A. Brücknera, St. Dobrzyckiego, St. Kossowskiego, K. Jareckiego, Wł. Dropiowskiego, T. Dąbrowskiego;—Polemika, T. Wiśniowiecki przeciw M. Mannowi;—Odpowiedź M. Manna.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. Dr. J. Kodisowa, W sprawie eliminacji metody przyczynowej; St. Brzozowski, Epigenetyczna teoria historii; J. Lewkowicz, Etyka ze stanowiska teorii poznania; dr. Wł. Biegański, O filozofii Mickiewicza; Polemika; Prof. dr. H. Struve, W sprawie polskiego przekładu Prolegomenów Kanta; Autoreferaty d-ra Wł. Biegańskiego, prof. d-ra J. Nusbauma (2), dra Wł. Ołtuszewskiego;—Sprawozdania przez prof. dra H. Struvego, dra M. Borowskiego, dra A. Złotnickiego, J. Lewkowicza, B. Nusbaumową;—Notatki o książkach;—Z czasopism;—Wiadomości bieżące.

— PRZEGLĄD POLSKI. Czerwiec. Franciszek Morawski: Z roli poznawczej;—Ignotus: Synteza rewolucji w państwie rosyjskiem. II. Rozwój rozstroju i rewolucji (c. d.);—dr. Paweł Popiel: Ze stolicy Niemiec;—dr. Stan. Zdziarski: Bez nadziei jutra;—Dwa miesiące obrad Dumy państwowej;—Sprawy krajowe;—Władysław Lubomęski: Szkoły rolnicze dla włościan i dopełniające kursa rolnicze przy szkołach ludowych;—Kronika literacka;—Przegląd polityczny, przez *;—Henryk Jordan, wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego.

— PRZEGLĄD Powszechny. Czerwiec. Dr. Wł. Czerkawski: Pierwsze powszechne głosowanie w Austrii;—ks. Wł. Wiecki: „Lourdes“ Zoli i „Lourdes“ Huysmansa;—ks. K. Konopka T. J.: Kongres wszechbrytyjskiego imperyum;—Marya Harsdorf: Z samotnych wieczorów;—Chybiński Adolf: Bogarodzica pod względem historyczno-muzycznym;—Przegląd piśmiennictwa przez A. Mazanowskiego, ks. Jana Rotha T. J., ks. E. Matzla T. J., ks. A. Arndta T. J., Leona Bolesławskiego T. J., M. Harsdorf B., dr. A. B., A. R., A. Ch., T. W.;—Sprawozdanie z ruchu relig. nauk. i społecznego, przez ks. W. Wieckiego T. J., Teodora Jeske-Choińskiego, dra Feliksa Konecznego, M-o i ks. J. Pawelskiego T. J.

— PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACYI. Prof. dr. Piotr Stebelski: Rewizya nadzwyczajna w procesie karnym austriackim;—prof. dr. Zoll junior: Tradycya, jako sposób nabycia własności na rzeczach nieruchomych (dok.);—dr. Ryszard Leżański: O projekcie ustawy o wynagradzaniu szkody z powodu bezzasadnego przetrzymywania w areszcie śledczym (c. d.);—dr. Klemens Bąkowski: Dzierżawa gruntów pod budynki. Domy urzędnicze;—Zapiski litera-

kie, przez d-ra Adolfa Bergera, E. T. Norberta Michalewicza; — Praktyka cywilno-sądowa, przez Hermana Mestera i M.; — Dodatek; — Zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych № 5.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. Kwiecień. Pełeński Józef: Geneza i rozwój pierwszych kościołów; — Karbowski Antoni: Pedagogika Komisji edukacji narodowej w świetle systemów pedagogicznych XVIII w.; — Do dziejów Kamieńca Podolskiego (z papierów pozostałych po ś. p. d-rze A. J. Rolle).

— RODZINA I SZKOŁA. Kwiecień. M. H.: Nekrolog ś. p. Prezydenta Michalskiego; — Markowski Tomasz: Kara cielesna u teoretyków pedagogicznych; — Morecki Maksymilian: Nowoczesne poglądy wychowawcze; — Grudzińska Anna: Z psychologii dziecka; — Magierowski Leon: Język niemiecki w szkole ludowej; — Szczepański Franciszek: Słów kilka w sprawie nieregularności frekwencji; — Tenże: O działalności nauczyciela w czytelniach ludowych; — Z piśmiennictwa; — Rozmaitości i ogłoszenia. W dodatku „Wiedza i praca”; — M. H.: Nasi sąsiedzi z Marsa; — L. K...n: Luter Burbank, czarodziej kwiatów; — M. H.: Wełna z „Torfu”; — Załęska: Maruna różowa (*Pyrethrum roseum*); — Perski prosek; — H. M.: Jak i co jadają Chińczycy; — Rozmaitości; — Ogłoszenia.

— ŚWIATOWIT. Rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej. Wydany przez Erazma Majewskiego, tom III. — 1906. (93 ilustracyj w tekście i VI tablic). Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, cz. I str. VI+64, cz. II str. 119.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Maj. Zdźisław Marycki: Dwa najsłabsze miejsca Słowiańszczyzny. (Słowo o Kaszubach i Słowienach styryjskich); — Stanisław Zdziarski: Uczeń polsey w Petersburgu; — Jerzy Moszyński: Przyczynę do wyświecenia historii Królestwa Polskiego, wniesiony do Dumy państwowej dnia 23 kwietnia 1907 r.; — Przegląd prasy słowiańskiej; — Kronika.

— WSZECHŚWIAT I CZŁOWIEK. Zeszyt 63 i 64. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcyą H. Kremera. Przekład St. Kramsztyka. 2000 ilustracyj i tablic kolorowych. Warszawa, 1907. Wyd. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. od 49 — 104.

— WIADOMOŚCI numizmatyczno-archeologiczne. M. Gumowski: dr. Franciszek Piekosiński; — dr. Z. Zakrzewski: Wykopalisko monet średniowiecznych piastowskich z Musternik (dok.); — M. Greim: Portrety Michała Potockiego i króla Augusta II w Kamieńcu Podolskim; — K. Marcinkowski: Inwentarz Wielkorządów krak. za Augusta II; — P. Wańkiewicz: Wykopalisko w Szypianach, gub. Mińskiej; — Bołsunowski Karol: Pisanki, jako obiekt kultu balwochwalczego; — Wiktor Witty: Znaki pieczętne (gmerki) mieszczan w Polsce w XVI i XVII wieku; — Polemika.

B I B L I O G R A F I A.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BILCZEWSKI JÓZEF, ARCYBISKUP Ks.: O kościele Chrystusowym. List pasterski. Lwów, 1907. 8-o, str. 171.

BOUGAUD, BISKUP Ks.: Chrystyanizm i czasy obecne. Tłómaczenie z francuskiego J. Bitnerowej. Księga czwarta. Kościół. Warszawa, 1907. Wydawnictwo księg. nakładowej M. Szezepkowskiego. 8-o, str. 381+VIII.

BRZOZOWSKI STANISŁAW: Fryderyk Nietzsche. Stanisławów, 1907. Nakł. księg. A. Straudachera i Sp. 8-o, str. 78.

FULPIUS KAROL: Zarys moralności społecznej. Oparty na prawie Rozwoju. Podręcznik przeznaczony do kształcenia dzieci od lat 9—15. Z przedmową Augusta Dide'a. Spółczyła i uzupełniła R. Centnerszwerowa. Warszawa, 1907. Nakład Wincentego Raabego. Skład główny w księgarni Powszechnej. 8-o, str. 144.

HARTMAN T., DR.: Czy człowiek żyje po śmierci? Wyd. II. Kraków, 1907. Nakł. wyd. „Więcej światła.“ 8-o, str. 46.

LIBELT KAROL: O miłości Ojczyzny. Opracował Dr. Wiktor Hahn, c. k. prof. gimn. Brody, 1907. Nakł. Feliksa Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 138.

PODWIN ADAM, Ks.: Drogowskazy (Listy do młodego przyjaciela). Kraków, 1907. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 203+III.

RADLIŃSKI IGNACY: Dwa dokumenty ludzkości (Dziesięcioro przykazań Bożych i deklaracja praw człowieka.) Warszawa, 1907. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i Sp. 8-o, str. 1-4.

SZUKIEWICZ WOJCIECH: Odrodzenie etyczne (Z rozmyślań idealisty o rzeczach realnych). Warszawa-Lwów, 1907. Książnica t. 18. 8-o, str. 139.

TOŁSTOJ LEON, Hr.: Wiara a kłamstwo wyznaniowe. Przekład Edwarda Milkowskiego. Warszawa, 1907. 8 o, str. 18.

TRZECIAK ST., DR. Ks.: Chrystus Pan a kwestya socyalna. Przez ... Przemysł, 1907. Wydanie drugie, znacznie rozszerzone. Skład główny w księgarni A. Juszyńskiego. 8-o, str. 66.

— Kolonie żydowskie za czasów Chrystusa Pana. Poznań, 1906. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 28.

H I S T O R Y A.

AKTA GRODZKIE I ZIEMSKIE z czasów Rzeczypospolitej polskiej z Archiwum t. zw. bernardyńskiego we Lwowie, wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem gal. Wydziału krajowego. Tom XIX. Lwów, 1906. Sejfarth i Czajkowski. 4-o, str. 855.

ARCHIWUM MIASTA DROHOBYCZA. Zbiór przywilejów, aktów, dekretów granicznych, lustracyj, memoriałów i t. p. Wydał prof. Feliks Gątkiewicz. Drohobycz, 1907. Nakł. gminy m. Drohobycza. 8-o, str. 407.

BALZER OSWALD: Konstytucya Trzeciego Maja. Reformy społeczne i polityczne ustawy rządowej z r. 1791. Wydanie II. Lwów, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 80.

CHOCISZEWSKI JÓZEF: Dzieje narodu polskiego. Dla ludu i młodzieży w krótkości opracował... Wyd. IX ozdobione licznymi rycinami. Poznań, 1907. Nakł. księg. J. K. Żupańskiego. 8 o, str. 206.

GĄSIOROWSKA N.: Zarys dziejów Wielkiej Rewolucyi Francuskiej (1789—1801). Przyczyny powstania Rewolucyi, przebieg jej i skutki. Warszawa, 1907. Skład głów. w księg. Naukowej. Biblioteka Spółczesna. 8-o, str. 218.

HANDELSMAN MARCELI: Konstytucya Trzeciego Maja r. 1791. Warszawa, 1907. 8-o, str. 109.

JANKOWSKI CZESŁAW-KSAWERY: Bohaterowie Polscy. Karol Chodkiewicz. Kazimierz Pułaski. Ks. Józef Poniatowski. Z portretami. Skreślił. Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. Książki dla wszystkich № 384. 8-o, str. 138.

KATALOG ARCHIWUM AKTÓW DAWNYCH miasta Krakowa I. Dyplomy pergaminowe. Kraków, 1907. 8-o, str. VIII + 324.

KOWALEWSKI EUGENIUSZ: Wspomnienia z przeszłości. Przyczynek do historyi powstania styczniowego na Litwie. Wilno, 1907. Nakładem „Dziennika Wileńskiego.“ Makowski. 8-o, str. 118.

PAMIĘTNIKI JANA KILIŃSKIEGO o rewolucyi w Warszawie w r. 1794-ym. Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 383. Wydawnictwo M. Arcta. 16-o, str. 132

PIERLING P.: La Russie et le Saint-Siège. Études diplomatiques. IV. Pierre le Grand. La Sorbonne—Les Dolgorouki—Le duc de Liria—Jubé de la Cour. Paris, 1907. 8-o, str. VII + 464.

POLSKA. Opisy i obrazy. T. II, zeszyt IV. Dr. Feliks Kopera: Dzieje budownictwa i rzeźby w Polsce; Dr Stanisław Tomkowicz: Malarstwo w Polsce. Z 70 ilustracyami. Lwów, 1906. Nakł. Macierzy Polskiej. 4-o, str. 367—492.

PROCESY POLITYCZNE w Królestwie Polskiem. Materyały do historyi ruchu rewolucyjnego w Król. Polskiem. Materyały z okresu 1878—1865. Zeszyt I. Rok 1878—1879. Kraków, 1907. 8-o, str. nlb. 2 i 151.

SOBIESKI WACŁAW: Henryk IV wobec Polski i Rosyi. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. Spółka wyd. Polska. 8-o, 271.

HISTORIA LITERATURY I FILOLOGIA.

GALLE HENRYK: Słowniczek wyrazów o pisowni wątpliwej wraz z podziałem ich na zgłoski. Ułożył... Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 299. Wydawnictwo M. Arcta. 16-o, str. III.

KRÓLIŃSKI KAZIMIERZ: Pisownia polska ze słownikiem podług gramatyki prof. Kryńskiego i uchwał Kom. Językowej Ak. Um., tudzież zjazdu Rejowskiego. Wydanie III. Lwów, 1907. Nakł. księg. Maniszewskiego i Meinarta. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 55.

KUCHARSKI EUGENIUSZ: Fredro jako romantyk. Przyczynek do dziejów polskiego romantyzmu. Lwów, 1906. Nakł. Tow. lit. im. A. Mickiewicza. 8-o, str. 31.

KALINA P.: Nowa mnemonika czyli sztuka kształcenia i wzmocnienia pamięci tudzież sposoby ułatwiające naukę języków obcych, spamiętanie imion własnych, chronologii, statystyki, chemii etc. Ułożył podług najnowszych i najlepszych źródeł. Warszawa, 1907. G. Centnerszwer. 8-o, str. 85.

MARCINOWSKA Z.: Eliza Orzeszkowa, jej życie i pisma. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księgarni Polskiej. 8-o, str. 100

SŁOWACKI JULIUSZ: Mazepa. Objąsnił Henryk Galle. Arcydzieła poezyi polskiej w streszczeniach, wyjątkach i rozbiorach. Wydawnictwo odznaczone nagrodą kasy im. dr. Mianowskiego z zapisu Z. Pileckiego. Warszawa, 1907. Nakładem M. Areta. Książki dla wszystkich № 363. 16 o, str. 143.

TARNOWSKI STANISŁAW: Historia literatury polskiej. Tom VI. Część druga. Wiek XIX. 1863—1900. Kraków, 1905. Nakł. autora. 8-o, str. IV + 65.

WIERZBOWSKI TEODOR: Wiersze polityczne i przepowiednie, satyry i paskwile z XVI w. Warszawa, 1907. Z zap. kasy im. dr. Mianowskiego. Skł. gł. w księg. E. Wende. 8-o, str. 96.

PRAWO. — EKONOMIA.

GRABSKI WŁADYSŁAW: Wywłaszczenie folwarków i program reform rolnych w Królestwie Polskiem. Przemowa do włościan... Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 35.

LUXEMBURG MAXYMILIAN: Odszkodowanie Robotników. Prawo z dnia 15 czerwea 1903 r. Przewodnik informacyjny dla fabrykantów, lekarzy, urzędników i pracowników fabrycznych. Opracował... Warszawa, 1907. Wydanie drugie. Z 1 obrazową tablicą na początku i Głównemi Podstawami projektu prawa o obowiązkowem ubezpieczeniu robotników na końcu. Nakładem autora. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 327.

OSTASZEWSKI-BARAŃSKI K.: Z krajny prawa, wolności i pracy. Ilustrowane zapiski z Belgii. Lwów, 1907. Nakł. M. Schmitta i Sp. G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-o, str. VIII + 214.